



32 2000 - 2000 - 2000

Egz. archiwalny IBL

3

1. 10. 1900.

10. 10. 1900.

MOJE WSPOMNIENIA  
O ŻYCIU TOWARZYSKIEM

NA PROWINCYI W KONGRESÓWCE,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

---

Część pierwsza.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 25-68-63

POZNAŃ.

DRUKIEM I NAKŁADEM LUDWIKA MERZBACHA.

1875.



14.071/1

## I.

### Przyjazd do Królestwa.

---

Słońce lipcowe już zaszło, gdyśmy na komorze w Szczypiornój stanęli.

Przed nami — a jechaliśmy najętym od Wrocławia powozem — podążała szparko od Ostrowa błyszcząca kareta. Czwórkę pięknych, rosłych koni, w długim zaprzęgu, popędzał z wojszek rosyjski: w długiej sukni, szerokiej, w niskim, okrągłym kapeluszu. Był to pierwszy, jakiego w życiu mojem ujrzałem.

Na komorze rozlegał się turkot, hałas, jedno krzyczało przez drugie. Uwijali się strażnicy, Kozacy, żołnierze. Przed hotelem stały kocze, w długiej uprzęży różnej barwy konie, lekkie wolanty i oficerów kilku. Gdy kareta zajechała, przyskoczyli, wysadzili z niej dwie panie i powiedli je po wschodach. Przyczem

śmiali się i rozprawiali głośno po rosyjsku, z domięszaniem frazesów francuzkich.

Wysiedliśmy także. Strażnicy nam mówili, że to pani gubernatorowa z Kalisza jeździła do Ostrowa, a małżonek i oficerowie przybyli na jej spotkanie.

Prosiliśmy na komorze, ażeby przegląd rzeczy naszych odbyto co rychlej, bo pragnęliśmy przed nocą stanąć w Kaliszu. Lecz nam odpowiedzieli: że jest już po zachodzie słońca, zatem wszelka czynność ustaje i dopiero nas jutro rano wyprawić mogą. Co zaś gorsza, to że z rzeczy nie z powozu wzięść nie dozwolali.

— A! każcie państwo pilnować — przestrzegał jeden ze strażników — bo tu kradną.

— Zapłacę Kozakom, ażeby pilnowali — wymówił mąż mój, oglądając się na skaczących opodal Dońcow.

— Toćże to najpierwsi złodzieje! zaśmiali się wszyscy w około.

— To wezmę żołnierzy.

— Co Kozak nie ukradnie, to zapewnę porwie żołnierz! i nowy śmiech powstał: wyraźnie bawiła ich pod tym względem naiwność Augusta.

— Cóż to za barbarzyństwo! poszepnęłam, wieszając się u ręku męża, i byłabym raczej wolała na powrót przebyć granicę: stehórzałam wobec wszystkiego, com widziała i słyszała.

— Najmę chłopów — ozwał się znowu August.



— A, to co innego! odpowiedziano.

Pobiegł zatem na wieś i przyprowadził dwóch wieśniaków w sękatę opatrzonych kije. Jeden zobowiązał się stać przed powozem, drugi z tyłu przy tłomoku i walizie. Nadto i służąca moja, Marya, najpoczeiwsza ze sług poczeiwych, z góry oświadczyła, że powozu przez noc całą nie odstąpi i oka nie zamruży. Dotrwała też wiernie, a opowiadała następnie, że Kozunie figlarni i ociążałe szarki moskiewskie raz po raz w ciągu nocy przybliżali się do powozu, lecz ona i zaraz zagadywała do czuwających chłopów. Więc postali tylko chwilę, a potem gwizdząc odskoczyli znowu.

Myśmy weszli do hotelu i dano nam pokój obok sali, na której wieszerało ono wesołe towarzystwo z Kalisza. Śmiechy głośne, rozmowa hałaśna, śpiewy, strzelanie szampanek, bieganie służby — niemal do rana potrwało. A potem z hukiem i pukiem kareta i pojazdy do Kalisza szybkim poturkotały pędem.

Nazajutrz przetrząśnięto ściśle nasze rzeczy. A zabrano książki, ryciny, mój portret, by je do cenzury warszawskiej odesłać.

— Będiesz pan mógł odebrać po rewizyi wszystko, za tygodni pare — pocieszał naczelnik komory. Mnie jednakże przykro było bardzo.

Przebyłam zatem granicę kongresówki pod bardzo niemilém wrażeniem. Dojeżdżając, powiedziałam sobie,

że, przyjechawszy linię demarkacyjną, na kolana upadnę i pocałunkiem ziemię ukochaną powitam.... ależ tu na takie powitanie i miejsca nie było! — Poszepnęłam tylko krótką modlitwę — i krzyż św. w powietrzu zrobiłam.

### Kalisz.

Okolo południa stanęliśmy w Kaliszu, znużeni niewywcześnie i przeprawą nagraniczną.

Kalisz czyni miejscami wrażenie większego miasta, z powodu pięknych kościołów i kilku wielkich gmachów. A mianowicie też parkiem, obszernym, zielonym, w cieniste drzewa bogatym — godnym zazdrości, zwłaszcza dla ubożuchnego pod tym względem Poznania.

Na zjazd monarchów w r. 1835, cara Mikołaja i króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III, wystawionym został teatr przy wejściu do parku, w którym artyści dramatyczni z Warszawy przedstawienia dawali. Budowa dość była gustowna, wejście pod rzędem sześciu wielkich filarów wcale okazałe — lecz zbyt na prędce sklecono, rychłóm zagrażała runięciem. Teatr ten zgorzał następnie 8 kwietnia r. 1858.

Miasto jest jedném z najdawniejszych grodów, który, jednakże mało historycznych przechował pamiątek. Zniszczyły je czas nieubłagany, niedole kraju —

często może własna nieogłędność — i wraża samowola Historycy szukający grobu Mieczysława Starego księcia Wielkopolskiego, pochowanego w Kaliszu, nawet i domysłu o nim pochwycić nie mogli. Z zamku Zbigniewa, zbudowanym 1108 r., ślad najmniejszy nie pozostał. Z muru, którym Kazimierz Wielki miasto opasał, dwa jedynie sterczą odłamki.

Kolegiata Panny Maryi, założona w XII wieku przez Mieczysława Starego, zniszczona r. 1783, odbudowaną została staraniem ks. Stanisława Kłossowskiego kustosza r. 1792.

Po prawej stronie jest kaplica św. Józefa, słynącego cudami. Ztąd też ten święty uważanym został jako patron Kalisza. Kaplica ta oddzieloną jest kratą żelazną, przy której stoją cztery olbrzymie świeczniki.

Kościół Po-Jezuicki fundował arcybiskup Karnkowski. Po lewej stronie presbyteryum stoi pomnik tegoż: Tablica z czarnego marmuru, wielka, na niej krzyż z Chrystusem z alabastru. Po lewej stronie klęczy arcybiskup, ze założonemi dłońmi, wyrzeźbiony z czerwonego marmuru. Styl pomnika jest byzantyński.

Kościół św. Mikołaja, najstarszy gmach w Kaliszu, budowy gotyckiej, stracił wiele z pierwotnej piękności przez pożar r. 1706. Założył go Leszek Biały około 1220 r. — W wielkim ołtarzu umieszczono obraz zdjęcia z krzyża Zbawiciela, pędzla

Rubensa, który kościołowi darował Piotr Żeromski, starosta bydgoski, na początku XVII wieku.

Kościół ks. ks. Reformatów założony został roku 1631; grunt darował Marcin Kowalski w Dobrem, kościół drewniany wystawiła pani Sulmowska, wdowa, gdy ten zniszczał, stanął murowany w połowie XVIII wieku. — Wszystkie niemal obrazy, tak w ołtarzach jak na korytarzach, wykonał laik zakonu, Bonifacy Jatkowski, który po trzy razy udawał się do Rzymu, by w sztuce swojej większej nabyć nauki. Znawcy utrzymują, że kompozycje jego są śmiałe i wykończone.

Kościół ks. ks. Franciszkanów, architektury czysto gotyckiej, fundowanym był przez Bolesława Pobożnego, ks. Kaliskiego. Został odmurowany następnie przez Kazimierza Wielkiego r. 1337. Z piękną ozdobną, wysoką nawą, z dziewięcioma ołtarzami. W wielkim zwraca uwagę obraz Matki Boskiej pięknym pędzlem i cechą starożytności. Mistrz tegoż niewiadomy jednakże. Archiwa kościelne podają wiadomość, że obraz ten darowała kościołowi pani Dorota Strzałkowska. Gorliwa przedtém adherentka Aryanów, nawrócona została przez kardynała Bernarda Maciejowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, i w katedrze krakowskiej r. 1608, w obecności Zygmunta III chrzest (?) na nowo przyjęła.

Kościół ks. ks. Bernardynów wraz z klasztorem — struktury gotyckiej — przez restauracje styl pierwotny

utracił. W ołtarzu wielkim, na antipedymum jest płasko-rzeźba wyłaczana, przedstawiająca ofiarę Abła.

Szpital św. Trójcy z urządzeniem odpowiedniem na uznanie zasługuje. Założonym został przez Przemysława I w końcu XIII wieku.

Dawny Korpus kadetów pięknym i wielkim jest gmachem, z kaplicą — przerobioną dzisiaj na serkiew. Salę mustry na skład jakichś oddano rupieci. — Dość obfitą bibliotekę wywieziono do Petersburga po zniesieniu szkoły.

Fabryka sukna, założona r. 1817 zatrudniała stale 600 robotników.

Opowiadano nam, że przy wywieżeniu biblioteki był jakiś generał obecnym, i wskazując na paki zapytywał o nazwiska autorów, które, posłyszawszy, powtarzał:

— Znaję, znaję! Czytałem, czytałem wsio!

Posunięto nową pakę i zapytał znowu.

— To bibuła — odpowiedziano mu.

— A, Bibuła! Znaję, znaję! Sławny autor! Bibuła sławny autor!

Druga anegdotka była: że przy egzaminie jednej z klas wyższych szkoły filologicznej, jeden z uczniów wygłaszał mowę Cyncerona, w której zarzuca zdradę Katilinie. Obecny generał przyganiał, że chłopiec nie deklamuje dość energicznie. Poczém tenże głos podnosząc, że aż mu żyły na czole nabrzmiały, powtórzył:

— „I tyż to, Katilino, śmiażebyś mnie zdradzić?”

— Nie, nie, niet! zawołał jenerał.

Młodzieniaszek silniejszego głosu dobywa, jak gdyby płuca pęknąć mu miały.

— Niet! źle! przygania nieubłagany egzaminator. — W o t, tak: „I ty, Katilino. . . .” — posypały się najwstrętniejsze, obelżywe wyrazy, w jakie moskiewski obfituje język — a których niepodobna powtórzyć.

Może w tój chwili unosił się duch Cyncerona nad zgromadzeniem — i zadrygnął ze zgrozą.

Turek malutkie miasteczko, ale jakoś przedstawiało się dość czysto.

Koło, zbudowane na wyspie, utworzonej przez koryto Warty, ładnie jest położonem. Ma także swoje historyczne pamiątki — zniszczone powodzią czasów i niedolą, przez które kraj przechodził. Wielkopolanie zjeżdżali tu ongi na przedsejmowe zebrania. — Roku 1590 zwołał prymas Karnkowski zjazd wbrew woli Zygmunta III. — W r. 1794 powstańcy polscy stoczyli potyczkę z nieprzyjacielem. — Myślę, żeśmy wszędzie, każdą pamiątkę dziejową wznawiać powinni: podtrzymywać starannie wśród wrażeń żywiołów — mówić o niej, by w zapomnienie nie poszła, bo wszakżeż to puściznę stanowi naszą! — W r. 1863 morderczą pod Kołem stoczono bitwę — zapisaną w krwawym pamiętniku bolesnych dziejów naszych.

Kłodawa z kościołem fundowanym przez Władysława Hermana na cześć św. Idziego — zatem jednym z najdawniejszych w Polsce, miała dawniej klasztor karmelitów z kościołem i kanoników regularnych św. Augustyna. Gdyśmy przejeżdżali przez nią pod wieczór, roiła się mnóstwem Żydów, a wszyscy w czarnych łapserdakach, jakby pijawki.

Łowicz nad Bzurą, stolica księstwa, które należało do arcybiskupów gnieźnieńskich, dość przedstawił się ładnie, lecz dziwnie tam było pusto i martwo. Później dworzec kolei żelaznej nadał mu więcej ruchu i życia. — Miasto należało wieku XVI i XVII do najludniejszych i najzamożniejszych w Polsce, że je Cellaryusz z Norymbergą porównywał. — Są tam jeszcze piękne gmachy, świadczące o przeszłości jego, jakto: wspinała kolegiata z dwiema wysokimi wieżami, seminaryum, zamek prymasów — podrujnowany; klasztory ks. ks. Bernardynów i Dominikanów, na koszary przemienione. Arcybiskupi utrzymywali tu drukarnią, a pierwszym drukarzem był Stanisław Murmeliusz.

Tuż pod miastem ładny pałacyk z ogrodem jenerała Klickiego dodaje mu powabu. — Jenerał zmarł roku 1846.

Sachaczew także nad Bzurą. Miasto z ziemią zostawało przez wieków pare pod panowaniem książąt mazowieckich. — Roku 1555 ścięto tutaj za wyrokiem Synodu w Łowiczu, pod kierunkiem Lippomani'ego,

legata papieżkiego, Dorotę Łążecka, oskarżoną o to, że u Dominikanów skradła hostyą i trzem sprzedała ją żydom. Tych spalono, ponieważ ich obwiniono, że krwi, która z przekłutój przez nich pociekła hostyi używali do swoich religijnych obrządków. — W drugieój połowie XVI wieku byli tu złotnicy, miecznicy, nożownicy, wyrabiający dywany i t. d.

Zamek niegdyś obronny na pagórku był siedliskiem kasztelana mniejszego i starosty. Tu odbywały się sejmiki i sądy grodzkie.

Kościół i klasztor Dominikanów wybudował Ziemowit ks. Mazowiecki 1244 roku.

Podczas konfederacyi Barskiej pobił tu brygadyer moskiewski Galicyjn konfederatów wielkopolskich, pod Malczewskim 11 lutego 1770 r.

Roku 1794 Prusacy okopali się pod miastem.

Sochaczew interesował mnie szczególniej. Stał tam przed rewolucyą zwykle pułk I strzelców pieszych Szembeka — w którym służył wuj mój, kapitan Józef Zadolski. I ztąd na odgłos powstania 29 listopada, pociągnął do Warszawy w nocy z 2go na 3 grudnia. Oto „jenerał Szembek nie wahał się ani na chwilę jednę“, — mówi Mochnacki — „w wyborze między insurekcyą a tronem : poszedł tą drogą, jaką mu wskazywało jego własne przywiązanie do kraju, jaką mu wskazywał zapal jego oficerów i żołnierzy.“

Jeszcze 30 listopada, za pierwszą wiadomością



o rewolucyi, wysłał porucznika Paprockiego, adjutanta pułku, po rozkazy dla brygady od rządu, sądząc, że już być musi rząd narodowy, rewolucyjny.....

Pułk I strzelców pieszych z nieokreślonym entuzjazmem powitany został w Warszawie: „Szembek wznosił szybko ducha Warszawy. Jego brygada zwiastowała rewolucyi zwycięstwo, jego przykład niepozwalał wątpić o przystąpieniu do sprawy narodowej wszystkich innych części wojska polskiego, rozrzuconego w Królestwie...“

„W i e r ź S z e m b e k o w i !“ stało się w wojsku hasłem i przysłowiem. — O czemż J e m u naczelnego nie oddano dowództwa!! — Czemuż jego proroczéj nie posłuchano przestrogi: „Precz z niedołącznymi!“

Ale wracajmy do Sochaczewa! Rozglądałam się po mieście — gdzieś pierwszych zobaczyła Kurdów, zesłańców z dalekiego, podbitego kraju!

Przypatrywałam się ruinie zamkowej na zieloném wzgórzu, która przedstawiała się malowniczo a zajmująco. Tém więcéj, [gdy nam rozmowna opowiadała hotelniczka: że tam kusi.

— Jak to? zainteresowała mnie.

— Ot, ukazuje się czasami duch królowéj Bony — odrzekła poważnie bardzo — w czarnej sukni, z kwefem białym na głowie i w koronie, jakby ognistéj.

— I któż ją widział? zapytałam, a August się zaśmiał.

— Och, wiele, wiele widziało ją osób! A zawsze w noc ciemną, kiedy wiatry wyją, albo burza nadchodzi. Tylko, że każdy, co ją zobaczy, to i nie pożyje długo: znać strachem zionie i suchot nabawi zaraz. Niechaj ręka Boża obroni, ażeby jęj nie zobaczyć: to jest dusza potępiona — i płata złości, jak może! przeżegnała się poczciwa kobieta.

Och, królowo, jakąż w narodzie, który na swoje przyjął cię łono, pamięć pozostawiłaś straszna! — Czemuż Zygmunt I do złotego wieku, jaki panowaniu jego przyświecał, innego wyboru królewskiej nie uczynił małżonki? Czemuż po Barbarze Zapolskiej! Buona Sforza na polskim zasiadła tronie? — Buona! Powtórzmy z szatanem:

Dajmy jęj na pośmiewisko

Sprzeczne z naturą nazwisko.

Nazajutrz już z oddali, uderzeniami serca witałam Warszawę.

August kazał zatrzymać się powozowi przy kościółku wolskim. Wysiedliśmy — pomodliliśmy się za poległych tutaj i o lepszą dla żyjących dolę.

Patrzyłam się na kościółek kształtny, stary — kulami nasadzony licznymi. Jakież te mury muszą być mocne, skoro tyle wytrzymały strzałów! A może one właśnie ztąd i szczęsną są wróżbą!... Może kie-

dys w tym kościółku ofiarnym lud wierny, polski, kornie dziękczynne zaśpiewa Te Deum!

W r. 1831 August padł tutaj na wale ciężko ranny w głowę — a zemdlonego pojмали Moskale. Dopiero po dniach kilkunastu, z ranną a nieopatrzoną czaszką, owiazaną szmatem, z kulą z pod Igań w stopie — odarty, wynędzniały, chory, zbiedz zdołał i do Warszawy przywłókł się pieszo. Spotkał go na ulicy — dziwnym trafem! — brat Klemens, szukający go, przepytujący się wszędzie o ukochanego brata — i zapłakał... Zawołał na dorożkę, zabrał go do hotelu — obmył — pożywił — przebrał... Leczył go doktor Dworzaczek — wyleczył szczęśliwie, i odtąd ona serdeczna zawiązała się przyjaźń. Kulę jednakże ze stopy dopiero po trzech latach wyjęto, bo uwięzła szczelnie pomiędzy dwiema kośćmi, wszedłszy poniżej wielkiego palca. Rozraniała co kilka tygodni stopę, lecz sonda nigdy nie trafiła na nią. Przy ostatniej a szczęśliwej operacji w Głogowie, był obecnym ś. p. Wojciech Lipski z Lewkowa — z acny męża mojego przyjaciel. Kazał zrobić puzderko dla splaszczonej gałki ołowianej, moskiewskiej, jakoby dla najprzedniejszego klejnotu i położyć złożony napis: Iganie 10 kwietnia 1831.

Obeszliśmy wkoło kościołek. Opodał stały warty — więc tylko wzrokiem dalszych sięgaliśmy wałów. — August mówił o wysadzonej w powietrze reducie 54tej, nazwanej Redutą Ordon — uświęconej wielkiem

słowem wielkiego wieszacza. I wspomniał Gustawa Konrada, Poznańczyka, który tam życie swoje położył. — Szkoda, że dr. Artur Wołyński w artykule Reduta Ordona, drukowanym w Tygodniku Wielkopolskim — nie podał nazwiska podoficera magazyniera, który na uprzedni rozkaz Ordona magazyn wysadził w powietrze. Konstanty Ordon pamiętać je musi, bo niepodobna inaczej! — Czyliż to przypadkiem nie był Gustaw Konrad? — Ordon wyrzucony w powietrze leżał ubezwładniony, nieżywy — i ocknął go generał moskiewski. — Jakież to ocknienie być musiało dla bohatyrskiego ofiarника!! — Wielki Adam opiewał heroizm Reduty Ordona, a jednym z jej bohaterów, dziwném zrządzeniem, był młodzieniec, łączący w sobie dwa imiona: Gustaw i Konrad!

Smutno smutną pożegnaliśmy Wolę:

Otóż i Warszawa! Warszawa, cel marzeń od najmłodszych latek! — I znowu przypomniały się wszystkie opowiadania wuja, który zimy często w świetnej i wesołej przepędzał stolicy, a odwiedzając rodziców swoich, zawsze wiele o tym pięknym, uroczotowarskim opowiadał świecie. Dziecko — a potem dziewczynka, wszystko ciekawo! chwytałam, i Warszawa przedstawiała się w oczach moich i rojeniach, jakoby gród czarodziejski — jedyny na świecie całym. Dziś,

oczywiście, postać zmieniała się rzeczy — przeminęło tamto życie — i znikło! — Ale nie na zawsze — wierzajmy!

W milczeniu przebyliśmy długą przestrzeń od Wolskich Rogatek. W drodze tylko wskazał mi August Bank Królestwa, Komisją Skarbkową i pałac ordynatów Zamojskich — pałac błękitny.

Stanęliśmy w hotelu Drezdeńskim przy ulicy Długiej. A gorączkowa, niecierpliwa, przebrawszy się tylko, wybiegłam z mężem zaraz na miasto. Zaprowadził mnie przed ratusz i półcicho poszepnął:

Dawne wyrocznie Lecha niebo nam ogłasza:

„Polacy, to nasz orzeł, ta ziemia jest nasza!“

Opowiadał mi później jeden z poważnych mężów w Warszawie — urzędnik wyższy:

— Było to w czerwcu. Przechodziłem właśnie przez Marywil i skręcałem ku ulicy Senatorskiej, gdy jakaś dziwna gromadka od ulicy Trębackiej przyspieszonym nadechodziła krokiem. Na czele szła stara wieśniaczka, zziajana, skurzona, a za nią kilkudziesięciu ludzi młodych i starszych, ogorzałych, zakurzonych, odartych. Jedni mieli znoszone mundury moskiewskie, a nawet broń w ręku; drudzy już tylko łachmany. — Zatrzymali się przed ratuszem — i poszedłem za nimi. Byli to dezertrowie z wojska moskiewskiego, którzy na odgłos powstającej ojczyzny przekradali się przez lasy i bagna bez wypoczynku, o głodzie, by z wojskiem

połączyć się polskiem. W okolicy Miłosnej spotkała ich ta stara wieśniaczka i do Warszawa powiodła.... Widziałem, że niektórzy jak dzieci płakali.

Z Marywilu poszliśmy przed zamek. Długą nań patrzyłam się chwilę; jakież to tam ongi odgrywały się dramata! — Przypatrywałam się pomnikowi Zygmuuta III. — Czemuż raczej Zygmunt I nie ma takiego pomnika? — Smukła ta kolumna stoi także niewzruszona, a zdawałoby się, że wichry, dmące od Wisły, łącznoby ją zmieść mogły. Może i ona jest przepowiednią przyszłości!

Mówiono mi, że dwóch żartownisiów zrobiło zakład: jeden twierdził, że kolumna wywróci się w stronę ulicy Piwniej, drugi, że ku Wiśle. Zakład przetrwa już może wiek blisko — a pewno i w drugim rozstrzygniętym jeszcze nie będzie.

Nazajutrz poiwtało nas dwóch znajomych Augusta: Antoni Mueczkowski, brat Józefa — i Ludwik Ziemecki, obadwaj z Poznańskiego, a urzędujący w Warszawie. Oprowadzali i obwozili nas wszędzie — radzi, że współrodaków z rodzimego ujrzeli zakątką. A ileż to przedmiotów było do omówienia! Jakie poufne gawędki!

Byliśmy pospołu w teatrze. — Przedstawiono Skarkba: Czemuż nie była sierotą! Widziałam po raz pierwszy Halpertową i Józefa Komorowskiego.

Przybyliśmy do Warszawy wprost z Berlina, gdzie

razy kilkanaście najprzedniejszych widziałam artystów: pp. Crelinger, Hagn, Rotta itd., — bo już i nie pomnę. A jednakże — jednakże więcej oczarowaną byłam w Warszawie. Już sam dźwięk mowy naszej — nie tylko, że jest ojczyzną, lecz ileż od niemieckiej piękniejszą i harmonijną! — Gra Halpertowej porywała — głębokość oddanego uczucia wdzierала się do duszy, a głos jęj zachwycał. Komorowski do najlepszych należał kochanków: organ mowy miał dźwięczny i wymowę śliczną. A tyle było elegancyi i godności w każdym jego ruchu!

Pojechaliśmy do Łazienek, które po Charlottenburgu, a nawet po Poczdamie — wydały mi się siedliskiem wieszczek.

Wiele zapewne do tego zachwytu przyczyniało się uczucie Polki, lecz i cudzoziemcy przyznają, że Stanisław August miał gust wielce wykwiniony i znał się w wysokim stopniu na sztukach pięknych. To też Łazienki Królewskie należą zapewne do najpiękniejszych przybytków królewskich. Czarodziejskim jest obraz, gdy śliczny pałacyk, wśród wieńca drzew cudnych, odzwierciedla się w wodzie, czyli to za dnia, czyli też przy świetle księżycy.

Pomnik Jana III na moście: koń jego depezący barbarzyńsko zwyciężonych Muzułmanów, mniej o wyższym smaku Stanisława Augusta świadczy. Bo wielki Sobieski nigdy zwyciężonych nie byłby gnębił i kopy-

tami konia tratował swojego. Emblemat to wprawdzie tylko — ale i figura symboliczna powinna być odpowiedniejszą.

Po drugiej stronie zwirówki, naprzeciw pałacu wśród drzew niebotycznych, pokazywano mi domek nieduży: było to ongi mieszkanie osławionej Loullie francuzkiej kochanki Stanisława Augusta. — Przy wybuchu rewolucyi roku 1794 lud wykrzykiwał pod jej oknami: „Oj Lulli, Lulli! Hulala babula! I Warszawa hula!“ — Była to, oczywiście, istota nikczemna, ale nie tak szkodliwa, jak kochanice bywały zagranicznych mocarzy. — Mówią, że stała przy łożu umierającego prymasa, któremu Grabowska przywiozła od króla truciznę, gdy sztabienicę już dla niego stawiano.

Przypadła w tym czasie iluminacya wielka. Był zjazd jakiś, car, następca tronu — i księżęta pruscy z Berlina. Pojechaliśmy do Łazienek, by zobaczyć cały ten świat wielki, wystawny — raz tylko jeden! Panowie Muczkowski i Ziemecki pokazywali nam najpierwsze ówczesne figury — i zapamiętałam dotąd kilka twarzy. Pomiędzy tymi ministra Uwarowa, który raczej na Francuza wyglądał: był niewysoki, szczupły, chudy, rysów twarzy niedużych, ale wyrazistych i nadzwyczaj śniady. Włosy miał czarne. Wyraz twarzy inteligentny.

Minister Turkuł, którego także wtedy po raz pierwszy widziałam, odznaczał się wyrazem twarzy



dobrodusznym i nader uprzejmym. Ciemno - błąd, zdrowej cery — a uśmiechnięty zawsze. Mówiono, że dobre miał serce i rad byłby każdemu dopomógł: obiecywał zwykle spełnić wszystko, o co go proszono — lecz nie wiele zrobić podolał. Ztąd więc niekiedy i w niemiłym położeniu zostawał. Idąc np. raz przez Nowy-Świat w niedzielę, w otoczeniu liczném, jak zwykle — spotkał mężczyznę ubranęgn porządnie, który stanął przy chodniku i pokłonił mu się nisko. Turkuł sądził, że to który z petentów, i ażeby go pocieszyć, zwrócił się ku niemu i wymówił uprzejmie :

— Interes pański mam w pamięci, a jest na najlepszej drodze.

— Excelencyo . . . jaki interes? pyta zdumiony przechodzeń.

— No, interes pański . . . o który zrobiłeś podanie.

— Jaśnie wielmożny panie ministrze, nie robiłem żadnego podania.

— Któż więc pan jesteś?

— Excelencyo, woźny. . . .

— A, a! omyliłem się — Turkuł pocerwieniał zlekka, skinął mu z uśmiechem i poszedł dalej.

Widziałam wtedy, w Łazienkach, i pierwsze piękności: pierwsze gwiazdy na horyzoncie stolicy — i zdawało mi się znowu, że Berlin takich nie ma. Nader ciekawém przedstawiało się to zebranie, zwłaszcza dla nowicyuszki. Bo cała e'legancya prze-

chadzała się, stała lub siedziała przed pałacem. Fashionable'owie biegali tam i sam. Smalili cholewki — szastali i wdzięczyli się. Piękne panie przyjmowały składane im hołdy: to uśmiechem, to zmrużoném okiem, to niby dumnie lecz z przymileniem zarazem. A język francuzki posiewał się jedynie, jak w Paryżu. Obiło się o uszy moje tylko słów kilka polskich, wyszłych z ust Turkuła.

Muzyka wojskowa: dwie orkiestry, szeroko i daleko dźwięczne rozlegały tony.

Iluminacje zajaśniały rzęsiste: szpalery długie tworzyły jakoby z lamp ściany — a było tam duszno, skwarno i trwoźnie niby. Teatr na wyspie i pływający po stawie statek, liczném, kolorowém błyszczały światłem. Ognie sztuczne, bengalskie, wszystko przypominało Olimp i krainę bajek. Co do mnie jednakże, wołałam widzieć Łazienki, gdy tam nie wiele przechodziło się osób — ciche, a stokroć wdzięczniejsze i malowne więcej.

W lat parę później wydarzył się przy podobnych iluminacjach okropny wypadek. W czasie fajerwerków uderzył kij smolny pałący się, z całym impetem w młodą panienkę i przeszył ją na wskrós... Ktoś z obecnych, a przytomny, wyszarpnął go z niej... — zemdloną przewieziono do domu i kilku zaraz przyzwano lekarzy. Wyleczyli ją po długich cierpieniach — ale czy złe nie pozostały skutki? Nie wiem. . Ks. Paszkiewicz dużo jej okazał współczucia.

Jednocześnie z t $\acute{e}$ m nieszczęściem powyższ $\acute{e}$ m, wiele os $\acute{o}$ b poparzone zostały, popaliły si $\acute{e}$  suknie, szale, kapelusze i t. p. — Jam nigdy wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ j żadnych nie oglądała iluminacyj. Upatruj $\acute{e}$  w cz $\acute{e}$ ms podobn $\acute{e}$ m — mo $\acute{z}$ e mylnie — co $\acute{s}$  niezgodnego z cywilizacy $\acute{a}$  dziewiętnastego wieku. Koszt wielki, a pożytek żaden.

Po tygodniu rozglądania si $\acute{e}$  po Warszawie, pożegnaliśmy ją, jako t $\acute{e}$ ż przyjaci $\acute{o}$ ł naszych — i znowu naj $\acute{e}$ ty $\acute{m}$  powozem wyruszyliśmy do wujostwa moich poza Kozienice.

Nocleg wypadł w G $\acute{o}$ rze Kalwaryi. Zaj $\acute{e}$ ty mnie na wysokim brzegu Wisły, opodał miasta, malownicze ruiny Czerskiego zamku — kt $\acute{o}$ re Roman Zmorski pi $\acute{e}$ k $\acute{n}$ ym poematem uświęcił. Wiele, przewiele do nich łączy si $\acute{e}$  zapewne historycznych pami $\acute{a}$ tek i podań — a jeszcze podobno niezebranych dotąd.

Miasteczko G $\acute{o}$ ra-Kalwarya leży ładnie, na g $\acute{o}$ rze, Stanęliśmy w hotelu P o d G a n k i e m w rynku. Drugi hotel zapraszał opodał napisem :

Hotel pod B a r a n k i e m,

R $\acute{o$ wnie $\acute{z}$  dobry jak pod G a n k i e m.

Nie mieliśmy jednak $\acute{z}$ e sposobno $\acute{s}$ ci sprawdzi $\acute{c}$  to zapowiedzenie. Chocia $\acute{z}$  August nieco ku temu mia $\acute{l}$  ochoty.

Nazajutrz wyjechaliśmy rych $\acute{l}$ o, a $\acute{z}$ eby dniem jednym stan $\acute{a}$ c w B $\acute{a}$ kowcu

Odbyliśmy t $\acute{e}$  sam $\acute{a}$  drog $\acute{e}$ , kt $\acute{o}$ r $\acute{a}$  niegdy $\acute{s}$  kapłan-

poeta, ks. biskup Krasicki przebył i opisał, jadąc do Bilgoraju.

Mniszew rozłożył się wdzięcznie, tuż nad samą Wisłą, zielono, wśród łąk i drzew wieńca. Dwór dość obszerny i ładny, zdaje się, że fala wiślana podmywa.

Daléj Magnuszew — istnieje, jakby na Saharze. Miasteczko puste i liche. W zajeździe, gdzieśmy popasali, kilka zjawilo się chłopek, z dziećinami na ręku. W białych koszulach, chustkami mając okulone głowy. Włosy spadały im na szyje, na których różno-kolorowe świeciły hisiorki. Gawroniły się na nas — i pozwoliły poczęstować się piwem. Było jednakże zwietrzałe i kwaśne. Zatém August anyżówki im kupił, z czego widocznie zadowolniły się więcéj.

Drugi popas wypadł w Ryczywole — drugą przebywszy Saharę i piachy, jak wyraża się lud tamtejszy.

O Ryczewale

Zamilczeć wolę.

Wyrzekł był kapłan-poeta. — Ja powiem tylko, że tam dużo widziałem Cyganów, bo Ryczywół jest uprzywilejowaną dla nich siedzibą — gdzie stale zamieszkiwać mogą. A ztamtąd wybierają się na długie, gromadne po kraju włoczęgi.

Jeżeli im się uda, to i okradną podróżnych w delikatny sposób. To jest: nie napadają i tylko porwą, gdy mogą. Przejeżdżała tą drogą jakaś

pani, elegantka, mająca z tyłu powozu przyczepione lekkie, skórzanne pudełko. Cygani to zauważyli, i za miastem — w piachach, jeden z nich wskoczył nieznacznie za powóz, nieznacznie pudełko odczepił i nieznacznie z nim drapnął. Cygani otworzyli je z chciwością — bo między nimi istnieje komunizm — i znaleźli w niem: słoiki z pomadą, fiksatory białe i żółte, flaszki z wodą kolońską, eau de Portugal, eau de rose, Extrait tripple des violettes, i t. d., i t. d. — Cygani nie wiedzieli, co z tym począć fantem — i uznali, że to zapewne są łakocie. — Zatem chleb jedli z pomadą i przygryzali fiksatorem, a popijali wodą kolońską i cudnie pachnącemi ekstraktami. Jak im to smakowało? — Nie posłyszałam.

Już się zmierzchało, gdyśmy przez Kozienice przejeżdżali — a potem przez część tak zwaną puszczy Kozienieckiej: przez las gęsty, odwieczny, a piękny. W lesie tym, obszaru wielkiego, wydarzyły się — i wydarzają może jeszcze — napady złodziei. Szcęście, żem o tém nie wiedziała wtedy, byłabym pewnie nie-mało wyżyła strachu.

Przy jasnej poświacie księżycy stanęliśmy w Bąkowcu. Dwór biały wśród gęstej zieleni drzew w górę wybiegłych i dwa stawy, wcale ładny stworzyły nam obrazek.

Uderzyło mi serce, jak młotem. We dworze świątła błyszcząły. Wjechaliśmy w dziedzięc — właśnie

gdy landara czworokonna od zajazdu ku gumnom zmierzała.

Powóz nasz zajechał. Wuj wyszedł na próg. Wyskoczyłam, zanim podał mi rękę. Uścisnęłam go — i rzuciłam się w objęcie wujenki.

Nie spodziewali się nas jeszcze dzisiaj. Jeździli do Puław i właśnie co tylko wrócili.

Śmiałam się i płakałam. Kochałam wuja: był to ukochany brat matki mojej — a wielce kochany przez czcigodnego ojca mojego. Wujenka do najprzyjemniejszych należała kobiet.

---

### B a k o w i e c.

Wuj mój, Józef Zadolski, wstąpił do wojska w r. 1811, mając lat siedmnaście dopiero. Służył pod pułkownikiem Jonemanem w korpusie marszałka Rapp, księcia Gdańska — i całą pod nim odbył kampanią.

W r. 1815 zaciągnął się na nowo do wojska polskiego, formującego się pod w. księciem Konstantym. Zostawał w 1 pułku strzelców pieszych aż do r. 1831. W czasie wojny rewolucyjnej przeniesiony został do pułku II i dosłużył się rangi podpułkownika.

Przed rozpoczęciem wojny, w styczniu, wziął ślub z panną Eleonorą Słomińską, córką obywatela ziemskiego, zaręczoną mu już poprzednio. Odbył kampa-



nią całą. Wyszedł z Ramorini'm do Austrii, a następnie powrócił za amnestją do kraju. Zaczny, poczciwy i miły, z ogładą lepszych towarzystw, lubionym i cenionym był powszechnie. Zamiłowany w muzyce, grywał na flecie — sprowadzonym z kądś, że już nie pomnę. Ale miała to być doskonałość jakaś. Toż samo i strzelba, którą sam czyścił zawsze i starannie w piękne układał puzderko. — Polował dużo i strzelał tak celnie, jak podobno niewielu.

Wujenka, piękna kobieta, lubiąca elegancyą, towarzystwo, każdemu w domu swoim pobyt przyjemnym uczynić umiała.

Po zagranicy, gdzie mnie tęsknota do ziemi rodzinnj trawiła, zdawało mi się, że do rajn przeniesioną została. Poilał się wiejskiem powietrzem, widokiem kwiatów, drzew, pól, łąk zielonych i lasów. — Cieszył mnie świergot ptastwa, przechodzenie się pawy z rozpiętymi wachlarzami po dziedzińcu — a rechtanie żab w stawie było mi, zaprawdę, miłszem . . . od opery berlińskiej.

Ta tęsknota do kraju spowodowała, że się w obczyźnie wzięła do pióra — bo nie mając towarzystwa z Polaków, stworzyłam je sobie w wyobraźni i przenosiłam postacie i obrazy na papier. Pisałam na każdym noclegu — na każdym popasie — i tak skleila się pierwsza powieść moja Helena. August spoglądał na mnie z uśmiechem. Czytywałam mu swoje rojenia

i był zadowolonym, żem znalazła lekarstwo na chorobę tęsknoty.

Zatém w dniach niemal zaraz pierwszych w Bąkowcu, pod kasztanem w ogrodzie, August głośno wujostwu moją czytał powieść — co mnie w siódme przenosiło niebo.

Zjeżdżali się na powitanie gości z Poznańskiego okoliczni sąsiedzi do Bąkowca: z Kozienic, z Policznój, z Świetlikowój-Woli, z Wulki-Tyżyńskiej i t. d. — zapraszali do siebie i serdecznością swoją pozyskali nas sobie od razu.

Rozległe dobra Sieciechów, dawniejsze opactwo ks. ks. Benedyktów, suprymowane przez rząd — dzierzywił brat wujenki, pan Ludwik: kawaler młody, bardzo przystojny, pełen elegancyi i nader przyjemny, zaręczony z panną Józefiną Olszewską z Kozienic.

Pierwsza zatém wyjażdżka nasza była do Sieciechowa, o pół mili od Bąkowca odległego. A jakież to kraj piękny i żyzny to tak zwane Powiśle! Niezmierzone okiem zielone, bujnej roślinności niwy. Z wiosną całe obszary bobem kwitnącym zaległe — używanym na karmę dla koni — zapełniają przestrzenie ożywczą, balsamiczną wonią. — Na Powiślu wszystko w dwójnasób plonuje. Prawda, że Wisła często z koryta swojego niesfornie wybiega i dalekie zaleje pola,



niszcząc plon cały rolnika — lecz po wylewie każdym t $\acute{e}$ m wi $\acute{e}$ kszy bywa urodzaj, bo tak zwana ma da, — kt $\acute{o}$ r $\acute{a}$  pozostawia, — przyczynia si $\acute{e}$  do  $\acute{z}$ yzno $\acute{s}$ ci nadzwyczaj. W p $\acute{o}$ znej jesieni b $\acute{l}$ otne drogi trudne s $\acute{a}$  do przebycia: ko $\acute{l}$ a a $\acute{z}$  na  $\acute{l}$ okie $\acute{c}$  gr $\acute{e}$ zn $\acute{a}$ . — Natomiast w lecie jedzie si $\acute{e}$  jakby po stole, tak wartko toczy si $\acute{e}$  pow $\acute{o}$ z.

Pan Ludwik przyj $\acute{a}$ ł nas nader go $\acute{s}$ ciinnie w dawnym pa $\acute{l$ acu opat $\acute{o}$ w, na pi $\acute{e}$ trze, bardzo dobrze utrzymanym. Salony obszerne umeblowane smakowicie, z komfortem, ju $\acute{z}$  m $\acute{o}$ ld $\acute{e}$ j czeka $\acute{l}$ y pani.

Po  $\acute{s}$ niadaniu udali $\acute{s}$ my si $\acute{e}$  na obejrzenie ko $\acute{s}$ cio $\acute{l}$ a i klasztoru przemienionego teraz na oficyny.

Boles $\acute{l}$ aw Chrobry za $\acute{l}$ o $\acute{z}$ ył w r. 1010, pierwszy klasztor Benedyktyn $\acute{o}$ w w Sieciechowie, kt $\acute{o}$ ry by $\acute{l}$  wtedy dziedzictwem Sieciecha, wojewody krakowskiego. W r. 1096, Zbigniew syn W $\acute{l}$ adys $\acute{l}$ awa Hermana, zosta $\acute{l}$  wi $\acute{e}$ zionym w zamku Sieciechowskim. W r. 1233 osadzi $\acute{l}$  w klasztorze Konrad Mazowiecki synowca swojego Boles $\acute{l}$ awa V z  $\acute{z}$ on $\acute{a}$  jego Grzymis $\acute{l}$ aw $\acute{a}$ , ale ju $\acute{z}$  po kilku miesi $\acute{e}$ cach zdo $\acute{l}$ ali uj $\acute{s}$ ć oboje z wi $\acute{e}$ zienia. W r. 1607 stan $\acute{a}$ ł Zebrzydowski z rokoszanami w sieciechowskim klasztorze.

Dawny klasztor, murowany, o pi $\acute{e}$ trze, niegdys $\acute{y}$  wspaniały zapewne, i dzi $\acute{s}$  jeszcze dobrze utrzymany — stanowi czworoboczny dziedziniec poza pa $\acute{l$ acem.

Piękny ko $\acute{s}$ ci $\acute{o}$ ł przytyka do pa $\acute{l$ acu, i mo $\acute{z}$ na by $\acute{l}$ o

korytarzem i wschodami szerokiemi dojść do zakrystyi. Wnętrze kościoła, obszernego, o wysokości nawie — ozdobnego nawet — wtedy, w bardzo dobrym jeszcze zostało stanie — ale nabożeństwo nie odbywało się więcej. Proboszcz mieszkał w miasteczku Sieciechowie, o pół mili — a tutaj rozgaszczały się wróble i czas nieubłagany zniszczeniem dawnym zagrażał zabytkom. — Z bogatej biblioteki, oczywiście, prócz ścian gołych, już ślad żaden nie istniał.

W XVI i XVII wieku stały nauki w szkołach sieciechowskich na wysokości stopie: wykładano teologią, filozofią i wszelkie umiejętności. — Około połowy XVI wieku bracia Czarnolasowie, nazwani z łacińska Silvii: Jan, Szymon, Benedykt, Ambroży, doktorowie, magistrowie, bakałarze nauk wyzwolonych, wiele się do rozgłosu szkół benedyktyńskich w Sieciechowie przyczynili. Jan, mianowicie, mający stopnie akademickie, wykładał filozofią. Pochodzili oni niezaprzeczenie z Czarnolasu i byli zapewne przez Kochanowskich protegowani. To też badacze niektórzy twierdzą, że tak Jan Kochanowski, jako i bracia jego, pierwsze nauki w Sieciechowie pobierali.

Z okien dawnego mieszkania opatów, w rozmazaniu patrzyłam się na szeroką, wspaniałą Wisłę — ciche wybrzeża — i na przeciwległą Stężycę. Nędzne miasteczko, usadzone na piaskach powiślańskich, o niewielu domach, puste i smutne, którego jedyną

niemal ozdobą są wierzby. Z okien jednakże, wraz z kościołem na pogodnym narysowanym błękitnie, wcale malowany przedstawiało obrazek.

Stężyca — stolica ongi ziemi Stężyckiej, nieraz głośną w dziejach była naszych. W r. 1442 Władysław III nadał jej prawo magdeburgskie. A Zygmunt August przywrócił Stężycy sądy grodzkie i ziemskie, na sejmie r. 1560. — Po ucieczce Henryka Walezyusza r. 1576, zwołał prymas Jakób Uchański obywateli z Korony i Litwy na sejm do Stężycy, 12 maja — i przez tygodni parę radzili nad wyborem nowego króla. — W r. 1606, Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, zawiąawszy konfederacyą przeciwko Zygmuntowi III, ze Stężycy przesłał zażalenie swoje sejmowi. Król wysłał do niego Skargę, ażeby na niego zadziałał — ale napróżno. Następnie zjechało trzech senatorów, którym Zebrzydowski oznajmił przyczyny, które go do konfederacyi skłoniły: zarzucił królowi, że nadwiera prawa i skrycie intryguje przeciwko Rzeczypospolitej. \*) W następnym roku konfederaci Zebrzydowskiego znowu obozowali pod Stężycą. — Podczas wojny szwedzkiej, nieprzyjaciel po trzykroć złupił i spalił miasto. — Koło r. 1780 był proboszczem przy farze uczony eksjezuity Bystrzycki. — Księgi kościelne zapewne notatki przechowały ważne.

---

\* Starożytności polskie.

Wróciwszy z przeglądu po dawnych murach pa-  
miątkowych, prosił August, jako wielki myślistwa lu-  
bownik, ażeby mu pan Ludwik charty swoje pokazał,  
o których nasłuchał się w Bakowcu

— Zrobię ci zaraz tę przyjemność — odrzekł pan  
domu i stósowny wydał lokajowi rozkaz.

Po chwili drzwi otworzono ze sali do sieni. Po-  
słyszeliśmy łoskot — i po wschodach wpadła cała gro-  
mada przeslicznych, czarnych chartów, piętnaście, dwa-  
dzieścia, ani wiem. Obskoczyły pana, wspinały się na  
ramiona jego, na plecy, rzucały się na kanapy, uga-  
niając po pokojach wszystkich. Wskakiwały na stoły.  
Jeden zrzucił z konsolki przy zwierciedle świecznik  
z obrotowém światłem, drugi zmiotł książki i ryciny  
ze stołu. Wskoczyły na łóżko, tarzały się po dywa-  
nach, wywróciły karafkę z wodą — istnie jak opętańcy  
— jakby rozpuszczone złe duchy.

Schroniłam się w kącik, ażeby ująć napaści. Au-  
gust biegał za nimi i do większych jeszcze pobudzał  
ich skoków. Wujenka, oznajomiona z nimi, raz po  
raz ulubioną pogłaskała Miłkę albo Lotkę. Pan Lu-  
dwik ucieszony faworytami swoimi, zanosił się od  
śmiechu.

— A co, dziewczynino, nie widziałaś pewnie je-  
szcze takięj zgrai? zagadał wujaszek, biorąc mnie za  
rękę.

— To jak gdyby zawitało piekło! — odrzekłam  
aż mnie głowa zaboląła.

— Dobry to znak!

— Jakto?

— Bo skoro głowa boli, znakiem, że masz głowę.  
Pośmiałam się z koncepciku wujaszka.

— Ale czy też te charty szkody nie narobią? za-  
pytałam.

— Bynajmniej! — odpowiedziała wujenka — ska-  
czą lekko, jakby po baletniczemu, bo inaczej, toby im  
przecie tak hulać nie dozwolono.

Po obiedzie oglądali panowie stadninę pana Lu-  
dwika. Dzielny Kołdej, stangret, harcował, zawracał  
i podziwiać się kazał — a August rześiste sypał mu:  
Brawo! — Później biedaka okrutnie nieujeżdżone, uzu-  
chwalone potłukły konie. Widziałam go chromego ....  
zostającego na łaskawym chlebie.

Opowiadała wujenka, że kiedyś brat kazał zało-  
żyć cztery śliczne, młodziutkie konie do kocza — po  
raz pierwszy. Odważna, wsiadła z nim, by pojechać  
w sąsiedztwo. Za bramą zaraz konie zawróciły, a po-  
tém cofając się, popyczały w tył powóz, że i toczył się  
szparko po drodze prostój — i tak zajechali na miej-  
sce, bo niemożna było inaczej. Zdaje się to może nie  
do wiary, lecz wiele potwierdzało osób: Kołdej powo-  
ził — a z powrotem szły koniki, gdyby dzieci po-  
wolne.

Drugie odwiedziny były w Kozienicach u państwa Olazewskich.

Małe to miasteczko o niewielu domach, chociaż są i murowane, bo Stanisław August r. 1781 chciał je rozprzestrzenić i z pewnym wybudować gustem.

Dwór, zwany także pałacem, z jednej i z drugiej strony długie miał oficyny. Dziś już zmieniło się wszystko, bo Kozienic otrzymał w donacyi generał Dehn. Za dawnych królów było tu zapewne łowiectwo, bo lasy w koło, tak zwana puszcza, ciągnęły się mil kilkanaście i wielkie w nich królewskie odbywały się polowania. Utrzymywało się tam nawet podanie, że Kazimierz wielki strzelił tu do sarny. Potknęła się i podskoczyła znowu, a jeden z dworzan zawołał:

— Najjaśniejszy Panie, kozie nie!

Tymczasem postrzelona nieboraczka upadła — i trawę sfarbowwała purpurą. Król zadówolony, że celnie trafił, na przekorną pamiątkę tego kozie nie, — miejsce nazwał Kozienice.

W Kozienicach r. 1467, w onym dworcu łowieckim urodził się Zygmunt I. — Czarniecki, w czasie wojny szwedzkiej, napadłszy pod miastem ośm chorągwi nieprzyjacielskich, zniósł je co do szczytu. — August III, wielki zwolennik myślistwa, dużo w Kozienicach przebywał.

Przed rokiem 1831 stała tutaj bateria Piętki. Był w niej podówczas oficerem Sztyrmer — piszący

pod pseudonymem Eleonory Sztyrmer. Pamiętali go tu jeszcze i dowcipy jego. A w niektórych jego opowiadaniach spotkaliśmy się ze wspomnieniem Koźienic, Świetlikowój-Woli i t. d.

Państwo Olszewscy dom prowadzili dość duży. Rodzina składała się z kilku osób — a zawsze byli i goszczący.

Z narzeczoną pana Ludwika, hożą Józefinką, zaprzyjaźniłyśmy się od razu. Kochała bardzo narzeczonego, który do najprzystojniejszych kawalerów należał, i nawzajem kochaną była. Rodzice ją pieścili, a lubili wszyscy.

Przytoczę tutaj z Koźienic rzadki a szczególnie wypadek. Żydówka tamtejsza miała dziecko chore bardzo — skrofuliczne — jakby oblepione skorupą. — Wiedziała, słyszała od pobożnego ludu o różnych cudach Matki Boskiej Częstochowskiej. Gdy więc żaden z lekarzy dziecku pomódz nie mógł, wybrała się z niem piechotą na Jasną-Górę — o mil 40 podobno! — by dla chorego dziecka łaskę Boga-Rodzicy wymodlić. Zaszła. Zabawiła tam dni kilka. Modliła się po dniach całych. . . . Skorupa zeszła z ciała — i ze zdrowym dzieckiem do domu wróciła.

Cheiano wyrozumować: że zmiana miejsca, ciągłe przebywanie na świeżem powietrzu — ruch — dyeta

w podróży — ten szczęsny sprowadziły skutek. Ale jakbądź, zawsze to było następstwem z wiarą odbytą pielgrzymki — i łaską Bożą!

Dnia jednego wracaliśmy z wujenką późnym już wieczorem lekką karyolką z Kozienic. Noc była prześliczna. Księżyc świecił na błękiecie, a gwiazdki niby wdzięczyły się do niego.

Ujechaliśmy już z półtorą mili w cudnie świeżością przewonionym lesie, gdy na raz jeden pomiędzy drzewami, bliżej drogi, ukazał się ogień. Wujenka umilkła. Stangret coś pomruknął pod nosem. Dojeżdżamy. Białawy dymek wznosi się ku konarom ciemnym. Wkoło ognia jakieś dziwaczne widzimy postacie.

— Jezus, Panno Maryo, to Cygany! — zawołała wujenka przerażona — mój Wojciechu, zatnij konie i przelećmy w galopie.

W téjże saméj chwili fantastyczne poruszyły się postacie. Powstał okrzyk:

— Haż go, ha! — i wszystko ku nam leciało.

Potruchlałyśmy, ale żadna nie pisnęła.

— Haż go, ha! i napastnik w szarój burce, kapeluszu o szerokich brzegach, za koło schwytał karyolki.

— August! krzyknęłam, bom głos jego poznała, — niegodziwy, jakżeś nas przestraszył!



— Bo i pocóćcie tam tak długo siedziały? dodał wujaszek, także po cygańsku przebrany, z fuzyą na plecach.

— Jóźku! mężu! — pogroziła' mu wujenka — o mało, żeśmy nie pomdlały ze strachu.

— Pocóżeście nocy zarwały? Przybyli nam mili goście, a was widać nie było, zatém wyruszyliśmy na spotkanie wasze.

Zbliżyło się pare młodych panów i pań, a wszyscy pookrywani pstruchami, prześcieradłami — i nuż przepraszać zaczęli, że przyniewoleni, rolę Cyganów odegrali.

— Koncept to Augusta — ozwał się wuj — ale nam od razn przypadł do smaku, bo i chcieliśmy was nakarać, żeście za nami nie zatęskniły. August sam nas poprzebierał, ztąd i najwinniejszy, jeżeli w ogóle stała się wina.

— Winny, winny, i odpokutować musi! zawołała wujenka.

— Wujeniu złota, najśliczniejsza! Mea culpa! ukląkł winowajca przy karyolce.

— No, no, już przebaczam! Ale wykupi mi się pan August później, gdy czegoś podobnego zażądam — odrzekła śmiejąc się.

— Gdyby i dziesięć razy!

— A teraz należy się jegomości i Polcią przeprosić.

— Och, ta nie pogniewa się nigdy!

Wskoczył na stopień i ucałował mi rękę.

— Ale gdzież szanowni państwo macie swoje ekwipaże? zapytała wujenka.

— Ukryte są po za drzewami.

Jeden z młodych poskoczył, zawołał — i ukazały się dwa wozy drabiniaste, które cygańska czereda do lasu przybyła.

Wuj kazał służbie ogień zagasić. Potem wsiedli wszyscy na wozy, które do Bąkowca pogoniły, a śpiewając ochoczo, zajechali przededwór.

Po herbacie i przysposobionej sutěj wieczery, pianista Riede — w Bąkowcu bawiący — usiadł do fortepianu i zagrał mazura. Ruszyło się zebranie całe — i tany potrwały przez godzin parę.

Żyłam oddawna marzeniem zwiedzenia Puław. Więc też wybraliśmy się jednej niedzieli z rana. Na mszą św. wstąpiliśmy do ks. ks. Dominikanów w Wysokiem-Kole. Piękny tam kościół — a lud pobożny o mil kilka na nabożeństwo przydąża.

Jechaliśmy na miasteczko Gniewoszów — dawną podobno posiadłość rodziny tegoż nazwiska — dziś przepełniony Żydami. I przypomniał się znowu książę-poeta:

Za piaskiem lasek,

A za laskiem znowu piasek.

Okolica ani troszkę nie powabna — aleśmy do Puław jechali!!

Dojechawszy Wisły, nagle odmienny wcale zobaczyliśmy obraz.

Na stromym brzegu, wśród lasku drzew niebotycznych, pięknych, leży wieś Góra-Puławska: ładny pałacyk, piętrowy, z basztą — z widokiem na przeciwległe Puławy, Wisłą oddzielone tylko, lecz Wisłą szeroką bardzo. Posiadłość ta należała wtedy do pani Nevil, Angielki — Szkotki — czyli do córki jej pani With. — Ślicznie tam w komnatach tego zamczku być musi — i siedząc przy oknie, z zapatrzonym w oddal wzrokiem — sądząc, że przed okiem duszy pomajaczej najpoetyczniejsze marzenia: dawne bohatyrskie postacie — urocze Jadwigi, Marye — przeszłość jasna — i jakby jasnowidzenie przyszłości.

Przeprawiliśmy się promem przy wesołym śpiewie przewoźników, bo lud to ochoczy, a poczciwy i dobroduszny.

---

### P u ł a w y.

Puławy należały niegdyś do Tęczyńskich, Lubomirskich, Sieniawskich. — Adam Sieniawski, hetman wielki koronny, wydał córkę jedynaczkę, Zofiją, za Stanisława Denhoffa, wojewodę płockiego, hetmana

polnego, w r. 1728. Ta, jako wdowa bezdzietna, wyszła za Augusta ks. Czartoryskiego na Klewaniu i Żukowie, wojewodę ruskiego, jenerała ziem podolskich — i wniosła mu Puławy, jako ostatnia z rodu Sieniawskich.

Dom zajezdny w miasteczku nie przedstawiał wiele wygody, ale dostaliśmy jednakże jaki-taki objad — poczem wyszliśmy zaraz, ażeby corychlej gród tyłu obejrzyć pamiątek.

Zaczęliśmy od kościoła, ładnej architektury, do którego podchodzi się po kilkudziesięciu wschodach z ciosowego kamienia. Odtąd rozpoczyna się park arcy-piękny. Ulica z lip starych i topoli, klony, kasztany, akacje, świerki, modrzewia i t. p. — mosty rzucone na parowach, fontanny, z łożyska z kamieni wytryskujące strumyki, cudne obszary trawne, pomniki, grotty i dzikie niby ustronia.

Pałac puławski wzniesiony na wzgórzu ponad Łachą \*) wiślaną, zbudowanym był na fundamentach starożytnego zamku Sieniawskich, w stylu włoskim. Korpus jest dwupiętrowy. Na zewnątrz pałacu wystawały półokrągłe wschody, ozdobione posągami, prowadzące do platformy pierwszego piętra, okolonęj balustradą. — Dziś podobno, odkąd pensyon panien

---

Łacha — odnoga rzeki.

z Warszawy przewieziony tam został — wszystko przestoczeniu uległo, a w pałacu urządzono cerkiew.

Piękne, wiekopomne Puławy poszczegółowo już tyle razy opisano — to i jakżeżbym je określać śmiała? — Wspomnę więc tylko o tém, co spostrzegłam i jakie na mnie sprawiło wrażenie.

Do pałacu nie mogliśmy wejść, bo tam właśnie rozpościerała się jakaś rosyjska jenerałowa. Obejrzelśmy go zatem po wierzchu tylko.

W korpusie pałacowym, na dole, była dawniej biblioteka — podobno jedna z najbogatszych i najślawniejszych. Przewieziono ją dość szczęśliwie do Sienawy w Galicyi. Lecz mówiono mi, że po okolicy krążyło wiele książek puławskich — znać rozkradzonych w r. 1831.

Pałac puławski szczególnie malowniczo przedstawia się od strony Łachy, położony wysoko. Na szmaragdowym ponad wodą trawniku, stała jeszcze znana grupa Tankreda i Kloryndy, pod świerkiem, z białego marmuru, z podpisem wrytym:

Giniesz piękna Kloryndo od miłosnej dłoni,  
A twój Tankred nad własnem zwycięstwem łzy roni.

Tuż przy pałacu był ogródek kwietny, a w nim posąg Fauna z kararyjskiego marmuru.

Między pałacem a tak zwanym Żółtym Domkiem, wmurowany był kamień przy wschodach, ocieniony starym dębem, z wrytym wierszem:

O wy dęby szelestem powiewnym odzowne,  
 Młodziejące w starości, siwém mchem szanowne,  
 Sadził was własną ręką dla swojego syna,  
 Nestor nasz, późne plemie rodu Giedymina.

Świątynia Sybilli — wybudowana w r. 1800 na wzór tyburtyńskiej we Włoszech nad Tewerą. Z napisem wiele znaczącym:

Przeszłość Przyszłości.

Od strony Łachy, na podniosłym wzgórku przedstawia się precudnie: z kopułą — otoczona smukłemi kolumnami w stylu korynckim.

Tutaj mieściły się niegdyś liczne pamiątki polskie, zebrane staraniem księżny Izabelli Czartoryskiej — drogocenne, rzadkie, a szczególniej drogie dla dziejów i narodu. Dziś świątynia Sybilli jest próżną — lecz pamiątki do Sieniawy uratowane zostały.

August wsparł się o kolumnę i przyciszonym głosem zadeklamował wujostwu, *Dumanie Polaka w zamku Jazłowieckim*.

Na dolném piętrze świątyni stał pomnik księcia Józefa Poniatowskiego: kolumna. Zatrzymałam się tu chwilę w drzew cieniu — podumałam. . . . Cisza uroczysta zaległa w koło. Potém lekki wionął wietrzyk — poszemrało w drzew konarach, jak gdyby mówiły, że nam pozostały:

Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy,  
 Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starój sławy.

I można tam było przedumać godziny, przywołując sobie w pamięci szanowne, piękne postacie, które pod temi drzewami przechadzały się niegdyś. Szczęsne chwile rozwoju nauk, który błogim ztąd płynął promieniem. . . . . Opodal August wzburzony wygłaszał:

„Wy chytrych zdrad sąsiedzkich służalce najemni...“

Gdy niedaleką aleą przechodziła właśnie pani generałowa w towarzystwie kilku mężczyzn. Mówili podobno po polsku.

Dom gotycki na zewnętrznych ścianach wiele jeszcze zawierał pamiątek — wewnętrzne także do Sieniawy wywieziono.

Nade drzwiami wryty w marmurze jest napis:

Sunt Lacrymae Rerum

Et mentum Mortalio Tangunt.

Każda zewnętrzna ściana ma swoją nazwę: 1) Kazimierza Wielkiego. Długosza. 2) Rzymska. Cyda i Ksimeny. 3) Gostynińska. Boguty i Sędziwoja. 4) Kościuszki i Żółkiewskiego.

Gdyśmy zwiedzali Puławy, ściany te zewnętrzne wiele jeszcze zawierały pamiątek — lecz i wiele już miejsc z nich było odartych: niektóre całkiem wyjęte z innych tylko ułamki, gdy całość wyluskać się nie dała. Wandalizm to nieprzebaczony!

Uroczą ponad wszystko jest Kępa Puławska, pomiędzy Łachą a korytem wiślanem — zieloniuteńka,

odwiecznemi zacieniona drzewami. Pomiędzy temi są i cudne sykomory.

W jedném z drzew olbrzymich, pomiędzy dwiema odnogami, które połączone z sobą znowu, utworzyły framugę, — kazała ś. p. Zofija ordynatowa Zamojska umieścić wyobrażenie z kamienia Matki Boskiej, z napisem: *Dobrej matce wdzięczne dzieci.*

Drzewo to nosiło nazwę *Protectora.*

Pałacyk w stylu korynckim, tuż przy ogrodzie, zwany Marynki, wystawionym był dla księżny Maryi Wirtembergskiej, autorki *Malwiny* — z napisem:

*Iste terrarum mihi praetorenes angulus ridet.*

(Ten zakątek milęj nad wszystko na ziemi do mnie się uśmiecha).

W ślicznych niegdyś, białych, stukowanych salonach, mieści się dziś służba *Instytutu Aleksandryjskiego wychowania panien.*

Tło poza pałacykiem las sosnowy stanowi.

Idąc przez Puławy, zauważyłam białe, schludne domki z ogródkami — a mówiła mi wujenka:

— Mieszkania to *gracyalistów i gracyalistek*, pensjonowanych przez rodzinę Czartoryskich, zostających na łaskawym chlebie.

— A jakżeż jest teraz? zapytałam.

— Pamiętają o nich, o ile mogą — odszepnęła.

W całych dobrach puławskich nie było podobno jednego domku, w którymby nie znalazł portretów



księżny Izabelli, księcia Adama, księżny Wirtembergskiej, a zwłaszcza też pani Zofii Zamojskiej. Rodzina ta ogólną posiadała miłość, bo też postępowaniem swoim i pieczęą na nią zasługiwała: każdy chłopiec i chłopka łatwy do niej przystęp mieli — i wszystko sobie dozwolili powiedzieć: interes każdy, żal albo kłopot. To też wspomnienie o nich dziś jeszcze dla przewielu za wzór i naukę posłużyć może.

Wuj mój opowiadał, że raz był świadkiem, jak księżna Izabella z księżną Wirtembergską po ogrodzie chodziły. Minęły go co tylko i wielki okrężały trawnik, gdy za niemi nadbiegła chłopka, raczej gonila po prostu, a zobaczywszy, zaczęła wołać: „Mościa księżno! Mościa księżno!“ — Księżne przystanęły, chłopka nadbiegła, opowiedziała co miała na sercu, i z rozpogodzoną twarzą wracała.

Szlachta okoliczna bywała zapraszana niekiedy do Puław, i podejmowaną więcej aniżeli uprzejmie.

Wujenka, jako panna, była tam razy parę, i z uniesieniem o tych mówiła chwilach. Bawiono się zawsze doskonale. Księżne rozmawiały ze wszystkimi i krasę szczególną i zachęty dodawały zebraniu. Wujenki ideałem była panna Cecylia B e y d a l e, o której zajmujące opowiadała szczegóły.

Nazajutrz zwiedziliśmy Żulinki i Parchatkę — nazwaną od wyrazów p a r e c h a t e k. A zewsząd smutne wynieśliśmy wrażenie. Drzewa piękne rozrosły

się bujno, wieńczyły rozkosznie ziemię . . . . . wszystko ni by było we wielkim utrzymanie ładzie — ale obcą, żelazną naciskane dłonią, bo d z i e d z i c ó w nie stało! Bo i o n i chleb tułaczy jedli i lżą oblewali go tęskną a gorzką.

Przyjechaliśmy do Końsko-Woli. Miasteczko małe, ciche, ale czyste. Kościół murowany niezbyt duży. Na smętarzu zwiedziliśmy grób Franciszka Książnina. Biedny poeta! Poeta pieśnią — marzeniem — i sercem! — Ileż wspomnienie jego znowu nastreczyło myśli.

Wieczorem byliśmy na herbacie u doktorostwa Szczycińskich. Doktor Szczyciński był lekarzem sztabowym w wojsku polskim, i mieszkał z rodziną swoją już od dawna w Puławach. Obywatelstwo okoliczne ceniło go i jako człowieka i jako lekarza, to też dość rozległą miał praktykę. Posiadał ładny księgozbiór i wiele a przyjemnie o dawniejszych mawiał czasach.

Pozostało mi jedno szczegółniej w pamięci.

— Oficerowie sute raz wyprawiali śniadanie — opowiadał — a była na niem i młodzież cywilna. Pod zastawieniem uginały się stoły, a szampanki strzelały obficie. W tém ukazał się we drzwiach odartus jakiś. — „Za drzwi!“ — krzyknął jeden z gospodarzy — „każę ci wynieść złotówkę.“ — „Pozwólcie, panowie, pozwólcie mi słów kilka!“ — wyprostował się i powiódł oczami w około, a zaimponował nam dziwnie.

— „To i czegoż chcesz?“ zapytał znowu jeden z amfitryonów.

— „Panowie! I u mnie kiedyś stoły uginały się pod półmiskami srebrnymi z wyśmienitým jedzeniem, i u mnie szampanki pękały! I u mnie na zielonych stolikach złoto połyskiwało!“ — wskazał na stolik wisthowy. „W stajniach rżały rumaki i błyszczące zachodziły powozy. Zbytki, rozkosze świata, jakby morzem nieprzebraným płynęły... Panowie, a dzisiaj jestem żebrakiem... nędzarzem!“ — domówił głosem złamanym, odwrócił się i wychodził, zrobiwszy na wszystkich niezmiernie wrażenie.

— Kilku oficerów poskoczyło. Przyprowadzili go, posadzili. Podali pieczenie i wino. Potrząsł smutno głową. — „Chciałem wam dać przestrożę, panowie,“ .... — wymówił znowu — „bo fortuna kołem się toczy: a kto miarę przebierze, w przepaść poleci.“ — Nie chciał z początku nazwiska wymienić swojego... Było znaným w kraju! — Zrobiono dla niego składkę, która dość liczną wypadła. Zdarzenie to żywo pozostało mi w umyśle na całe życie.

Niestety, takie przykłady nie są podobno zbyt rzadkie — lecz marnotrawcy nie potrafią z nich nauki wyciągnąć! — Uznanie i opamiętanie także łaską jest Opatrzności.

Doktor Szczyciński opowiedział nam i następną anegdotkę:

— Dnia jednego oznajmił kamerdyner księciu Adamowi Czartoryskiemu, że przybył pan jakiś i kazał się księciu panu zameldować, jako jego krewny.

— „Krewny?“ powtórzył książę — „poproszę go!“

— Gość wchodzi, wiekowy już mężczyzna, a bardzo niepokaźny: w podnoszonym fraku, w bieliźnie pożółkłej, trzymając w ręku kapelusz starty. Buty także wątpliwéj były całości. Szasta się niby z elegancją, a śmieszno. — „Kogóż mam przyjemność witać?“ zapytuje książę, zaledwo powstrzymując uśmiech. — „Jestem kuzynem jaśnie oświeconego księcia.“ — „Proszę o nazwisko.“ — „Szatanowski do usług, mości książę: a szatan zawsze czarta jest kuzynem.“ — Książę parsknął śmiechem. Dał przytułek kuzynowi po szatanie i czarcie — i wszystkie biedaka zaopatrzył potrzeby.

*Se non é vero é ben trovato.*

Co do Puław winnam dodać jeszcze, że pomnikowa kolumna księcia Józefa Poniatowskiego, grupa Tankred i Klorynda i Faun, wywieziono do Podzamecza pod Maciejowicami, własności hr. Stanisława Zamojskiego. — Pomnik ks. Augusta Czartoryskiego, umieszczony między Marynkami a Sybillą, już pierwéj przewiezionym został.

Najprzyjemniejsze sąsiedztwo wujostwa stanowili państwo marszałkostwo Boguccy w Polieczny. Był to zapewne ostatni dom w swoim rodzaju, ostatni zabytek z tak prawdziwie staropolską cechą, — więc téż

pomówię o nim obszerniej. Ale pierwój winnam to o Górznie uczynić.

Dla niezagmatwania opowieści, podzieliłam ją pod napisy: Bąkowiec, Puławy, Górzno, Policzna, Sieciechów, Garbatka, Tynica. Inaczój opowiadanie stałoby się utrudzonóm więcj — a pewnie i chaotycznóm.

### Górzno.

Drogi sercu i pamięci niezatartój Górzno! — leży mił od Garwolina, blisko zwirówki, w Gubernii Lubelskiej, a dawniejszóm województwie Podlaskiém. Dobra te rozległe, z wielkim a piéknym lasem wziął z żoną Ludwiką Paliszewską brat męża mojego, Klemens.

Samo Górzno, wieś, ciągnie się z pół mili drogi i ma nomenklatur kilka; kościół murowany, do którego wprost wiedzie przez las wycięta droga do zwirówki. Są dwa dwory z zabudowaniami dworskiemi: niższe Górzno, gdzie mieszkali Klemensostwo — i wyższe.

Mieszkanie braterstwa było stare, ale z komfortem zrestaurowane. Poza dworem śliczny, na pochyłości rozłożył się ogród, w smaku zupełnie nowym, angielskim. Obfitował w nader piéckne a stare drzewa: świerki, wierzby płaczące, sosny amerykańskie i t. d. — łączkę, strumyk szemrzący i ozdoby różne.

Dwór drugi na górze, dość obszerny, w ładnym położeniu, z widokiem na wieś i kościół, wynajmowali zwykle na mieszkanie jacy emeryci, lub też rodziny z procentu żyjące. Ogród przy nim jest dość duży.

Mieszkała przy Klemensostwie matka, pani sędzina Paliszewska, dawniejsza szambelanowa Grajbnarowa. Osoba, która w młodości dużo na wielkim przebywała świecie, a w późnym jeszcze wieku i przy wycieńczonym zdrowiu, nader przyjemne stanowiła towarzystwo. Opowiadała dużo i niejednego od niej można się było pouczyć. (Po francuzku mówiła lepiej, jak po polsku — podług dawnego wychowania systemu — ale czuła to i gniewało ją nieraz.) Względna, grzeczna dla każdego i delikatna w obejściu, przechowała i pod tym względem pewne także dawniejsze formy. Czytywała wiele, a raczej więcej czytano jej głośno. — Pani Ludwika pełna miłości dziecięcej i zięć Klemens, nieokreślenie względny i szlachetny, na jej każde skinienie baczyli.

〈 Służba w Górznie była liczna, a wszystko na gruncie urodzone i wzrosłe: z dziada, pradziada — przywiązane do dworu, jakby do rodziny własnej.〉

Pani Paliszewska wyjeżdżała nadzwyczaj rzadko, i pani Ludwika także, nie chcąc słabiej odstępować matki. Bywała głównie a często bliska rodzina: syn, pan Stanisław, dziedzic Chotyni, honorowy sędzia gar-

waliński, brat i bratowa, państwo Rejnszmittowie z Czyszkowa i t. d.

Trzy zaś razy do roku suto obchodzono imieniny: na św. Annę, na św. Ludwikę i na św. Klemens. — Zwłaszcza też św. Anna dużo przyciągała osób.

Poznałam w Gorznie: Łaskich, Ostrorogów, Paschalskich, Mędrzeckich, Szydłowskich, Pniewskich, Ordęgów, Deskurów, Rembielińskich, Garlickich, Żebrowskich i t. d.

Brat Klemens kochał się z Augustem, jak nie znam równiej, braterskiej miłości. Wielkiego serca człowiek, wszystko obejmował sercem. Dla mnie nie tylko przywiązany był bratem, lecz i troskliwym ojcem zarazem. Rozumny, naukowy, wyższego umysłu, myśliciel głębszy, — nie zalegał tego pola i przy skrzętniej, starannej, umiejętniej a rozległej gospodarce.

Pani Ludwika rozumna, wykształcona, na pozór niby chłodna trochę, zasad najzaśniejszych, przywiązana sercem całym do rodziny, roztropnie i oględnie dom prowadziła. Jój zawdzięczam materyał do życiorysu księżny z Sapiehów Jabłonowskiej, wojewodziny Braclawskiej, który Czas Krakowski w swoim pomieścił odcinku. Pani Paliszewska w młodości swojej wiele przebywała w Kocku, a pani Ludwika spa- miętała opowiadanie matki i spisała je wiernie.

Blisko dworu był tak zwany lamus — dziś prze-

istoczony podobno w śliczne mieszkanie w maurytańskim guście, z ładnym parterre'm w ogrodzie, połączone korytarzem z dworem. Przeistoczył go dzisiejszy dziedzie Górzna po ojcu Klemensie, Piotr Wilkoński, dla matki żony pani Gąssowskiej.

W onym dawniej lamusie znajdowała się na piętrze dość liczna biblioteka, stare i bardzo stare za-  
bytki w językach: polskim, francuzkim, włoskim, niemieckim. Siadywałam tam nieraz po godzin pare, wertując butwiejące księgi, kroniki, pamiętniki różne. — Raz nawet, nałykawszy się pyłu i zbutwielizny, naba-  
wiłam się choroby, za co mnie August, brat Klemens, pani Paliszewska i pani Ludwika wyłajali porządnie.

Pan Aleksander Rejnszmitt, b. komisarz skarbu, mąż prawy, naukowo-wykształcony, oczytany, przyjemny i względny, zawsze szczególnie upragnionym w Górznie był gościem. Pani Rejnszmittowa dobra, uprzejma, z nabyciem wyższego świata, łatwo sobie sympatyą jednała. Po francuzku także wiele mówiła, — bo tak nawykła z lat młodych — a mówiła ładnie i mówić tym językiem lubiła.

Czyszków, własność ich podówczas, ślicznie leży, pod samym Garwolinem, bliźniutko zwirówki. Dwór niby pałacowy, wygodny, na suterrenach, i ogród z wielkim urządzili gustem.



Dnia jednego zastali w salonie gorzeńskim porozkładane różne pamiętniki z czasów Stanisława Augusta, którem ja z lamusowej biblioteki powywłoczyła skwapliwie. Niektóre z nich traktowały bardzo obszernie o znanėj historyi osławionej intrygantki Dogrumowej, która przez jenerała Komarzewskiego i Ryksa, ulubieńców królewskich, w różny a tajemniczy sposób przestrzegała króla: że Czartoryscy go chcą otruć. A następnie znowu księcia Augusta Czartoryskiego jenerała ziem podolskich, że król polecił Komarzewskiemu i Ryksowi, by go otruli.

Sprawa ta, jak wiadomo, wiele narobiła rozgłosu i zacięty a skandaliczny spowodowała proces. Wmieszany do tegoż został i kupiec angielski T....., jak najwyraźniej spółnik Dogrumowej. Intrygantkę przekonaną o niecną potwarz, kat na lewém ramieniu piętnował. Miała być na życie całe osadzoną w więzieniu — lecz uwolnioną została. Jak i w skutek czego? pamiętniki dostatecznie wyjaśnić nie potrafiły. Mówiły tylko, że siedząc w więzieniu, opływała we wszelkie wygody, a nawet i łakocie. Znikła potem z widowni i przypuszczano, że za granicę wyjechała.

Awanturnica, żona rosyjskiego oficera Dogrumow, z domu de Nerri, urodziła się podobno w Holandyi czy Belgii, zatem prawdopodobnie do swojej powróciła ojczyzny. Dugrumow, poślednia jakaś figura, mało

przy tém wszystkiém był widoczny. — T. . . . . potrafił ocaleć także i aż do zgonu używał opieki księżnej Lubomirskiej.

Rozmowa potoczyła się żwawo o tój całej fatalnej historii. Pan Rejnsmitt znał osoby, które pamiętały ją jeszcze — a działo się od r. 1772, mniej więcej do 1785. Opowiadano, że więzioną w czasie procesu awanturnicę najpierwsze odwiedzały panie i przesyłały jój najwykwintniejsze przysmaki, w jakie ówczesna obfitowała Warszawa. — Podobnych względów doznawał i T. . . . .

— Opowiadała mi ongi sędziwa pani L. — mówił dalej — że właśnie jechała z siostrą na wieczór do księżny marszałkowej Lubomirskiej, gdy głos kobiety, jakby rozpaczliwie: „Stój! stój!“ zawołał. Pani L. pociągnęła za taśmę i powóz przystanął. — „Cóż to?“ zapytała, wychylając się z okna, i zobaczyła kobietę czarno ubraną, zakwefioną, stojącą przy drzwiach. — „Pani, zlituj się! Mam słów kilka nader ważnych do powiedzenia! Tajemnicę okropną!“ — „Któż pani jesteś?“ — „Opowiem wszystko w cztery oczy. Życie księcia jenerała ziem podolskich jest w niebezpieczeństwie!“ — „Wsiadaj pani!“ — Lokaj drzwiczki otworzył i wsiadła. Zapytana znowu: „Któż pani jesteś?“ — „Nieszczęśliwa Dogrumowa, spotwarzona, prześladowana“ . . . . — i poczęła opowiadać, że jenerał Komarzewski i kamerdyner Ryx mają rozkaz

królewski otrucia księcia . .“ — „Zkądże pani to wiesz?“ — zapytała przerażona pani L. — „Z ust samego generała, który mnie, nieszczęśliwą, chciał za narzędzie użyć! Mam truciznę, daną mi przez niego, przy sobie.“ — załamała ręce i płakać zaczęła. — Pani L. zawiozła ją do księżny Lubomirskiej, na której powyższe opowiadanie wrażenie zrobiło niezmiernie. — Jest rzeczą przypuszczalną — mówił pan Rejnsmitt dalej, — że to była intryga, ukuta na wyzyskanie i króla i księcia zarazem. Ale sądziłbym raczej, że Dogrumowa może tylko narzędziem wyżej postawionych była osób, chcących ostatecznie zerwać węzeł, łączący króla z Czartoryskimi.

Rozmawiano, rozbierano kwestyą tę w różny sposób. Pani Ludwika przyniosła jeszcze czyjeś tam pamiętkowe notatki, które rzecz tę w nieco odmiennym przedstawiały świetle, — dość, że przedmiot ów przedawniony, ale nierozstrzygnięty zupełnie, godzin parę wcale zajmująco zapełnił.

31 marca przybył pan Stanisław z Chotyni. Po obiedzie wspomniano, że nazajutrz jest prim aprilis.

— Potrzeba koniecznie zwieść kogoś — zagadał August.

— Zwiedźcież pana Aleksandra — ozwała się pani Paliszewska — zabawi się. Pan August niech co obmyśli.

August się rozśmiał i odrzekł:

— Miałoby ja może i niezły koncept, ale zbyt wielki mam respekt dla pana Aleksandra.

— To już ja wezmę wszystko na siebie. — Ale cóż takiego? Voyons.

— Niechby to niby Dogrumowa, jadąc z Belgii do córki w Rosyi zamężnej, zatrzymała się w Garwolinie, zachorowała, a lękając się śmierci, wzywa pana sędziego garwolińskiego, bo pragnie testament zrobić i złożyć w ręce jego papiery ważne.

Pan Rejnszmitt był także sędzią honorowym garwolińskim i właśnie wtedy miał kadencją swoją.

— Wybornie! klasnęła pani Paliszewska w dłonie — to i będzie coś dla Olesia. Allons, allons!

— Dogrumowa miałaby już dzisiaj ze sto lat — wtrącił pan Klemens.

Dajmy jój dziewięćdziesiąt przeszło — odrzekł August — intrygantki długo żyć zwykły.

— Pan Aleksander nie uwierzy, boć dopiero tyle rozprawialiśmy o niej.

— Potrzeba tylko zgrabnie ułożyć — zauważył pan Stanisław — a pan August już to potrafi.

— Możeby się wujaszek uraził — przemówiła nieco lekliwie pani Ludwika.

— Ah, ba! Il ne s'emperte pas comme une soupe au lait! Za rozumny i żarciki lubi. Ale jakżeżby to pan August uskutecznił?

— Potrzeba, ażeby pani Dogrumowa list do nie-

go napisała po francusku, któryby żydek jaki z Garwolina do Czyszkowa odniósł.

— A merveille! List ten pani Augustowa napisze.

— Siadaj, Poleciu, pani sędzina podyktuje.

— Podano welinowy arkuszyk, kalamarz — usiadłam przy stoliku i umaczałam pióro.

— Ale przecie list musi być trzęsącą napisany ręką — zauważył znowu pan Stanisław — i w tém ja pani Augustowej pomogę.

Przysiadł się, uniósł stolik z jednej strony i począł go zlekka poruszać.

Pani sędzina dyktuje, ja, śmiejąc się, piszę. Osnowa listu była: „W przejeździe do córki mojej, zamieszkałej w Odessie, przybyłam wczoraj chora do miasteczka Garwolina. Wiek dziewięćdziesięcio-letni lękać się każe, że dni moje już może policzone zostały. Zatem pragnę na ręce Pana — jako człowieka honoru i znanej prawości — złożyć testament mój i papiery ważne, które wiozę z sobą.

Avec considération et respects

Madame Dogrumow,

née de Nerri.“

— Wybornie!

— Doskonale! zawołali wszyscy, spojrzawszy na moje dzieło — niktby ręki pani Pauliny nie poznał.

Pani Klemensowa tylko jeszcze głową pokręciła, bo jej chodziło o wuja.

Postanowiono, że żydek z Górzna list odniesie, mówiąc, że jest z Garwolina. A przecież w Górznie aż sześć rodzin żydowskich mieszkało: główny faktor dworski, szewc, krawiec, rzeźnik, dekarz i kupiec.

List zatem wyprawiono i doszedł szczęśliwie. Dowiedzieliśmy się nadto, że pan sędzia Rejnszmitt zaraz sobie zaprządź kazał i do Garwolina pojechał.

Trzeciego dnia potém była niedziela i państwo z Czyszkowa na objad przybyli. Pan Rejnszmitt i zaraz opowiadać zaczął:

— Wyobraźcie sobie rzecz dziwną. Mówiliśmy niedawno o awanturnicy Dogrumowój, aż ja tu w piątek list odbieram od niej...

— Od Dagrumowój? Tęże samėj intrygantki?

— Oleś chyba żartuje!

— Intryguje nas wujaszek!

— Zkądżeżby? — powstały głosy w około.

— Daję wam słowo! I otóż list! — położył na stole grykoly moje.

— Eh bien, i cóż dalėj? pytała pani Paliszewska.

— Pojechałem naturalnie zaraz do Garwolina.

— I co?

— Co co?

— A nic! Zapytywałem wszędzie o nią, ale jej

wynaleść nie mogłem. Widziano tylko jakąś starą, w białym płaszczyku jéjmość, która nie wiedzieć zkąd się wzięła i której nikt nie znał. Kazałem szukać, cała policya w Garwolinie była en emoi, ale nie wyśledzić nie mogłem. Znać, czując się zdrowszą, wyjechała, zanim przybyłem.

— Mężowi głównie chodziło o te papiery — wtrąciła pani Reinszmittowa — *c'est sont peut-être des memoires*, dokumenta, rzeczy ciekawe bardzo.

— Aż mnie gniewała ta historia....

W tém August rzuca się i kłęka.

— Panie sędzio! *Prim aprilis!* Przebaczenia! *Mea culpa!* i uderza się w piersi.

— Wybacz, Olesiu! objęła go sędziwa siostra za szyję — jam ten list podyktowała! To był *prim aprilis!*

— Ha! uśmiechnął się i pocałował ją w rękę: *Se non é vero ében trovato!* Zwiedliście mnie, jak najzupełniej.

August go objął i uściśnął, Klemens, pani Ludwika, pan Stanisław, wreszcie i ja — a pani Paliszewska dodała.

— Otóż widzisz, żeśmy wszyscy winni. *A tous pécheurs miséricorde!*

Pocziwy, zacny pośmiechnął się — alem w głębi duszy odczuła, że ten żart niezupełnie mu był do smaku. Uznał to i August, i szczerze żałował.

Pani Rejnszmittowa także niby chwilowo na humorze straciła, lecz potem jednakże dnia reszta upłynęła przyjemnie, jak zawsze. Nadszedł proboszcz, ksiądz kanonik Balcewicz, ale już o prim aprilis nikt ani wspomniał.

W lat pare po téj historyjce pierwszokwietniowej, widywałam na ulicy w Warszawie starą kobietę, z ruchami świadczącemi o elegancyi pewnej, biało ubraną — chociaż ta białość raczój na wątpliwy zakrawała, kolor: w płaszczyku z nankinu, wybielonym przez pranie; w kapeluszu starym, jedwabnym, białym także, z gazową przybrukaną zastoną. Przypomniała mi się zaraz owa tajemnicza wtedy, w Garwolinie widziana podróżna. Mówiłam o niej Augustowi, gdy w tém odzywa się Bogdan Dziekoński:

— Mogę ja rozwiązać zagadkę i powiedzieć państwu, kto jest tą białą damą.

— Któż taki? Powiedz panie! prosiłam.

— Magnatka węgierska, dziedziczka dóbr i tutaj, a dziś nieszczęśliwa żebraczka i waryatka, chociaż nieszkodliwa. Biega tylko po świecie, jakby dusza potępiona, i zdaje się jój ciągle, że wielką jest panią. Przyniosę pani jutro jój bilet wizytowy.



I przyniósł. Była to dość duża karta z wydrukowanym napisem:

„La Baronne Managhetta et Lerchenau, veuve d'un magnat d'Hongrie et Seigneur des plusieures terres en Pologne, née de Grunwald.“

Dziwnie się to plecie,  
Na tym biednym świecie!

W Górznie widziałam z bliska i słyszałam pierwszego oficera moskiewskiego. Przechodziło wojsko, piechota, z głębi Rosyi do Warszawy, i stanęło kwaterym na 24 godzin.

Pan Klemens przyszedł i opowiadał nam tę nowinę, dodając:

— Oficera pomieściłem u sołtysa.

— Chciałabym go widzieć! zawołałam.

— Każę go poprosić na herbatę — odrzekł — dla zrobienia przyjemności bratowej.

Przyszedł tedy — biedaczysko! Nie wiedział ani jak się ruszyć, ni też jak usiąść. Prócz moskiewskiego, żadnego innego nie znał wyrazu. Nikt w domu po rosyjsku nie mówił, prócz guwernera starszego syna Klemensostwa, więc też na niego spadł trud cały rozmawiania z gościem. A nie mógł się wypowiedzieć

do jak wysokiego stopnia najzupełniejsza ignorancya tegoż dochodziła.

Nazajutrz już mu objad na kwatere posłano.

— Myślę, że bratowa dość już miała wczoraj przyjemności — uśmiechnął się pan Klemens.

— Aż do obudzenia litości i miłosierdzia! odrzekłam.

Lubiony i szanowany przez współobywateli, Klemens Wilkoński, posiadał i ogólną a szczerą miłość wiejskiego ludu. Boć też z prawdziwie ojcowską dlań był pieczą. Łajał i sierzcił się, gdy kto zawinił, ale zawsze w sposób ojcowski. Gdy wyszedł na wieś, to i godzin kilka nieraz zabawił. Lubił z chłopkami pogadać, pokumać się, pouczał ich i w niejednym oświecił.

⟨ Jest zwyczaj w Podlaskiem pomiędzy wieśniakami, że gdy dziewczyna za mąż idzie, to na dzień trzeci po ślubie przyniesie do dworu: kawałek chleba razowego, kawałek kołacza, sér, jaj pare, a nawet i zwitek przedzy na okaz, że umie być gospodynią. Znalazłam ładnym ten zwyczaj, twierdząc, że ma w sobie coś patryarchalnego i rodzi pewne ciepłejsze uczucie, które wiąże włość z dworem. Ile razy nowo-zaślubiona stuliny — bo tak zowie się ta zbieranka — do

dworu przyniosła, sam pan Klemens odebrał od niej koszyk i rozmawiał z małżeństwem przyjazno. Własną ręką powykładał z koszyka kawałki chleba, kołacza, sera; wypowiedział nowo-zaślubionym naukę moralną — i poczęstowani, obdarzeni, z błogosławieństwem ojcowskiem dziedzica do domu odeszli. — Klemens Wilkoński twierdził, że zwyczaj ten datuje ze średnio-wiecznego stosunku chłopca do pana — a początek jego niemoralnym był bardzo. — Później jednakże stał się patryarchalnym poniekąd, a dzisiaj powinniśmy każdy duchowny obyczaj i zwyczaj przechowywać, jako drogą po praojcach tradycją, bo wyciągając jedną cegielkę po drugiej, osłabilibyśmy budowlę całą. >

> Doktor z Garwolina był rocznie zgodzonym i po raz parę w tygodniu Górzno odwiedzał — jako i należące doń wioski: Łąki, Samorządki i t. d. — Nadto miał Klemens i domową dość zaopatrzoną aptekę, a na mniejsze i zwyczajne cierpienia w nieobecności doktora, sam lekarstwa robił i wydzielał. > Bo będąc na uniwersytecie w Wrocławiu, gdzie słuchał prawa, także i na medycynę uczęszczał. Lekarstwo zwykł sam zanosić; pouczał, jak zażywać je mieli i nakazał dyetę. Chorych odwiedzał i niera zprzy nich posiedział.

Lubiący naukę i piśmiennictwo, czytywał wiele — aż do namiętności. Bywało, że właśnie miał pójść do gospodarstwa, albo wyjechać na który z folwarków,

gdy mu przyniesiono paczkę książek, nadeszłą z Warszawy, lub téż nadesłaną przez sąsiada którego. Stojąc już z czapką na głowie, otwiera ją pospiesznie, rozkłada książki i czytać zaczyna. Czyta echiwie — a czyta — nie ruszając się z miejsca — nie siadając — i po długiej dopiero chwili, nasyciwszy nieco gorączkową żądzę wiedzy, pakuje książkę do kieszeni i wybiega.

— Stachu! bój się Boga, bo mi pilno — mówi do woźnicy, który przede-dworem czekał od godziny. — Siada na bryczulkę, klepie Stacha po ramieniu, dodając jeszcze: ruszaj, chłopcze, ruszaj!

Konie rąco pobiegły, bryczulka poturkotała — a pan Klemens książkę ręką przytrzymał w kieszeni.

Gdy przyszedł do gumien, poczynił rozporządzenia i wydał rozkazy; przekonał się, czyli spełniono wczorajsze — to i przystawał znowu za węglem sto doły lub śpichlerza, wydobył książkę i chociaż kilka przeczytał kartek, dopóki nie nadszedł ekonom, karbowy i t. p.

Pamiętam, raz w Warszawie przyszedł do mnie. Mieliśmy o jakimś dość ważnym pomówić przedmiocie, gdy w tém podjął ze stolika *Revue des deux mondes*. Uderzył go szczególnie artykuł jakiś i czytać począł. — Augusta w domu nie było. — Po chwili zagadałam do niego.

— Zaraz, zaraz, kochana bratowo! odpowiada mi i czyta dalej.

Po półgodzinném czekaniu przerywam mu znowu.

— Zaraz . . . zaruteńko! . . . Przepraszam. Chwileczkę tylko! — i czytał dalej.

Już mu nie przeszkadzałam więcej, czekając cierpliwie. Wreszcie blisko po trzech godzinach, przeczytawszy cały, głębokiój nauki artykuł, książkę zamknął, trzymając ją jednakże w ręku — i wyrzekł:

— Zaczytałem się chwilkę, ale teraz jestem już na rozkazy bratowej.

Gdy August mu ramotkę jaką, świeżo napisaną, przeczytał — to aż do łez się uśmieł, a potém więcej humorystyczne powtarzał ustępy. W listach swoich czynił zwykle iluzye do różnych figur ramotkowych i opowiadanych humorystycznie wypadków. A czynił to z takiem rozmiłowaniem we wszystkiém, cokolwiek August napisał, że aż rozczulał. — Był gościnnym nadzwyczaj i rad odwiedzinom, prawdziwie z praojcowskim obyczajem. Niósł każdemu najserdeczniejszą życzliwość. Z zapomnieniem o samym sobie, byłby dla każdego nieba chciał przychylić! Zaczniejszego męża — z równie wielkiém sercem i piękną duszą, cały ogarniającą ogół, z równie szlachetną prostotą, bez cienia egoizmu — nie napotkałam w życiu.

Proboszczem w Górznie był przez lat wiele ks. Augustyn Balcewicz, honorowy kanonik — rodem ze Żmudzi. Kapłan, rzeczywiście wielkiej nauki, uczeń uniwersytetu wileńskiego. Między innemi znał dobrze i gruntownie język litewski. Przekonań był liberalnych, z zasady demokratą rozumnym, a przytém cenił bardzo zewnętrzne formy, towarzyskie i zważał na nie. Gościnność jego i patriotyzm znane były. — Gdy zjawił się Żyd wieczny tułacz Sue'go — czytał go z nieokreślonym zajęciem. Romans ten wychodził, jak wiadomo, zeszytami, które rozsyłano pocztą. Zaciekawiony wybiegał nieraz aż do zwierówki, by odebrać co rychlój ciąg dalszy tój powieści. Przy końcu podobno rozczarował się nieco.

Przypominam sobie z wielką przyjemnością jedną z rzadkich uroczystości w Górznie, to jest: przybycie księdza Gutkowskiego, biskupa podlaskiego. Nie pobierając dochodów żadnych z rozkazu rządu, zostawał wtedy na stolicy biskupiej w Janowie, utrzymywany jedynie na stopie odpowiedniej zupełnie, przez zbierane dobrowolne składki w dyecezyi całej.

Przytoczę tutaj życiorys ś. p. księdza Gutkowskiego. Wiadomość powzięłam z wiarogodnych źródeł: od wysoko postawionych prałatów naszych.

Jan Gutkowski na Gutkowie, w Gubernii Płockiej, urodził się 27 maja 1776 r. ze szlacheckiej, ale niezamożnej rodziny. Mając lat szesnaście, wstąpił r. 1792 do kawaleryi narodowej, z pragnieniem w duszy bronięcia konstytucyi trzeciego maja, sejmu czteroletniego. — Olbrzymiego będąc wzrostu, wydawał się starszym wtedy, aniżeli był istotnie. — Po ostatnim podziale Polski wstąpił do zakonu ks. ks. Dominików — braci kaznodziejów — w Warszawie. Wyświęcony został i przybrał imię Marcelego.

W roku 1806, po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, ksiądz Gutkowski został kapelanem wojska polskiego. W ciągu wojen Napoleońskich prowadził waleczne szeregi do boju, jako kapłan-Polak z mężstwem nieustraszonem we Włoszech, w Hiszpanii — a wreszcie i broniących granic francuzkich przed wojskiem najezdniczem. Zaszczycony został krzyżem polskim *virtuti militari* i legii honorowej.

Po klęsce nad Berezyną, jako legionista, zasłanym został na wygnanie do Czernichowa, z kąd dopiero w r. 1815 do Królestwa Polskiego i do Warszawy powrócił. Gdy przedstawionym został w. księciu Konstantemu, uderzyła księcia jego atletyczna a zarazem i wojskowa postawa. Wezwał go na wojskowego kapelana, a następnie mianował go naczelnym kapelanem armii polskiej. Niezadługo został i infułatem zamojskim. — Roku 1823, jako naczelny kapłan, dał

ślub księciu Konstantemu z hrabianką Anną Grudzińską. A wkrótce potem otrzymał dlań w. książę katedrę podlaską: r. 1826.

Ks. Gutkowski był jedynym biskupem, który w roku 1831 nie przystąpił do rewolucyi — i nie brał żadnego w téj mierze, jako senator, udziału.

W życiorysie ks. Gutkowskiego, zawartym w piśmach ks. Hieronima Kajsiwicza, powiedzianém jest:

„Książdz biskup podlaski przeciwko powstaniu r. 1830 nie protestował; owszem, jako biskup, choć na wezwanie powstańczego ministra wyznań ogłosił rozporządzenie konsystorskie: aby małżeństw mieszanych mianowicie z osobami grecko-rosyjskiego wyznania nie błogosławić: Dokum. XXV,— ale do senatu nie przybył i przez czas cały powstania w Warszawie się nie pokazał.“

Biograf nadto kładzie za powód pozostania ks. Gutkowskiego na uboczu, niesnaski jego z ks. arcybiskupem Prażmowskim, które opierały się aż o Rzym, dokąd ks. Gutkowski skargę zaniósł swoją.

Czcigodny mój korespondent tak dalej rzecz wyjaśnia.

„Po uspokojeniu kraju ksiądz Gutkowski został we wielkich względach u rządu rosyjskiego, ale — jakkolwiek stojąc po stronie dynastyi, stanął również śmiało i odważnie przy prawach kościoła. Ztąd bezprzeszanne wynikały spory i waśnie z rządem. Pier-



wszyj powód do sporów dało rozporządzenie Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, zakazujące czytać i mieć u siebie dzieło katolickie: „Zgodność i równość między nauką kościoła katolickiego a kościoła wschodniego co do dogmatu i dyscypliny.“ Dzieło to, napisane przez jednego z kapłanów naszych i wydane w Warszawie około r. 1826, opatrzone cenzurą duchowną i świecką rządową, było przez rząd zalecone duchowieństwu przed rokiem 1830 i listami pasterskimi przez biskupów przekazane wiernym. Taki list wydał był i ks. Gutkowski. Gdy więc rząd później, po roku 1831, zaczął grozić wysłaniem na Syberyą i uwięzieniem każdego, ktoby dzieło to czytał lub posiadał, i nakazał je sobie zwrócić albo niszczyć, — ks. Gutkowski oparł się téj deccyzi i do cesarza Mikołaja odwołał, wykazując nielogiczność władz. Działo się to za Storożenki dyrektorstwa Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych. Następnie taż Komisyja wydała wiele rozporządzeń i rozkazów, gwałcących ustawy kościoła. Korespondencye więc ks. Gutkowskiego z rządem przybierały coraz drażliwszą i cierpką formę. — Wtenczas to, nie chcąc zrywać z władzami, ani ich drażnić dalej, postanowił milczeć, sądząc, że tym sposobem zostawi władzom pole do namysłu i rozsądku. Na wszystkie ztąd odezwy władz, tycczące się cołości kościoła i jego gwałcące prawa, nie odpowiadał. Tak trwały rzeczy do

r. 1840. Znużony tém Storożenko oskarżył ks. Gutkowskiego przed namiestnikiem Paszkiewiczem, a ten zażądał objaśnienia od ks. Gutkowskiego.

Ks. Gutkowski w obszernej odpowiedzi wykazał szczegółowo wszystkie wyżej wspomniane odezwy Komisji Rządowej, ich niewłaściwość i niesłuszność, i na swe obowiązki jako stróż wiary się powołał. To dało powód do uwiadomienia cesarza Mikołaja o nieżyczliwości dla rządu biskupa podlaskiego i wzbronienie mu pobierania dochodów z dyecezyi swojej. A następnie z rozkazu cara ks. biskupa Gutkowskiego aresztowano, wywieziono z kraju i osadzono go w klasztorze ks. ks. Dominikanów w Rosyi, gdzie żył tylko z dobroczynnej jałmużny.

W r. 1844 stolica apostolska zażądała od ks. Gutkowskiego, aby dla dobra i pokoju biskupstwa zrezygnował. Ks. Gutkowski usłuchał życzeń Ojca św., zrzekł się biskupstwa a za to uzyskał wolność wyjechania do Austrii i osiedlenia się we Lwowie z pensją 20,000 zł. pol.

W r. 1856 przy prekonizacyi nowego biskupstwa podlaskiego, Pius IX przeniósł księdza Gutkowskiego na stolicę arcybiskupią Miry in partibus infidelio.

Mam pod ręką udzielone mi kopije korespondencyj ks. biskupa Gutkowskiego z Komisją Rządową Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publicznego.

Nadto i o r y g i n a ł odezwy do duchowieństwa Dyecezyi Podlaskiej, który tutaj przytoczę, jako charakteryzujący szczególnie zasady jego i odwagę:

„Jan Marceł z Gutkowa

Gutkowski.

Z Bożej i Stolicy Apostolskiej Łaski Biskup Dyecezyi Podlaskiej, orderu św Stanisława wstęgi wielkiej kawaler.

Wszystkiemu Duchowieństwu tak świeckiemu jako i zakonnemu Dyecezyi Naszej zdrowie i błogosławieństwo pasterskie.

Wiadomo Wam Najmilsi Bracia, że są dwie władze do rządzenia ludźmi na świecie, to jest: duchowna i świecka. Obiedwie pochodzą od Boga, od którego wszelka władza pochodzi; non est potestas nisi a Deo. — Każda z tych władz ma szczególny swój zamiar, do którego dążyć powinna. Świeckiej jest przedmiotem porządek i dobro doczesne ludzi, o ile takowe nie sprzeciwia się ale pomocą jest ku dobru duchownemu. Duchownej zaś uszczęśliwienie na żywot przyszły. — Władzy świeckiej staraniem być powinno, aby ludzie używali dni bezpiecznych i spokojnych, ut tranquillam vitam agamus. Duchownej zaś, aby formować ludzi na synów Bożych, Jego dziedziców i współdziedziców Jezusa Chrystusa, Si autem filii et horedes, horedes, quid Dei autem Christi. Przewraca się więc ten porządek od Boga ustanowiony, podciągać władzę ducho-

wną pod władzę świecką, mięszać się do spraw duchownych i Jój atrybucyj wyłącznie należących: jest to sprzeciwiać się władzy od Boga postanowionój, jest to Jój nie słuchać i nad sobą nie uznawać. A na takich rzuca sam Jezus Chrystus przekłństwo, gdy mówi: „Kto was słucha, mnie słucha. Kto wami gardzi, mną gardzi — qui vos audit me audit, qui vos speruit, me speruit. I znowu, jeżeli kto kościoła nie słucha, niech-ci będzie jako poganin i jawno-grzesznik: si quis Ecclesiam non audierit, sit tibi sicut ethieus et publicanus — Math. c. 18. Ustanawiając Pan Bóg te dwie władze, chciał aby się utrzymywały i wspomagały wzajem: jak więc władza duchowna winna się przykładać słowem i przykładem do uległości rządów i wykonywania praw monarszych w zakresie swoim — tak podobnież władza świecka przykładem i pomocą, gdyby wezwaną była, lub gdy zajdzie jawna potrzeba, powinna się przykładać do wykonywania praw i przepisów kościoła. Jak jest obowiązkiem władzy duchownej pożyteczne zamiary i postanowienia Rządu wspierać całą usilnością. Tak znowu Rząd świecki do władzy i spraw duchownych mięszać się, przeszkadzać i uwłaczać w niczem nie powinien. Taka to harmonia i porozumienie obudwu władz pomiędzy sobą być powinna, gdyż takie tylko utrzymują bezpieczeństwo, szczęście i pomysłność społeczeństwa.

Przecież źli i przewrotni ludzie, niepomnając na

te święte prawa, wdzierają się częstokroć w to, co do nich nie należy i chcą przewrócić porządek od Boga ustanowiony, a czego pomiędzy innemi jawnym jest dowodem p. o. Gubernatora cywilnego Gubernii Podlańskiej, który rozkazem swym pod 6/18 lipca r. b. Nr. 50759 do komisarza obwodu Siedleckiego wydanym, usiłował bezczelnie zaprowadzoną przez Nas administracyą parafii zmieniać, i innemu kapłanowi podług swojej woli powierzyć.

Jest to znowu dziwotworność otwierająca wrota do zamieszek i nieporządku; jest to zamach na który wzdryga się serce katolickie i téż tu słusznie zawołać należy: O! świecie niegodny czci ani wiary, bądź-że przecież kiedyś mędrszym w bojaźni Bożej.

Krok więc ten fałszywy i niecne postępowanie rzeczonoego zastępcy, gwałcące w punkcie kardynalnym prawo kościoła, przez wdzieranie się w rzecz duchowną, do władzy świeckiej zupełnie nienależącą, u nas jeszcze niepraktykowane, śmiało i bezwstydnie popełnione, nim najwyższej władzy do ukarania przedstawioném zostanie. Również jako i drugi w pominięciu kolei reskryptów Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publicznego, z dnia 16/28 stycznia 1837 r. Nr.  $\frac{5018}{19705}$  przepisany; a polecenie wprost Rządcom kościołów przez komisarzów obwodowych głoszenia manifestu przez Najjaśniejszego Pana z d. 2 lipca r. b. wydanego, bez odniesienia się do

władzy dyecezyjalnej, nieczekając Jej zezwolenia, którą nawet sama Komisya Rządowa Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publicznego zachowała dla wzoru, czyniąc do Nas pod dniem <sup>15</sup>/<sub>27</sub> lipca r. b. Nr. 5904 swoją odezwę o polecenie duchowieństwu ogłoszenia rzeczzonego manifestu i odprawienia stósownego nabożeństwa, cośmy też Wam, Najmilsi, polecili dopełnić listem Naszym pasterskim w dniu 31 lipca do Was wydanym.

Takie, mówię, postępowanie p. o. Gubernatora Podlaskiego zmusiło Nas przedewszystkiēm do wznie-sienia tego głosu i oznajmienia Wam, abyście przez takowe postępowanie w błąd, lub wątpliwość, jak ma-cie się rządzić nie popadli, przypominając Wam poprzednie rozporządzenia Nasze w tym przedmiocie wydane, jeszcze raz jawnie i wyraźnie oświadczamy: aże-byście żadnych podobnych rozkazów władzy świeckēj, a tēm mniēj w rzeczach świętych, Wam do wykonania niewłaściwie narzuconych, bez wyraźnego, poprzedniego zezwolenia nie słuchali, nie ogłaszali, nie wykonywali, pod zagrożeniem ścisłej osób odpowiedzialności, odnosząc się zaraz w takim razie do Nas z zawiadomieniem.

Ostrzeżenie to ma być z uwagą przez wszystkich kapłanów Dyecezyi Naszēj przeczytane, w aktach kaźdego kościoła w kopii zachowane.

Dopilnowanie zaś tego W. W. J. J. Ks. Dzieka-

nom zalecamy, którzy wszystkich duchownych w Ich dekanatach zamieszkałych drogą zwyczajną o tém zawiadomić i po dopełnieniu zdać Nam raporta nie omieszkają.

(podpisano) Jan Marcel,  
biskup. M. P.

Do

JW. X. Tarkowskiego, Kanonika kon.

kat. Podl., Dziekana, Proboszcza

Łaskarzewskiego

w Łaskarzewie

---

Ksiądz biskup Gutkowski umarł we Lwowie, w obranym sobie na mieszkanie klasztorze ks. ks. Franciszkanów, dnia 2 października r. 1863 — licząc lat dziewięćdziesiąt, szacunkiem otoczony powszechnym.

---

Było to krótko przed wywiezieniem ks. biskupa podlaskiego z Janowa, gdy wdzięcznym dla dycieczyi powodowany uczuciem, jako i dla podniesienia ducha, puścił się na objazd po Podlaskiem całym. Przeto zapowiedzianém także zostało przybycie szanownego prałata i do Górzna — jako do parafii rozległości znacznej.

Poczyniono téż z serdeczną chęcią przygotowania

wszelkie na przyjęcie dostojnika kościoła. Brat Kle-  
mens zaprosił obywatelstwo o mil pare. Zjechało  
księży dużo, i mieszczan i ludu wiejskiego tłumy po-  
dążyły.

Ksiądz biskup przybył kareta czworokonną, jak  
się przynależy, z dwoma kapelanami i ze służbą po-  
trzebną. I przez trzy dni zabawił.

Nabożeństwo odbywało się uroczyste. Ks. biskup  
celebrował i bierzmował. Msza św. przy wszystkich  
ołtarzach wychodziła jedna po drugiej. Księża słu-  
chali spowiedzi nawet i na smętarni, tak wielkim był  
natłok.

Po skończoném nabożeństwie wszystko zawitało  
do dworu — i dnia reszta przyjemnie towarzysko  
spłynęła.

Ks. Gutkowski posiadał obok przynależnej po-  
wagi i nader względne formy towarzyskie. Twarz jego  
dużych rysów i grubych miała wiele inteligencyi i do-  
brodusznego wyrazu. Posiadał uprzejmość naturalną  
bez unużenia siebie i drugich.

Illustrissime dużo chodził po ogrodzie, a uwagi  
czynione świadczyły, że zna się na hortikulturze, że  
lubi drzewa i kwiaty. Rozmowa jego była swobodną  
i zajmującą.



Drugi prałat, którego w Górznie poznała, był sufragan podlaski, ks. Paliszewski, stryj pani Klemensowój. Zjechał z Kodnia, z kapelanem na dni kilka, właśnie gdy i myśmy tam byli. Rozumny, wesół, dowcipny, doskonałego zawsze humoru, bardzo towarzysztwo ożywiał.

Zapytał starszego syna pana Klemensa:

— Chłopcze, uczysz się po łacinie?

— Uczę, dziaduniu dobrodzieju.

— To powiedz-że mi, jak po łacinie nazywa się kiełbasa, a jak ziemniaki?

Chłopiec zamyślił się i coś tam odpowiedział.

— Ej, nie tak! Nie wiesz tego jeszcze! Więc ciebie nauczę: otóż kiełbasa nazywa się *r e r u m*, bo jada się rzadko, a ziemniaki *s e m p e r*, bo częstują niemi codziennie. Dawniój, za moich latek młodych, to *s e m p e r* była kasza, ale *mutantur tempora!* — Dziś ziemniaki są na porządku dziennym.

— A, panie profesorze — zwrócił się do nauczyciela — czy asindzi możesz mi tę kwestyą rozwiązać, co było pierwój: jajko czy kura?

Nauczyciel się rozśmiał.

— Otóż widzi profesor, że to jak gdyby zadanie o kwadraturze koła. Nawet i najmędrszy rabin tego nie rozwiąże!... Słyszałeś asindzi o onym głęboko uczonym, wielce mądrym rabinie, co to lata długie myślał a myślał, rozważał i rozmyślał, że aż jak go-

łąb posiwał, a nikt odgadnąć nie mógł, coby mędra tak zajmowało wyłącznie.

— To i cóż to było, księże biskupie? zapytał nauczyciel.

— Po latach dopiero, gdy jakiś odwiedził go talmudzista uczony, wyznał mu nakoniec z otwartością całą, nad czém swój żywot prześlęczał. — „Otóż — zagadał — wznosząc oczy i ręce — gdyby wszystkie drzewa na całym świecie jedném tylko były drzewem; gdyby wszystkie morza, rzeki i jeziora w jedną wielką zlały się wodę; gdyby wszyscy mężczyźni w jednego jedynie przemienili się chłopą; a gdyby chłop ten ściał siekierą ono wielkie drzewo, i to w tę wielką wpadło wodę, to i jakieżby to okrutny był plumps! Aj waj! Aj waj! Aj waj!“ — i pokiwał głową. — Drugi uczony wytrzeszczył oczy i otworzył gębę, wielkość podziwiając myśli.

Augusta polubił ks. biskup bardzo. I téż ich żarciki, dowcipkowe szermierki bezprzestannym tryskały potokiem. Szkoda, że ich nie spamiętała.

Ks. biskup Paliszewski zaledwo miernego dochodził wzrostu, był szczupłej budowy a inteligentnego wyrazu twarzy.

Ksawerego Branickiego — syna hetmana, generała gwardyi królewskiej, Targowiczana — dziedzica Kodnia i t. d., i t. d., wspominał jako człowieka prawnego bardzo, który jakkolwiek urodzony z Engelhar-

dowej, a siostrzenicy Potemkina, w r. 1831 raczej polskiej sprzyjał sprawie. — Ożeniony był z Potocką, matką pani Andrzejówej Zamojskiej z pierwszego małżeństwa — także z domu Potocką.

W roku 1845 umarła pani sędzina Paliszewska w Warszawie, gdzie na kuracyą zjechała. Kółko rodzinne w Górznie straciło ukochaną matkę i babkę. I życie towarzyskie tamże postradało dużo.

W Górznie poznaliśmy także marszałka szlachty Gubernii Lubelskiej, hrabiego Jezierskiego z Ryk. — Odnosił się, jako marszałek, z niejednym do pana Klemsa, którego cenił i o którym wiedział, że jest lubionym w obywatelstwie. I z nim też pospołu wizyty w niektórych oddał domach.

Był to człowiek bardzo rozumny, bystry i niezmiernie zręczny w życiu towarzyskiem. I tak: z panem \*, zawołanym rólnikiem — hreczkosiejem wedle dawnych reguł gospodarczych — mówił tylko o onym trybie dawniejszym; pani \*\*, zamiłowanej w romanso-

węj literaturze francuzkiej, prawil o Balzac'u, George Sand, Gozlan'ie i t. d.; pani Klemensowej mówil o jěj synach, których całém uczuciem matki kochała — i ich przyszłości...; pannie \*\*\* o balach i modach; inněj znowu o muzyce, wielce umiejjetnie; — z panem Aleksandrem Rejnshmittem, b. komisarzem skarbu, o czasach Konstantynowskich: o literaturze naukowěj, francuzkiej i niemieckiej; z panem Stanisławem o nowym systemie gospodarstwa: o drenach i t. p. Z Augustem dowcipkował — prawil o Ramotkach, ze mną o powieściach moich... Dość, że każdego znał słabostki i z każdym mówić umiał.

Razu jednego, gdy nas tylko w kółku zastał domowém, począł mówić o rewolucyi r. 1831.

— Było to dzieło wielkiej odwagi, a większego jeszcze zapału — wyrzekł — jakim mało który naród poszczycić się może: należy się czołem uderzyć przed niem... ale skutku osiągnąć nie mogło! Znałem i wiedziałem to aż nadto dobrze, więc też nie łudziłem się nadzieją żadną — westchnął. — Pojechałem do Petersburga, do cara... ażeby pojednanie czyli łaskę uzyskać. Byliby mnie rodacy poczeiwi pewnie powiesili za to, lecz poświęciłem się dla dobra kraju: zaryzykowałem życie dla przyszłości ojczyzny.

Może i w miejscu będzie tu przytoczyć, co mi opowiadał b. oficer pułku ósmego wojsk polskich, pan Chlebowski:

— Miałem służbę w pałacu namiestnikowskim przy dyktatorze. Chłopicki był właśnie przy obiedzie, gdy Jezierski wprost z Petersburga zajechał. Dyktator powstał od stołu i wyszedł z nim do drugiego pokoju. Po chwili wszczęła się wrzawa, bieganie służby: „Dyktator dostał nagłego napadu pomieszania zmysłów!” — Przywołany lekarz krew mu puścił. Po mieście wieść się rozbiegła: że dyktator dostał obłąkania.— Wyzdrowiał. Ale ja wiedział, że to wiadomość z Petersburga spowodowała ten atak.

---

## Policzna.

Jasieniec  
Da wieniec.  
Na Boryczy  
Ryb nie zliczy.  
Sycyna  
Da wina.  
Policzna  
Jest śliczna!  
A Czarnolas  
Wyżywi nas.

Wiersz ten, jak go tu podaję, utrzymał się w tamtej okolicy w rodzinach Kochanowskich i Pieniązków.

I rzeczywiście, że Policzna nader ładne ma położenie, nieco pagórkowate, przytém łąkę — staw — strumyk — i widok na okolicę. Wieś ciągnie się długa,

kościół stoi na podniesieniu, dość odległe od dworu. Wybudował go Andrzej Białoczewski, dziedzic Policzny, i pozyskał erekcyą 1531 r. na zasadzie: że Policzna, Czarnolas i Świetlikowa-Wola zbyt daleko miały do parafialnych kościołów w Zwoleniu i Sieciechowie. Kopia aktu erekcyi, z akt biskupich krakowskich, dopiero na d. 14 grudnia 1598 r. plebanii polickiej przesłaną została. Kościół drewniany zgorzał i wybudowała nowy Ewa z Szaniawskich Suchodołska \*), takż z sosnowego drzewa, poświęcony 30 listopada 1741 r. Patronami obrani zostali św. Jan Nepomucen i św. Antoni.

W jednym dziedzińcu, obszernym, stał pałac niewykończony jeszcze. \*\*) W drugim, długi browar na pańskie przerobiony mieszkanie. Obok był ogród kwiatowy, a w nim drzewa wielkie, odwieczne. Poza pałacem nowo założony ogród obejmuje mórg siedmdziesiąt. Rządził i rządzi w nim dotąd ogrodnik: Kunstgärtner ze Saksonii sprowadzony — znaczną pobierający pensyą. Była tam ananasarnia, cieplarnia kwiatów i szparagarnia, dostarczająca na nowy-rok szparagów.

---

\*) objaśnienie to mam od dzisiejszego plebana polickiego, za uprzejmém pośrednictwem pani Anieli Boguckiej dzisiejszej dziedziczki Policzny, która mi nadto innych udzieliła jeszcze wiadomości — za co szczerze jestem jéj wdzięczna.

\*\*) Dziś wykończony.

Pani marszałkowa, Tekla z Pieniążków, liczyła wtedy już lat 88 — jak mówiono — a jeszcze ślady dawniej przychowała piękności, rzadką rzeźwość umysłu i czerstwość ciała. Była to zacność i prawość uosobiona, rozumna i sprawiedliwa. Pamiętam ją, jakoby wczoraj widzianą: miała wzrost średni i mierną tuszę, a trzymała się prosto. Czoło jej przysłaniały blond loczki; niebieskie oczy wiele jeszcze zatrzymały wyrazu, a przedewszystkiem miły pozostał jej uśmiech. To też nieraz, gdy tak uśmiechnęła się wdzięcznie, pan marszałek zawołał:

— Jakże to miłusio uśmiechnęła się Teklunia! i pocałował ją w rączkę.

Nosiła czepeczki koronkowe, tiulowe, najczęściej z błękitną wstążką, bo kolor ten ponad inne lubiła. W lecie zwykle ubierała się w białe, walisówce szlafroczy, z falbankami wąskimi. Na ręku miała pierścienki i mitenki jedwabne. — Kochałam ją, to i wszystko żywo wraziło się w pamięć. Bo i jakżeż nie było jej szanować i kochać? — Szczyćę się także, że i ona mnie lubiła — a nawet swoją nazywała pieszczołką.

Pan marszałek był młodszym od żony o lat dwadzieścia — ale widząc ich teraz razem, nikt-by tak wielkiej nie przypuszczał różnicy. Rysy miał wydatne nos orli, oko duże szafirowe: za młodu podobno



nadzwyczaj piękne; twarz rumianą, włosy przy łysinie bielutkie, postawę składną, ruchy żwawe, a głowę nosił wysoko. Zachował nadto i ezerstwo młodzieńczą niemal, bo po mil kilka przeharcował bez wytehnienia na dzielnym wierzchowcu swoim, ulubionym wybrańcu. Zaeny i prawy obywatel, sąsiad uczynny, Polak całą duszą — bywał aż do zbytku gościnnym.

Lubił wystawność, gdy sama pani więcej skromność przestrzegala. Nie sprzyjała nawet owemu wielkich rozmiarów ogrodowi i podobno, że tam nie chodziła nigdy. Sprzeciwiała się także, jak nam mówiono, i wykończeniu pałacu. — Gdy ją kto nazwał jaśnie pani, odpowiadała zwykle:

— Jaśnie  
Prędko gaśnie,  
Mospanie  
Zawsze zostanie.

— Nie lubię, gdy mnie przezywają jaśnie!

Pan marszałek Malachiasz Bogucki rodem z Galicyi, a bliski krewny Pieniążków, drugim był mężem pani Tekli. W młodym wieku wydana została za kasztelana Potkuńskiego, dziedzica Polieczny. Bogaty a nie młody już, otoczył żonę, w której kochał się szalenie, wszelkimi przyjemnościami życia. Dom jego obrzmiewał ciągłą zabawą i festynami. Raz nawet,

na św. Teklę, sprowadził jęj towarzystwo dramatyczne z Warszawy.

Zacna niewiasta przywiązała się do niego i wzorową była żoną. Opowiadała mi, że z trwogą przeczuwała śmierć kasztelana. Wypadła mu nagła podróż, podobno do Warszawy. Wyjechał w dzień feralny z domu i łzami jęj powstrzymać się nie dał, wyśmiewając zabobon. W drodze zachorował — i już go żywego nie zobaczyła więcej. — Pani marszałkowa, powtarzam, rozumna bardzo kobieta, wierzyła jednak w dni feralne i miała je zapisane.

Owdowiała mając lat czterdzieści — a była jeszcze piękną i wyglądała młodo zupełnie. Dzieci nie miała a majątek posiadała znaczny. To też mnóstwo o jęj rączkę jawiło się konkurentów.

Milę od Policzny, w Łagowie, mieszkał pan Stanisław Pieniążek, plenipotent ongi króla Stanisława Augusta, a stryj rodzony pani Tekli i opiekun. Ten nastawał koniecznie, ażeby wybór małżonka zrobiła co rychlęj, lecz ociągała się zawsze.

W tym czasie przybył do Łagowa Małachiasz Bogucki, dwudziesto-letni a piękny młodzian. Pan Małachiasz bywał naturalnie w Policzny — i zakochał się na umór w pięknej wdowie. Nie przypuszczał jednakże, ażeby pani kasztelanowa jego gorące przyjęła afekta — wśród zastępu zasłużonych już i wysoko

postawionych obywateli. Patrzył się więc tylko na nią wielkimi szafirowemi oczyma.

Lecz nad słowa,  
Wymówniejsza oczów mowa!

To téż pani Tekla zrozumiała ją dobrze — bo i któreż serce niewieście nie potrafi jęj zrozumieć? Chyba, że zrozumieć nie chce — albo téż, że serce w nięj żadném nie kołacze uczuciem.

Przed panią Teklą piętnastu, dwudziestu uderzyło czołem. Stryj dobrodziej nalegał — i otóż przyrzekła wreszcie, że w dniu św. Tekli wybór uczyni niechybnie.

Nadszedł dzień ów ważny. Zjechała liczna rodzina. Sąsiedztwo całe — i długi szereg konkurentów. Wszyscy czekali na sali ukazania się solenizantki. Stryj dobrodziej wyszedł, ażeby ją wprowadzić. Służba otworzyła podwoje i wsparta na jego ręku, ukazała się gwiazda policka.

Pan Stanisław był w stroju polskim bogatym, w pysznym złotem tkanym pasie, przy karabeli w drogie osadzonej kamienie. Pani Tekla miała włosy utrefione pięknie, w nich dyadem brylantowy i zarzucony z lekka kwefik koronkowy. Suknią aksamitną zieloną, ozdobioną z przodu perłami. W uszach brylanty, na szyi kryzę koronkową i perły z brylantowym zamkiem.

Szereg wielbicieli oddał jęj pokłon głęboki, i od-

kłoniła się wdzięcznie. Posypały się szumne życzenia, więc i pokłoniła się znowu. Poczém wyciągnęła rękę ku panu Malachiaszowi i wyrzekła:

— Stryju dobrodzieju, otóż mój przyszły małżonek.

Młodzian uszczęśliwiony zdumiał — na kolano upadł — i podaną sobie rączkę gorącemi pocałunkami obsypał.

— Podać mi kielich, kulawkę! zawołał stryj dobrodziej, i podano mu kielich piękny, rodzinny, bez nogi. — Ku czci i powodzeniu narzeczonej pary! wyrzekł i perlący węgrzyn wychylił.

Przede dworem wypalono z mozdierzy. Odezwała się sławna kozienicka kapela i liczne okrzyki: niech żyją!

W Policzny gościło zawsze rezydentek i rezydentów kilku. Przebywała liczna rodzina Pieniążków, Olechowscy, Potkańscy, Kochanowscy, Kosiccy, Deskurówie, Czoleczyńscy, Glińscy, Krassowscy, Lemańscy, Osławscy, Lisowscy, Horodeńscy, i t. d. — Panowie Karczewscy, wnukowie pani Barbary z Krasieńskich Świdzińskiej — siostry Franciszki księżny Kurlandzkiej — a synowie poważnej powszechnie pani Bony z Świdzińskich Karczewskiej, Floryan i Cyryak.

Pani marszałkowa przyjmowała wszystkich z porówną uprzejmością, i przy jednym stole zasadzała

księżnę Jabłonowską, a dalej jaką zagrodową szlacheciankę, ale zacną kobietę.

Czarnolas niedaleko Policzněj leży, i księżna Teresa z Lubomirskich Jabłonowska, ile razy do tego dziedzictwa zjechała swojego, zawsze odwiedziła panią Bogucką i z wielkim dla niěj było uznaniem. Gdym księżnę tam po raz pierwszy spotkała, imponowała mi jeszcze pięknością swoją, lubo że już, jak twierdzono, lat blisko pięćdziesiąt liczyła. Miała wzrost słuszny i figurę dobrą. Płeć piękną, rysy wdzięczne, nasek nieco łała Roxélańc, cudnie piękne błękitne oczy i wyraz nieokreślenie powabny. A wyższą uprzejmością towarzyską umiała sobie pozyskać wszystkich.

Na św. Teklę zjeżdżało się do państwa Boguckich po sto osób i więćj, a imieniny przez dni kilka potrwały. W sali jadalnej umieszczono za piecem beczkę z winem, wprost z Węgier sprowadzoną — z której płyn złoty we wielkie, staro-świeckie toczono pułhary i spełniano je od razu przy odgłosie muzyki i śpiewów. Gdy wieczór zapadać począł, zapalono na dziedzińcu beczki ze smołą, wkoło których służba i wieś hulała sobie przy odgłosie skrzypków, bassetli, a niekiedy i dudów. Przededworem i w ogródku zajaśniały transparenta ku czci solenizantki, urządzone staraniem ogrodnika Sasa.

Razu jednego, nieco już w za dobrym humorze, pan \* poskoczył do kredensu, stojącego w rogu sali

by większy jeszcze wydobyć puhar. Silną dłonią pochwycił za pułkę nieszczęśliwie jakoś, i niemal cały kredens z trzaskiem i hukiem na ziemię powalił, a szkło i kryształy rozprysnęły się wkoło. Winowajca stanął jak truśka, poczerwinał i załamał ręce. Zmięszaliśmy się wszyscy — gdy w tém sędziwa pani domu z uśmiechem powstała i klasnąwszy w dłonie, wyrzekła:

— Gdzie się tłucze, gdzie się leje,  
Tam się zawsze dobrze dzieje!

— Nie frasuj się jegomość tą szkodą, bo nie zawadzi, że panowie mniejszemi napijecie się kielichami.

Pan \* ukląkł i zaśpiewał:

— Podajcież mi kielich: niech ta pani żyje,  
Póki komar z muchą morza nie wypije.  
Komarze i mucho, oj, pijcież powoli,  
Niechaj się ta pani nażyje do woli.

Podano mu kielich i zdrowie to powtórzyli wszyscy w około.

August przykląkł i zaimprovizował gorącą mowę ku czci najgodniejszej matrony polskiej: krew ze krwi, kość z kości dawnych niewiast naszych, godnych czesći i naśladowania.

Sędziwa matrona łzę miała na źrenicy i z uczuciem podała mu rękę. Nie pochwałała ona spehianie sążnistych puharów i wielkiej... pod tym względem przesady, ale aż nadto była względną dla małżonka i gości, ażeby to dać poznać.

Nie zapomnę nigdy, jak raz zdrowie moje wniesiono i posadzono mnie z krzesłem na stole — rozumie się, że już po obiedzie. W koło ze trzydziestu mężczyzn przykłękło i z kielichami w ręku ku czci mojej śpiewali. Pomiedzy tymi był i pan Jan Kochanowski, a jako nieodrodny potomek wielkiego piewcy z Czarnolasu, ciągle nowe improwizował zwrotki. Otóż, com s. amiętała:

Klęknijmy przed Polką z nad Warty,  
 By do wianka z róży i bluszcze wpleść.  
 Jeograficzne choć dzielą nas karty,  
 Łączą nas serca i bratnia cześć.  
 Póki Polki żyją, to i Polska żyje!  
 A gdy one świecą, Polak wrogów bije!

Z początku bawiły mnie te wiwaty — a rączej, wyznam . . . pochlebowały mi, — ale gdy przeciągnęły ię zbyt długo, gdy mi zdjęto trzewik i wstawiono weń kielich — gdy wzmagała się wrzawa — połało się wino po stole i sukni mojej; — ogarnęła mnie trwoga i pewnie jak ofiarny wygladałam baranek. Spojrzałam się błagalnie na Augusta. Jeden z młodych kuzynów domu przez litość oddał mi bucik, gdy kolej przysłała na niego — a mąż zesadził mnie ze stołu wśród głośnych wiwatowych okrzyków — na które, w imieniu mojem, wdzięcznym odpowiadał słowem.

7 ( Zwykle na takich fetach, po obiedzie, panie za-

mieniały suknie z pięknych materyj na lekkie. To i jakżeż było dobrze, żem muślinową włożyła!

Rozpoczęły się następnie tańce i do dnia białego potrwały.

Przez rok jeden mieszkaliśmy we wsi Garbatce dzierzawą, aby przykucnąć! — położonej między Bąkowcem a Policzną, ztąd też u państwa Boguckich byłam jakby wdomowioną. O miłej pamięci Garbatce pomówię poniżej, a tu teraz wprzód jeszcze słówko o św. Tekli — dla lepszego związku.

Obchodzono w tym roku szczególniej huczno imieniny pani marszałkowej: zjechało kilka osób z Galicyi z Warszawy, liczna z Sandomirskiego rodzina; brat męża mojego, Klemens, z panem Stanisławem Grajbunem z Podlaskiego — i obywatelstwo radomskie.

Znużona, zmęczona nad wyraz po nocy przetańczonej, pragnęłam rano na wypoczynek powrócić do domu. August kazał zajechać, ale panowie zabarykadowali wyjście, zdjęli płaszcz ze mnie, na sali zabrzmiał mazur — i tańczyć musiałam znowu. Wreszcie po kilku figurach wyprowadził mnie brat Klemens i wsadził do powozu. Z Augustem szamotali się jeszcze, ale wsiadł także i ruszyliśmy z miejsca. W tém panowie, czekający nas przy bramie, ujęli konie za cugle i zamiast ku Garbatce, zawrócili je przeciwnie.



Poprowadzili nas drugą stroną w dziedziniec i zajechaliśmy znowu przededwór. Wszystko wybiegło na powitanie z kielichem, ze śpiewem. Wysadzili nas, muzyka zagrzmiała polskiego — i śpiewając, powiedli nas na salę. Miałam niby łzy, przekorne w oczach, ale śmiać się musiałam.

Wreszcie — wreszcie wsiedliśmy szczęśliwie — i powóz ruszył ku bramie. Stała tam znowu gromadka wyfraczona i poprzednia miała powtórzyć się scena — ałem dłonie składała i błagała, by nas już puścili.

— Lecz państwo wróćcie?

— Wrócimy z pewnością — odrzekł August — niechaj tylko kobiecina moja prześpi się trochę.

— Słowo honoru?

— Verbum nobile!

Stanąwszy w Garbatce, upadłam wpół żywa na łóżko.

Nie wiem, ile upłynęło godzin, gdy mnie muzyka huczna, jakby jańczarska zbudziła. Zrywam się i dzwonię. Wbiegła Marya moja, śmiejąc się do rozpuku: panowie z Policznój przyjechali po nas z muzyką — mieli dzwonki, gruchawki, bęben i Bóg wie, jakie tam jeszcze instrumenta.

Ubrałam się pospiesznie. W pokoju bawialnym już August raczył się z gośćmi. Gdym weszła, krzyknęli: „Wiwat! Niech żyje pani nasza!“

Nie dawali odpoczynku i musieliśmy z nimi po-

jechać na obiad. W ciągu całej drogi muzyka grała. Chłopki śmiały się po wsi, a dziatwa biegła za nami, obdarzona przez panów drobnem grosiwem.

Pani marszałkowa ścisnęła mnie z uśmiechem, zapytując:

— A wypoczęła też aby trochę pieśczołka moja?

— Spałam przez godzin pare doskonale, moja pani najdroższa! — ucałowałam zaciąg panią.

Po sutym obiedzie, toastach i mowach wszystko wyległo przededwór, bo dzień jesienny był prześliczny, — i tutaj znowu różne wnoszono zdrowia pod jasnym błękitem, wśród drzew zielonych jeszcze.

Wniesiono za zdrowie pięknej panny Karoliny Pieniążkownej z Galicyi, i brat Klemens, podnosząc kielich, wygłosił:

— Niech żyje dziewica,  
Z róż, lilii jój lica,  
W niej polska krew,  
W niej polska krew!

— „W niej polska krew!“ zakrzyknięto wkoło. Brawo! Brawo! Raz jeszcze tę zwrotkę! — Posadzili pana Klemensa na słupie i raz drugi wiersz powyższy powtórzyć musiał.

A pan Jan Kochanowski zaraz doimprowizował:

— Polska dziewica  
Uroczę ma lica.

Lecz duszę wznioślejszą  
I jeszcze piękniejszą  
Od wdzięcznego lica!

Brat Klemens ze słupa zeskokczył i uściskał im-  
prowizatora, a August mowę ku czei jego wypalił.

Na sali zabrzmiała muzyka polskiego. Rozpo-  
częła go pani domu z panem Klemensem i długi bar-  
wny pociągnął szereg. Nastąpiły ohoce tańce, a pani  
Bogucka ze starszemi osobami do ówika zasiadła.

Przy takich wszystkich uroczystościach i stypach  
podziwienia godną okazywała wytrwałość. Rozpoczy-  
nała zwykle w pierwszą parę poloneza. Grywała wi-  
stha, ówika, i zawsze dopiero po północy udawała się  
na spoczynek.

Pani marszałkowa Bogucka posłużyła mi za wzór  
do mojej Pani Podkomorzyny — i do niejednego  
wspomnienia w powieściach moich, jako postać pra-  
wdziwie typowa dawniej matrony polskiej.

Przy pierwszej bytności naszej w Policznej spo-  
tkaliśmy tam panią \*ską, dziedziczkę sąsiedniej wio-  
ski. Uprzedzono mnie, że lubi dużo mówić i o swoich  
opowiadać podróżach. To też słysząc, że jestem z Po-  
znańskiego, zmierzyła mnie od stóp do głowy jakimś  
dziwnie badawczym wzrokiem. W tém podano melona.

— Państwo w Poznańskim — zagadała z prze-

kąsem — podobno nauczyliście się od Niemców jadać melona z tabaką.

Spojrzałam zdziwiona.

— Nie przyjmujemy od nich podobnych nauk — odrzekłam dotknięta nieco.

— Tak słyszałam przynajmniej.

— Słyszysz się wiele — odrzekłam, lecz nie wszystkiemu należy wierzyć. My n. p. nie wierzymy, chociaż tak mówiono, że tutaj dziegieć jest w modzie.

— Brawo! zawołał marszałek i klasnął w dłonie — Brawo!

— Pani \*ska jakiś niewłaściwy powtórzyła koncept — dodała pani marszałkowa, stukając w stół tabakierką niecierpliwie.

Pani \*ska nie zraziła się jednakże i dalej jeszcze ze mną wojnę podjazdową prowadzić pragnęła. — Augusta w pokoju nie było, ani też wuja.

— Czy tam upiększyli w czém Poznań? — zapytała znowu po chwili.

— Budują . . . — odrzekłam półgębkiem.

— Przejeżdżałam tam w młodości mojej, a wtedy była to nędzna miejscina.

— W którym roku? zapytałam.

— Na dwa lata przed rewolucją. Jeździłam za granicę z księżną \*ą do Włoch i zabawiłyśmy dzień jeden w Poznaniu. Z księżną były dwie córki i po-

szłyśmy na mszę św. do Fary, bo nam mówiono, że to najpiękniejszy jest kościół.

— Fara, zapewne, że i Warszawa takiego nie ma.

— Nie widziałam tego!... Ale jak się na mieście dowiedzieli, że udziałna księżna polska z pannami jest w kościele, cisnęli się za nami wszyscy: szlachta, mieszczaństwo, Niemcy, Żydzi, ażeby nas zobaczyć. Ciekawość była tak wielka, żeśmy zaledwo z kościoła wytłoczyć się mogły. Służba musiała tłumy rozpychać.

Uśmiechnęłam się i milczałam. Wujenka ścisnęła mnie za rękę, a pani \*ska prawila dalej:

— Wyjechałyśmy zatem co rychlej z nudnego Poznania, bo i przez ulicę przejść nie było można, tak za nami biegali i gawronili się wszyscy.

— Zapewne księżniczki pięknością swoją tę uwagę ściągają, albo strojem wielkim: odezwała się pani domu i wyjęła karty wisthowe ze stolika.

— Były piękne — odrzekła pani \*ska — i ubrane elegancko. Ależ to mieszczaństwo ciekawe, i Niemcy i Żydzi! — Z Poznania pojechałyśmy do Berlina. — Wielkie to miasto i wspaniałe. Stanęłyśmy w najpierszym hotelu, w którym prawdziwie po pałacowemu było.

— A czy w Berlinie nie obudziliście panie takiej samiej jak w Poznaniu, ciekawości? zapytała wujenka, ust przygryzając.

— No, w Berlinie, bo księżniczki wszelkie już nie są takim rarytasem. Ale skoro tylko król posłyszał, że przybyła księżna udzielną polską z księżniczkami, to i zaraz z wizytą przyjechał. Księżna go uprzejmie przyjęła. Usiadł przy stoliku, na którym stał biust jego i nieboszczki królowej. Spojrzał się na nie, a potem wyrzekł: „Że królowa tu stoi, to jest bardzo dobrze, lecz dla mnie w damskim salonie miejsce jest tutaj!“ — i biust swój postawił pod stół.

O mało, żem się nie rozśmiała, lecz wujenka spojrziała na mnie, jak gdyby powiedzieć chciała: „Niechaj brnie dalej!“

— Długo panie bawiłyście w Berlinie? zapytała też zaraz, zachęcając ją do dalszego opowiadania.

— Tylko dni pare, bo król koniecznie na dwór swój zapraszał: pragnął z balem dla nas wystąpić, ale księżna zaproszenia przyjąć nie chciała. Więc też nie bawiłyśmy długo, lękając się, ażeby nas w końcu nie zmusili prośbami.

-- A z Berlina pojechałyście panie . . .

-- Do Monachium. Podróż była prześliczna! — Przez jakież to prowadziła miasta, góry, rzeki!

— I Monachium jest piękne? — pobudzała wujenka ciągle.

— Kiedy i z Monachium musiałyśmy uciekać także.

— Czy znowu przed balem królewskim?

— Gorzej jeszcze! Na milę przed Monachium był śliczny zajazd, willa prześliczna. Księżna chciała zatrzymać się trochę i podwieczorkować.

— Czy księżna swojemi jechała koźmi?

— Gdzież tam! Ekstrapocztą, szóstką,

— I cóż było w tym pięknym zajeździe?

— Stały tam błyszczące ekwipaże, uwijała się służba dworska, a z okien otwartych dolatywały śpiewy i muzyka. Księżna zapytała markiera: Jacy tam są goście? — odpowiedział, że następca tronu z adjutantami i że wyprawia podwieczorek śpiewaczkom jakimś. — Oczywiście, księżna oburzyła się do żywego i już wyjechać nie chciała. Bo i jakżeżby miała z takim towarzystwem, z księżniczkami, pod jednym być dachem?! Kazała tylko wynieść limoniady i miałyśmy odjeżdżać zaraz. Tymczasem następca tronu posłyszał, że to udzielna księżna polska przejeżdża. Przybiegł zaraz do karety, prezentował się i błagał, zaklinał, by księżna wprost do zamku królewskiego, do rodziców jego zajechała. Księżna na to nie odpowiedziała, ale postanowiła tego nie zrobić. Pożegnała go. Ucałował jej ręce i księżniczkom i raz jeszcze zaklął, ażebyśmy wprost zajechały do zamku. Księżna jednak incognito przejechała przez rogatkę, stanęliśmy w hotelu, a nazajutrz rychło opuściliśmy Monachium.

— Dla czegoż to? zapytała jedna z pań obecnych.

— Dla czego? opowiadająca ramionami ruszyła.

Przecież zrozumieć łatwo, że księżnę nieprzyzwoite postępowanie następcy tronu z temi jakimiś śpiewaczkami zraziło.

— I jakże panie jechałyście dalej? pytała wujenka, ażeby się nie urwała nić zajmujących wypadków.

— Jechałyśmy na Tyrol, gdzieśmy widziały odnogę Morza Lodowego.

Pani marszałkowa pokręciła głową i poczęła karty mięszać wisthowe.

— Widziałyśmy wiele ciekawych rzeczy, że już niepodobna spamiętać. W Liwornie n. p. perły przy nas łowiono.

— Zapewne, że to jest ciekawe bardzo — pochyliła się ku niej wujenka.

— Wyłowili dużo prześlicznych muszli: różowych białych, pąsowych, a w każdej mnóstwo precudnych znajdowało się pereł. — Była to własność jednego z książąt włoskich, który i zaraz księżniczkom po kilka ofiarował muszli.

— I przyjęły?

— Błagał, klękał, ażeby je jako pamiątkę wywiozły, ale przyjąć nie chciały. Potem przez całe jechałyśmy Włochy, a ciągle we wielkim strachu przed bandytami. To też księżna wyprosiła sobie cały szwadron wojska, który nas aż do Neapolu odprowadził.

— Neapol paniom zapewne podobał się bardzo?



— Niezmiernie! Aleje tam ze samych drzew pomarańczowych, migdałowych, cyprysów, kaktusów, tak wysokich, jak ot gołębnik! — wskazała przez okno. — Pomarańczami dzieci po ulicach kulają, jakby kamkami. Jeździliśmy także do Herkulanum i Pompei. . .

— To było ponad wszystko zajmujące! I cóż tam pani widziała?

— Wiele, bardzo wiele! Pałace i kościoły podkopywane. W jednym z kościołów, gdzie wszystko pozłacane było, siedział Bernardyn w konfesyonale. . . .

— Bernardyn? — porwałam się, a wujenka pociągnęła mnie za suknię.

— A Bernardyn! Księżniczka Izelda, zobaczywszy go, przyskoczyła, dała mu szc lutka i rozsypał się w pył od razu. . . .

W tej chwili weszli panowie — i dalsze opowiadanie przerwaném zostały. Może byłybyśmy jeszcze posłyszały niejedną rzecz ciekawą.

Spamiętałam każdy wyraz téj Münchhausenjady — zanotowałam — i powtórzyłam tutaj z sumiennością ścisłą. Pani \*ska chciała zapewne tém opowiadaniem zaimponować i liczyła na prostodusznych słuchaczy, sama nie wiedząc co prawi. — Słyszając niekiedy przechwałki co do wielkiej, doznanej uprzejmości ze strony głów ukoronowanych, lub téż osób krwią należących do nich — a zdradzające zupełną nieświadomość ceremoniału dworskiego, — możnaby dla napo-

mnienia ich, powyższe curiosum o królu i następcy tronu przytoczyć.

August niezmiernie żałował, że przy tém opowiadaniu pani \*skiej obecnym nie był. — Spotykałam ją później, ale już nigdy nie podobnego nie mówiła. Była to zresztą osoba dobra, lecz z nader małym zasobem wykształcenia.

Mówiono mi, że dawniej swoim opowiadaniem w niejednym popisywała się miejscu — natrafiając dość często na łatwowiernych. ., . Później jednakże, podobno już nie wznawiała go więcej. Może i poznała się na ironii wujenki.

---

Dnia jednego, pamiętam jakby dziś, było to w niedzielę. W Policznój, jak zwykle, dużo zebrało się osób. Powietrze nęciło przecude i wszystko do ogrodu wyległo. Pułkownik Czołczyński podał mi rękę i w boczna skręciliśmy ulicę. Był to piękny mężczyzna: wysoki, postawy wojskowej, z siwym włosom, z twarzy do portretu jenerała Skrzyneckiego podobny.

— Powierzę młodziutkiej pamięci pani rzecz jedną — zagadał — która mi cięży na duszy. Chciałem ją opowiedzieć panu Augustowi, ale żywy, gorący, prędki, możeby przedwczesny zrobił użytek: zatem pewno serce niewieście zrozumie mnie lepiej.

Zdumiałam — i aż urosłam niby, że mąż taki, jak pułkownik, tyle mi zaufania okazał.

— Opowiedz mi pan pułkownik, zaufaj — odrzekłam pomieszana nieco.

— Pani pracujesz piórem.

— Bawię się, panie pułkowniku, bawię się — zapłonęłam.

Wiedziano, że napisała powieść : sława moich gryzmołów rozeszła się po okolicy... I otóż ono autorstwo obecną spowodowało rozmowę! — Wyprostowałam się — ale i zaraz korne pochyliła czoło.

— Byłem obecnym scenie, którą z całą prawdą i sumiennością przekazać pragnę przez cześć dla pamięci przyjaciela, który nieszczęsną zginął śmiercią, Mówię tu o jenerale Siemiątkowskim.

— A! zawołałam mimowolnie.

— W pamiętny wieczór dwudziestego-dziewiątego listopada byłem u jenerała i graliśmy wistha: on, pułkownik ówczesny Skrzynecki, który na dni kilka do Warszawy zjechał, adjutant jenerała i ja.

Wiedziałam od wuja, że pułkownik Czołczyński żył także w stosunkach bliższej przyjaźni z późniejszym dyktatorem.

— Jenerałowa w drugim pokoju małego pieścila synka. — W tém posłyszeliśmy strzały na ulicach. — „Co to?“ — zawołał jenerał i powstał. My także. Głucha wrzawa dolatywała, jakby spienione bałwany —

i znowu padały strzały. Służba wbiegła do pokoju i wojskowych kilku. — „Panie jenerale, rewolucya!“ wołali. — „Lud toczy się przez ulice, strzelają...“ — „Rewolucya?“ — „Rewolucya! Mają broń, zdobyli już podobno arsenał. Wojsko ączy się z nimi, a wszyscy krzyczą: „Do broni! do broni! Wypędzić Moskali! Niech żyje Polska!“ — Jenerał miał dyżur. Spiesznie przypina ryngraf i chwyta za czako. — „Dokąd jenerale?“ pyta Skrzynecki. — „Łączyć się z ludem, skoro rewolucya wybuchła!“ „Konia!“ zawołał na służbę. —

— „Z ludem? Raczej z motłochem ulicznym... Jenerale, jesteś szefem sztabu, powinność twoja w Belwederze, przy księciu! Tam udać się musisz!“

— „Meżu!“ zawołała jenerałowa, nadbiegając. — „Rewolucya! Lud powstał, wojsko...“

— „Gawiedź uliczna zrobiła fajerwerk“ — powtórzył Skrzynecki znowu. — „Jenerale, pomnij, że powinność twoja w Belwederze!“

Siemiątkowski dłonią przycisnął czoło. Wido- czna w nim odbywała się walka: nie wiedział, co począć.

— „Łączmy się z księciem!“ — Skrzynecki głos podniósł — „bo inaczej Polskę zgubimy!“

— „Polskę!“ jęknął Siemiątkowski.

— „Nie zważaj na motłoch!“

— „Jaśnie wielmożny jenerale, koń czeka!“  
oznajmił wbiegający lokaj.

— „Do Belwederu! Do Belwederu! Nie bierz srogiej odpowiedzialności na siebie!“ wołał jeszcze Skrzynecki.

— Siemiątkowski wybiegł. — „Mężu!“ jęła generałowa i załamała ręce. Jenerał jechał do Belwederu. Niedaleko zaraz od mieszkania swojego, przy Placu Saskim spotkał kompanię grenadyerów. Przemówił do nich w duchu, posłyszanej co tylko rady z ust Skrzyneckiego . . . i przeszła go od razu śmiertelna kula Balińskiego, podoficera. Znalazł śmierć bratobójczą z wyrzutem srogim, że sprawy ojczyźstėj odbiegł! — Nazajutrz, nieszczęśliwa wdowa wpadła do mieszkania Skrzyneckiego i najstraszniejsze czyniła mu wyrzuty, przypisując mu śmierć męża. — Zrozumiesz pani — dodał Czałczyński — że teraz jeszcze z różnych powodów o tém wszystkim przemilczeć potrzeba, ale zostawiam pani to opowiadanie w puściźnie zrób kiedyś z tego użytek i wyświeć prawdę.

Przyrzekłam i każdy spamiętałam wyraz. — Później, czytając Maurycego Mochnackiego: *Powstanie narodu polskiego*, napotkałam wzmiankę o powyżej opowiedzianym wypadku zgodną zupełnie, ale nie tak poszczegółową, jak mi to opowiedział Czołczyński \*) — zatem dopełniam tutaj woli zmarłego. —

---

\*) Tom III, str. 61.

Pułkownik Czołczyński nigdy dzieła Mochnackiego nie czytał i nie miał sposobności po temu — bo mieć je u siebie, Sybirem groziło.

Pana Stanisława Pieniązka w Łagowie, starca dziewiędziesięcio-letniego poznaliśmy także. Nie wyjeżdżał już wcale, lecz do siebie gości zapraszał. I jeździliśmy w towarzystwie marszałkostwa Boguckich, razy parę na wystawne zaproszeni objady.

Był to olbrzymiego wzrostu mężczyzna, a mimo wieku tak podeszłego, trzymał się czerstwo jeszcze i prosto. Nosił zawsze strój polski. W każdym pokoju miał przynajmniej o ćwierć łokcia wyższe dla siebie siedzenie, bo na zwykłym nie mógłby był usiąść. Siedząc opierał ręce na lasce z' pięknie wyrzeźbioną gałką złotą. Lubił opowiadać dykteryjki różne, przeplatając mowę swoją częstem moci dobrodziej u.

(Księgozbiór miał dość liczny, złożony z dzieł polskich, łacińskich, francuskich, włoskich, a podobno, że i manuskrypta różne. Wszystko — podobno! — zapisał Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie — jak mi mówiono.

Przyjęcie u niego było wykwintne, pańskie, kucharz wyborny.

Chodziliśmy raz wszyscy, pamiętam, na św. Stanisław, po ogrodzie, który w starym pozostał guście, ale miał piękne drzewa i kwiaty. Zerwałam kwiatek biały, amarantowy, niebieski i złączyłam je w bukiet.

— Co to? zagadał zbliżający się właśnie pan domu, wsparty na ręku pana Michała Lissowskiego z Przyłęku — nasza Poznaniańska ułożyła *tricolore*’ę?

— A czyliż te kolory nie harmonizują mile dla oka? odrzekłam, unosząc rękę z bukietem.

-- Jest-to tylko optycznym złudzeniem, moci dobrodziejko, a zespolone te kolory dużo narobiły złego.

— W ostatecznym rezultacie jednakże — wymówił pan Michał — więcej dobrego zapewne.

— Przyczyniły się do krwi rozlewu wielkiego, moci dobrodzieju, a rezultaty ostatecznego dojrzeć niepodobna, bo ciągnie się, gdyby łańcuch moci dobrodzieju, bez końca. Ot, kolor czerwony, żar! wskazał gwóźdź w bukiet.

— Ale obok błękitny znaczy wierność i stałe uczucie, a biały niewinność i wiarę przeczystą, jak gołąbka pokoju — poszepnęłam, przyglądając się kwiatkom moim.

— Wszakżeż i nasze barwy amarant z białem! — dodał pan Michał.

— Tak, tak, moci dobrodzieju, wskrzeście je tylko znowu! pokiwał głową. — Chłodno mi paunie

Michale i zechciej, moci dobrodzieju, starego odprowadzić do chaty. Żar, o którym kwiatek mówi, moci dobrodzieju, zostawię wam młodym. Wytrwałe uczucia i wierność białogłowom naszym. A sobie już tylko wiarę! — uchylił haftowaną czapeczkę, i wspierając się na rękę pana Michała i lasce swojej, wyprostowany, lecz wolnym krokiem ku dworowi zmierzał.

Szczególne czyniło wrażenie poszanowanie, z którym sędziwa pani Bogucka s tryja dobrodzieja całowała w ramię, a nawet i w rękę, a on kochaną Teklunię w głowę. — Pan marszałek zaś był w obec niego młodzieńcem niby, i też kręcił się przy nim, jak młody.

Na św. Malachiasz bywało także huczno w Policznój.

W jedne takie imieniny zajechał niespodzianie koczyk w uprzęży trzech nierosłych, szczupłej a składnej budowy, skarogniadych koni, chudych a rączych. Z koczyka wysiadł oficer rosyjski w mundurze całym z chrestami na piersiach. Wszyscy spojrzeli zdumieni. Pani marszałkowa niecierpliwie złotą tabakierką stuknęła.

— Co to? Któż to? . . . — i podano sobie znaue nazwisko polskie.



Był to Polak ze znanej i poważanej rodziny. Nieszczęsnym wypadkiem dostał się przed rokiem 1830 do jednego z pułków rosyjskich — i wyszedł z nim po 29 listopada. — Dla czego nie przyłączył się do powstania? — Może nie mógł! — Pułk ten był następnie przeciwko wojsku polskiemu wysłany — a nieszczęśliwy bił się z braćmi jednej matki. . . . . gdy brat drugi pod przyrodzonym, narodowym walczył sztandarem a później po obcej tułał się ziemi. — Opowiadano, że tamten pierwszy w majątkach obywatelskich gospodarował niemiłosiernie, pospołu z wrogami Ojczyzny. Może i nie przykładał ręki — lecz wszelkie nadużycia dwoiście na jego karb się dostały dla tego, że służył wrogowi. — Prawda, albo nieprawda? Wierzajmy, że tak nie było — ale gadano i pamiętano o wszystkim. Przed niedawnym czasem, pan major, wzięwszy dymisya, do kraju powrócił. Rodzina, u której przebywał, żyła w przyjaznych stosunkach z Policzną i z sąsiedztwem okoliczném, — więc i pan major z nią pospołu zbliżał się do wszystkich, a tolerowano go ze względu na tych, których szanowano. Ukazywał się też zawsze po cywilnemu i żadnego nie przypinał chrestu. Posiadał wykształcenie wyższe i formy towarzyskie. To i z kądżeż mu przyszło, zjawić się do Policznej w mundurze, z chrzestami — z których jeden otrzymał za rok 1831! — a jeszcze w dzień imieninowy? — ! —

Wszedł do bawialnego pokoju. Pan marszałek, jako gospodarz, pokłonił się, ale zimno, ręce na plecy założył i zadął głowy. Pani marszałkowa skinęła, rączki pod szal ukryła i spoglądała mroczno, jak nigdy. Panowie jeden po drugim wybieśli się na salę. Niby lodowate powiało zimno — i niby ciężka chmura ponad wszystkiemi zawisła. Major począł się kręcić pomieszany nieco, zagadywał do pań znajomych, a odpowiadały mu półgębkiem. Mnie, jakby kamień piersi przytłoczył — i litość poczułam.

Tymczasem panowie na sali strasznie burzyć się poczęli: „Wyrzucić! Wypędzić z infamią! Zpotyrać!“ — odzywały się głosy — a to zagrażało cytadelą — Sybirem! — Pan marszałek w wielkich był kłopotach, jak to każdy zrozumieć potrafi: chodziło mu o sławę domu — o gości swoich — o prawa gościnności — i o groźne następstwa. Przyglądził najeżony włos białe — stłumił westchnienie — gdy w tém przyszła myśl nagle i zawołał:

— Panie Auguste! wziął go pod rękę. — Ratuju, na Boga ratuj!

— To i cóż pan marszałek rozkaże? zapytał August, także zafrasowany tą całą niepocięzną awanturą, ile, żeśmy cenili szczerze rodzinę majora.

— Dobrodzieju, wybaw, ratuj! Wybaw z tego kłopotu, a powiem, żeś większy od Napoleona!

— To mu chyba powiem, ażeby się wynosił póki

zdrów: że go... — dodał ciszej, — od szlachty, która nieco głęboko w szkło zajrzała, konfuzya spotkać może: że chęć z niego te chresty pozrywać. . . . Wjatskie konie niewypiężone, to i ruszyć może zaraz z kopyta.

— Wyśmienicie, wybornie! zaczął go marszałek ściskać, całować — bądź naszym wybawicielem!

August wszedł do pokoju bawialnego. Zagadał do pani marszałkowej, która odpowiadając mu, na chwilę rozchmurzyła czoło. Powiedział jednej z panien komplement jakiś — a potem majora z sobą wyprosił. Wyszli przede dwór, mimo chłodu listopadowego, bo w sieni uwijała się liberya szafirowa ze złotem, czyniąc przygotowania do objadu. Pod gołem niebem powiedział mu na ucho, w sposób umiarkowany, lecz wyraźny, o co chodziło . . . . i prosił, ażeby bez pożegnania odjechał. Major tyle miał uznania, że pojął objawione życzenie. Nadchodził właśnie drab sążnisty, strzelec pana marszałka, i August mówił mu, ażeby powozowi pana majora zejść kazał. — Major obrzucił się szybko biało-szaraczkowym płaszczem, wskoczył do koczka — a wjatskie szybko nogi, jak szalone, uniosły go z dziedzińca.

— Jakżeż oddecham swobodnie! zawołał marszałek. — Jesteś większym od Napoleona! i uściskał Augusta serdecznie.

— Już to, bo kochany pan August na wszystko

najlepszą wie radę! podała mu pani marszałkowa rączkę.

— Ot, i uśmiechnęła się milusio Teklunia! zawołał kłopotów pozbawiony pan domu, że aż mu połysnęła żrenica.

Panowie posypali się ze wszech stron do pokoju i radość stała się ogólną, że rzecz ubiła się tak gładko.

---

O Policzněj można było powtórzyć z poetą — bo to, jak gdyby Wincenty Pol tam był przebywał:

A dopieroż to przyjęcie

Jakie bywa w polskim domu!

Jak tam każdy poczczone święcie!

Jak nie braknie nic nikomu!

W dzień wesoło, w noc rześisto,

Biało, gładko, potoczysto.

Czeladź syta i okryta,

Wszystko w czasie urzędzone,

Przysmażone, osłodzone.

Co tam schowku, co tam sprzętów,

Dworskiej służby, rezydentów!

---

### **Jeszcze Sieciechów.**

Powracam do Sieciechowa, cofając się w mojem opowiadaniu, ale inaczéj tego skutecznie nie mogłam — ile, że tu występują osoby w poprzednich zcharakteryzowane rozdziałach.

Dwunastego listopada, po przybyciu naszym do Bąkowca, był ślub pana Ludwika z panną Jozefiną Olszewską. Pojechaliśmy do Kozienic z Bąkowca pospołu pięciu powozami — a naprzód szła piękna karetka pana młodego, pookrywana starannie. Poza nią, pięknym kocezem i drugą czwórką cugowców, podążał pan młody z wujem swoim.

Było to w sobotę — bo w Królestwie często w dniu tym, jako poświęconym Matce Boskiej, odbywają się śluby.

Zaproszono tylko bliższą rodzinę, składającą się jednak ze trzydziestu przeszło osób — i państwa Bo-

Boguckich z kuzynkami i z kuzynami. Bo pani marszałkowa była chrzestną matką młodej oblubienicy. — Sędziwa matrona wyglądała istnie, jak gdyby z dawnego wystąpiła obrazu: w sukni amarantowej aksamitnej; w czepku koronkowym z piórami; w brylantach starożytniej oprawy i pięknych perłach. Z loczkami na czole, uśmiechnięta i lekko zarumieniona.

Ślub odbył się wieczorem przy licznych światłach. Potem wystawny nastąpił objad — ale ściśle postny.

Nazajutrz mnóstwo zjechało gości zaproszonych: z sąsiedztwa i dalszej okolicy. Pomiędzy tymi i Kazimierz Horodyński z Wilczkowie, nieznany nam dotąd — ale spokrewniony Wilkońskim: kawaler trzydziestokilko-letni, nadzwyczaj przystojny; zamożny, rządny i dzierzący szacunek ogólny, — zatem ze wszechmiar dobra partya. Ale . . . kochał się w młodszym wieku w osobie nader miłej i powabnej, a mimo — że jój serce posiadał — życzenia nie spełniły się jego. Odtąd, jak gdyby się celibatowi był oddał, bo już o żadną nie starał się pannę. Ożywiony w towarzystwie, wesół, tańczył wybornie — przeto nie wiem, czy żał na dnie serca ukrywał ciągle, czyli też tylko do małżeńskiego zniechęcił się stanu.

Po wielkim objedzie, przy muzyce orkiestrowej, przeszliśmy na salę, urządzoną do tańca. I też tańce aż do rana potrwały.

Przy śniadaniu nazajutrz zapraszał pan Ludwik wszystkich na czwartek do Sieciechowa: dla obchodu przenosin.

W powrocie do Bąkówca pod wieczór — a jechaliśmy pospołu w landarze z wujostwem — zaga-  
dała wujenka do Augusta:

— Mój panie Guciu, gdy nas konceptem swoim w przebraniu cygańskim przestraszyliście srodze, zastrzegłam sobie, że mi ten przestrach okupić musisz, gdy zechcę.

— Cokolwiek wujenia rozkaże, to zrobię.

— Otóż chcę, ażebyśmy w czasie czwartkowego festynu w Sieciechowie, w par kilka jako Cygani wystąpili, przepowiadając młodemu państwu *la bonne fortune*. A pan August winienesz całe to przedstawienie z dowcipem i sensem ułożyć.

— Posłuszny sługa wujeni wykona wszystko, o ile podoła! Pocałował wujenkę w rączkę.

— Zaczęliśmy tedy radzić, obmyślać i układać spektakl. — Gdy po obiedzie rozpoczną się tany, mieliśmy pojedynczo wysunąć się ze sali do oddzielnych pokoi, przebrać się tamże — a potem odbyć pochód cygański na salę.

Wuj, jako najstarszy Cygan — czyli król — miał na flecie zaintonować marsz z Precyozy, któremu inni Cyganie bębenkami i janczarką wtórować po-

winni. Par zliczono sześć, ze skaczącym chłopakiem na przodzie: l'enfant de la troupe.

Zatém nazajutrz zaraz wezwano osoby należące do bandy — i całe personale niewieście w Bakówcu zajęło się przyrządaniem ubiorów cygańskich. Nagłówki kobiece ja potworzyć musiałam: coś w rodzaju stroju wieśniaczek we Fra Diavolo. — Przytém spodnice czarne ze złotem i sznurówki pąsowe. Lub tóż spodnice czerwone a sznurówki czarne. Reszta ubrań całkiem fantazyjnie i fantastycznie wypadła.

August pochód Cyganów ułożył: pasport bandy udzielony jej przez burmistrza z Ryczywoła; wyrocznią szczęścia dla młodej pary, przemowy do państwa Olszewskich i Boguckich — a wreszcie i wróżby dla obecnych panien i kawalerów. Musiałam nauczyć się na pamięć różnych wierszydeł: na prędcie ukutych — i sama wykuć w myśli niejedno, gdy palce migotały igłą. . . .

Wujenka setne miała zajęcia — a wuj z orkiestrą odbywał próby.

W tём, niestety! we wtorek miały nadejść stroiki na głów kilka z Warszawy, przeznaczone na uroczystość przenosinową — i nadejść nie mogły . . . pozrywały się mosty jakieś — i już ani dziś pomnę wszystkiego! Ztąd więc niepoślednie powstały kłopoty — „jak” to wyrozumie każdy — a zwłaszcza każda.

— Przeistoczę się w modniarkę! zawołałam —



powyszukujcie panie koronki, blondyny, kwiaty, a może potrafię coś zlepić.

— Aniołku!

— Pocieszko!

I w mgnieniu oka byłam obrzucona elegancją rozmałą. Stworzyłam czepeczków parę dla pań starszych — i stroików kilka dla młodszych — z wielkiem zadowoleniem osób interesowanych. Za co mnie ścisano, całowano, pieszczono — i pierwszą modistką w świecie przewano.

Zawitał czwartek — i gwar wielki w Sieciecho-  
wie: dawne opactwo ks. ks. Benedyktynów mrowiło się gośćmi.

Obiad potrwał do godziny ósmej, dziewiątej — a jeszcze przyjechało kilku panów ekstrapocztą z Radomia. Pomiędzy tymi szczeroprzyjawniej pamięci pan Dominik Białkowski, Poznańczanin — radzca gubernialny. Wesół, śpiewający, taneczny.

Rozpoczęły się tańce i sprzysiężeni wysuwali się po jednym. Przeobrażenie niewiele wymagało czasu i kamerystki nasze okazały się zwinne bardzo. — A gdyśmy zebrali się razem, wyglądaliśmy wcale ładnie i malowniczo.

Lokaj poniósł pasport na salę i oznajmił prośbę: że Cygani z Ryczywoła, w wędrownce przez Sieciechów, pragną młodemu państwu swoje złożyć życzenia i wywróżyć im szczęście.

— Co to jest? Pan Ludwik odczytał pasport.

— Nie wpuszczać! ozwał się jeden z gości.

— Wpuścić na chwilę dla zabawy! — przemówił drugi.

— Taką hałastę!

— Pokradną!

— To niechże każdy baczy na swój zegarek i fular!

— Ludwiczku, niech wejdą! poszepnęła Józefina mężowi — a potem każ ich w oficynie poczęstować.

Pan Ludwik węża pokręcił, uśmiechnął się i wyrzekł do służącego:

— Wprowadź-że ich!

Poza drzwiami zadźwiękł marsz cygański z Precyozy, bębenki i dzwonki. Służba otworzyła podwoje. Grypantes, chłopak bandy, wszedł w podskokach, wywijając janczarami. Wuj z wujenką — a my za nimi parami. Obeszliśmy na około salę — i przypatrujący się zwolna dopiero znajome twarze rozpoznawać zaczęli. Powstał gwar i śmiechy. August wystąpił z deklamacją, improwizowaną dla młodej pary. Po tej nastąpiły inne. Popisywałam się także po razy pare, że aż mnie pan Białkowski na stole postawił. Wróżyliśmy wszystkim na około — a August różne płatał żarciki.

Na znak dany przez niego, rozłożyli lokaje dywan na środku sali i posiadaliśmy — jakby kocowi-

sko. August prawił oracye. Grypantes z cygańskim popisywał się tańcem. Podano kociołek i obdzielono z niego lodami — gdy szampanki przy muzyce cygańskiej strzelały.

Po tém poczęstném strudzonej pochodem bandy, podjęto znowu dywan. Zabrzmiał mazur zamaszysty — i w różne puściliśmy się płasy.

Przenosiny w Sieciechowie dla osób wiele, nader miłe pozostawiły wspomnienie.

---

Odtąd zbieraliśmy się dość często u młodych małżonków, gdzie zawsze osób pare, należących do rodziny, bawiło.

Nieraz August, gdyśmy wieczorem w salonie siedzieli i gawędzili — wybiegł niespostrzeżony. Po chwili otwierają podwoje i wchodzi w jakimś do deklamacyi odpowiedniem przebraniu. To w ubiorze czarnym i deklamuje: Śmierć zdrajcy ojczyzny, lub ustępy z Dziadów. To jako Maur, i wygłasza Alpuharę. To w greckiem udrapowaniu i odgrywa sceny z Ifigenii. To znowu dla rozweselenia bajki Krasickiego z nieporównanym humour'em — bo z deklamacją i giestami.

Miłe przepłynęły te czasy i miłe zostawiły wspomnienie — jak gdybyśmy sobie byli powiedzieli:

Weselmy się, bracia mili, póki żyjem z sobą,  
Cośmy wesoło przeżyli, życia jest ozdobą.

Smutki nadeszły — żałoby serca — zła wiele —  
boleści gorzkie — ale nie zatarły jednakże tych wspomnień serdecznych, jakie z sobą poniosłam — i które dotąd tak żywo pozostały się w duszy, jak gdyby od wczoraj dopiero. Przeto, zaprawdę, życia stały się ozdobą: uroczem kwieciami w ciernistym wieńcu żywota! —

## Garbatka.

Wioska ta należała do dóbr Sieciechowa. Dawniej także, w wieku XVI i do parafii Sieciechowskiej; lecz po erekcyi przez Andrzeja Kochanowskiego kościoła w Grodku, i żony jego Anny z Mysłowa — poświęconego św. Trójcy w r. 1598, — Garbatka przyłączoną została do parafii grodeckiej.

Rok przebyty w Garbatce zaliczam do najprzyjemniejszych — a niby efemerydą był tylko.

Położenie Garbatki jest nader ładne, górzyste — i ztąd pewnie ta nazwa. Dwór stoi na wzgórzu, u stóp którego zielony ciągnie się parów; poza nim wiedzie dróżyna przez lasek do Gródka; pod górę, wśród pola, do Policznój. Wioska rozłożyła się także w padole zielonym. Jakby zasłaniając ją, poza domkami, znowu wznosi się pagór zielony, z odznaczoną płową do Kozienie dróżyną.

Przy bramie dziedzińca stały dwie piękne, wielkie lipy; pochyłość, gęsta porastała trawa. Na prawo prowadziła droga do Bąkówca. Lubiłam tutaj siadywać, czyli to z książką, czyli téż z robotą — zwracając

niekiedy spojrzenie, azali wujostwo nie jadą do nas. — Poza gumnami, na placu gęstą trawą porośłym, rozrosło się także lip kilka wiekowych — zapewne dawne, z świetniejszych czasów zabytki.

Dworek nowy, ale mały — bardzo dla nas wystarczał. W ogródku zaniedbanym kazałam pare ulic wśród ostów i pinderyndy porobić. Dla czegożby osty i pinderynda nie miały także klombów stanowić? — Przecież i to są kwiaty! Bóg zarówno z różami, lewkonią, azaleą i rododendronem dał im życie. A przy nich, poniżej, rosły przecie gwoździki polne, cykorya, Boże-laski, srocza, wonna macierzanka — pare krzewów głogu, tarniny i trzmielina.

Mówił mi krewny rodziny Potockich z Tuleczyua, że ś. p. Szczęsny Potocki przywiózł z sobą pinderyndę z zagranicy na Podole, jako osobliwszą roślinę — i tak rozmnożyła się potem! — Raczej podobno nie wiedział, że już oddawna na polskich wyrastała niwach. Chyba, że jej na Podolu nie było!

Do Grodka bliskiego jeździć lubiłam. Ma ładne położenie górzyste. Kościółek murowany nieduży, a jest w nim nagrobek Andrzeja Kochanowskiego brata stryjecznego wieszczą z Czarnolasu — z łacińskim napisem. Wiał tam ku mnie pewien urok starożytności, pociągający zawsze. — Czarnolas i Gródek nabyte zostały przed stu laty przez księcia Jabłonowskiego, nowogrodzkiego wojewodę. A obecnymi dzie-

dzicami byli: ks. Maksymilian Jabłonowski, senator, wojewoda, i małżonka jego Teresa z księżąt Lubomirskich. Byli oboje nader względni dla ludu wiejskiego, który w Czarnolesie i Gródku miał się bardzo dobrze.

Bliskie sąsiedztwo Bąkówca i Policznój otwartém dla nas było objęciem.

Pan marszałek odwiedzał nas przynajmniej dwa razy w tygodniu. Wyrzemy oknem, a tu harcje z góry koń mleczno-biały, a za nim na kasztance strzelec lub lokaj: „Pan marszałek jedzie!”

Zabawił godzinkę, zaprosił do Policznój, a potem najczęściej do Bąkówca lub Sieciechowa pokłusował.

To znowu widzimy spuszczaający się koczyk, cztery gniade konie w krakowskiej uprzęży i Krakowczyk na koźle: „Pan marszałek jedzie!”

Krakowczyk dał ognia z pakuł przed bramą. Czasem był to pan marszałek, ale często ekwipaż ten i po nas wysłano, byśmy koniecznie przybyli, bo pani Bogucka roz tęskniła się na dobrze za nami.

Niekiedy, gdy słotno było, (karetę swoją wysłała po nas, ze starym, siwym jak gołąbek stangretem, w liberyi szafirowej z oranżowym.) A poczciwy Mateusz — podobno że tak się nazywał — panią swoją już lat przeszło czterdzieści powoził.

Byliśmy pożądanymi w kochanej Policznój, ale . . . . . zrzuciwszy pychę z serca, winnam wyznać w pokorze

ducha, że zapewne August miał pierwszeństwo przedemną, bo umiał rozweselić wszystkich.

W parę tygodni po zamieszkaniu w Garbatce, zapowiedzieli nam państwo Boguccy odwiedziły swoje na objadek, czém nas ucieszyli niezmiernie. Zaprośiliśmy wujostwo — i krzątałam się około przyjęcia ukochanych gości, jak tylko mogłam najlepiej. Brakowało ogrodowych kwiatów do przystroju pokoi, alem je umiała polnemi, których na Garbatce wyrastało mnóstwo — zresztą, w gałązki lipiny i brzożowe, że i wcale zrobiło się ładnie. U okien zawieszono maty od słońca — ze słomy i rogoży — w pokoju wyglądały, gdyby żaluzye. — Chleb, bułeczki, ciastka naprędce upieczone, udały się wybornie. Świeżem masełkiem zawsze poszczycić się mogłam. . . Ach, mój Boże! chwile młodości i czystego uczucia pozostaną niezapomnianemi na zawsze — i wryją się w duszę i serce trwałej od spiżowych pomników. Drobnostki niby — ależ promyki prawdziwego uczucia! Więc i wybaczcie, że o nich mówię, a kogo nudzą, to niechaj kartki przerzuci.

Nasamprzód przyjechał pan marszałek z kuzynem. Potém pani marszałkowa z kuzynką, panią Wyszkovską, z pannami Wandą i Karoliną. A zapowiedziała z góry, że pozostanie się na noc. Zwykle tak oddawała wizyty — i odesłała karetę do Policznój.

Przybyli wujostwo.

Objad gotował doskonały kucharz z Bąkówca —



i wszystko było jak przynależy, ku wielkiemu zadowoleniu mojemu.

Po objedzie odbyliśmy małą przechadzkę, a następnie wesół był ćwiczek.

Pan Bogucki późnym odjechał wieczorem, a obiecał przyjechać po jójmość.

Nazajutrz poranek prześliczny upłynął nam miłutko. Poszłyśmy pod lipy i przyglądałyśmy się okolicy — w tém i wujenka leciuchną nadjechała b i e d k ą. — po objedzie przyjechał pan marszałek. A pod wieczór odprowadziliśmy ich do Policznój.

Drugą pociechę dla nas były odwiedziny brata Klemensa. Zaprawdę, że mi serce skakało, gdym go pod naszą strzechą ugościć mogła. A gdy następnie pan Stanisław, ujrawszy śliczną Karolcię, zakochał się na umór: konkurencyja w rozległych odbywała się rozmiarach, a wszystko opierało się o Garbatkę. — Zjechała nawet na dni kilka i pani Klemensowa, by złożyć uszanowanie swoje w Policznój.

W czasie wakacyi przybył do nas na pare tygodni Antoni Muczkowski \*). Pokochali go wszyscy sąsiedzi nasi i uszanowali. A dziwném mu się wyda-

---

\*) Brat młodszy Józefa.

wało to życie u marszałkostwa Boguckich, bo podobnego nie zaznał nigdy. Trwożyły go kielichy, lecz spełnił jednakże pare. A gdy marszałek wniósł zdrowie jego, z serdeczną mową, uznając szanownego męża naukę, zasługi i cnotę — skromny pan Antoni zapłonione pochylił czoło i aż się przyczaił za plecami Augusta.

Jakież to przyjemne były pogadanki nasze! — bo gość pożądany bardzo mile gawędzić umiał. Opowiadał nam między innymi — a jam sobie we wierną zanotowała pamięci:

— „Rok 1831 zastał mnie w Berlinie na uniwersytecie. Byłem słabowitym, a jakkolwiek serce rwało się gorąco do boju z pałaszem w ręku, niezdatnym wcale, — przy dalszej pozostałem nauce, ażeby ojezynie na innym polu nieść później usługi moje. — Dawałem lekcyje w domu księcia Antoniego Radziwiłła. Byłem tamże niemal codziennie, a często zatrzymano mnie po odbytych lekcyach, na podwieczorek albo herbatę. Cała rodzina brała serdeczny, patryotyczny udział w wypadkach warszawskich. Czyniono niejedno, o ile wiem. . . . A od pierwszej chwili zarządziła księżna skubanie szarpiei, robienie bandaży, kompresów, przewodnicząc sama we wszystkim. — Zastawiono w jednym z salonów zwykle stół długi, przy którym siedziała księżna, księżniczki i damy dworskie. A zalegały go szarpije — i stare płótno. Zwykle przysiedliśmy także z młodymi książętami, i robota szła

nam od ręki — dla tak świętego celu — i pod takim przewodem! — Czytywano przytém gazety różne — opowiadano świeżo nadeszłe wiadomości, które ciepłą i miłąjącą chwytało duszą. Niekiedy przewodniczył nam sam książę Antoni — którego piękna postać i wyraz ujmującej względności na zawsze w moją wraził się pamięć. Jako téż błogo oddziaływająca harmonija i tkliwe przywiązanie, które uświęcały ich węzeł rodzinny. Anielska księżniczka Eliza uroku niezrównanego dodawała wszystkiemu.

Dnia jednego, gdy przed nami duże grzepy bielutkiej, świeżej skubanki coraz powiększały się więcej, — znać dano, że król zajechał. A często on odwiedzał księżnę Ludwikę Radziwiłłową, bliską krewną, którą dla cnót jój wysoce szanował i dla której niewygaste żywił przywiązanie.

Księżna powstała i posunęła się ku podwojom na powitanie królewskiego gościa.

Wszedł Fryderyk Wilhelm III, serdecznie krewną powitał, księżniczki i młodych księciów.

— „A!“ — zawołał, spojrzawszy na stół. — „Przy dobroczynném zastaję wszystkich zatrudnieniu: szarpije dla warszawskich lazaretów zapewne, dla tych biednych Polaków, którzy tam teraz bój krwawy toczą. Błogosławione są rączki kochanych kuzynek!“ — zwrócił się z dobrodusznym wyrazem do księżniczek. — „Ob-

siądźcież stół znowu. Nie przeszkodzę, a raczej zasięde także i ręki do tego zacnego przyłożę dzieła.“

Usiadł, podjął kawałek płótna i skubać począł.

— „Nieszczęśliwy naród! mówił dalej — chciałbym mu dopomódz, ale nie mogę.....“

Księżniczki miały łzę na żrenicy.

Później, w Warszawie, opowiadał nam także o Fryderyku Wilhelmie III pan Wolieki, obywatel wiejski, podobno w Sandomirskiem osiadły — ale Poznańczanin i bratanek ś. p. arcybiskupa. — Brat jego był Fliegela adjutantem przy królu i lubionym przez niego bardzo. Gdy wybuchła rewolucya 29 listopada — a rok 1831 krwawe o byt i niepodległość Polski zapowiedział walki, — napisał sędziwy ojciec do adjutanta królewskiego: „by jako Polak spełnił najświętszą dla Ojczyzny powinność i podążył na linię bojową, bo inaczej niegodnego wyrzeczę się syna.“ — Dotknięty do żywego wyrazami ojca — a trawiony od pierwszej chwili wrzącem poczuciem, spełnienia wielkiej a świętej powinności Polaka, — udał się z tym listem do króla i całą wyznał mu prawdę.

— „Hm!“ wyrzekł król to i jechać musisz. Dam urlop na pół roku, ale potem wracaj.

Pewnie i pieniędzy nie masz na drogę. . . . . Każę ci ze szkatuły wyliczyć mojej. . . . . “

I tak się stało.

Pan Antoni Muczkowski przywiózł z sobą do Garbatki różne literackie nowości, które pod lipami August odczytywał głośno. Niekiedy powiększyli wujostwo to małe gronko literackie i ks. proboszcz Kłomnicki z Gródka.

Sieciechów zajął bardzo pana Antoniego. Porobił sobie nawet niektóre notatki, ażeby je bratu Józefowi do Krakowa przesłać. Toż samo i w Gródku.

Zwiedzieliśmy następnie Czarnolas, z prawdziwie uroczystym wrażeniem.

Dom stary Jana Kochanowskiego zgorzał, jak wiadomo. Wtedy stał tam dwór ładny, drewniany, ciemnawy, zbudowany przez księcia Jabłonowskiego, z dawnym ponad drzwiami napisem :

Panie, to moja praca a zdarzenie Twoje,  
Racze błogosławieństwo dać do końca swoje !

Insi niechaj pałace murowane mają,  
I szczerem złotogłowiem ściany objijają.

Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gnieździe  
ooczystym,

A Ty mnie zdrowiem opatrz i sumieniem czystym,  
Pożywieniem ucziwem, ludzką życzliwością,  
Obyczajmi znośnemi, nieprzykrą starością.

Opodal miejsce dawnego gruz naznaczył: mówiono nam, że tutaj stał dom Kochanowskiego — i że księstwo na tém miejscu wzniosą kaplicę, co téż w następnym już roku uskutecznióm zostało. Wzięliśmy sobie na pamiątkę po bryłce gliny.

Ogród piękny, rozległy, a drzew w nim dużo starych, cienistych.

Lipa ulubiona wieszczą wycięta . . . . jak nam mówiono, przez nieświadomość ekonoma: zawadzała mu, a konary jój już przysychać poczęły. Księstwo Jabłonowscy zmartwili się tém niezmiernie, bo pragnęli wszelkie dawne a cenne przechować pamiątki. Stało się to podobno w lat parę po nabyciu przez nich Czarnolasu.

Krasicki napisał o lipie téj w swojej *Podróży z Warszawy do Biłgoraju*:

Darmo szukałem w odmianie wieczystej,  
Owój rozkosznej lipy rozłożystej,  
Pod której niegdy ulubionym cieniem,  
Wdzięcznym mąż wielki rozrzewniał pieniem.

Pokazywali nam miejsce, gdzie stała, niedaleko dworu, w ogrodzie, tuż przy łące, wśród krzewiny oznaczone kamienną ławeczką. Przy niej, z ziemi dwie wystrzeliły gałązki — i zamarzyłam, że to może z pnia lipy wieszczęj! — Z tego miejsca jest widok na ciągnącą się daleko łąkę — która wydawała mi się

zieleńszą, jak którakolwiek inna. W około lasy ciemne, niemal czarną mają barwę. Czyliżby ztąd i nazwa włości była powstała?

Dziwny urok spokoju i ciszy całą tutaj ukołysał przyrodę. Niby nigdzie tak zaciszno nie jest, jak w Czarnolesie. Szmeru listka nie dosłyszałam, ni też brzęku owadu, — wszystko jakby martwociche było. Kwiaty i rośliny silniej woniały — znać także w skutek ociążałego w powietrzu spokoju. W tém na bliskiem drzewie szary zaświergotał ptaszek. Zadrgnęliśmy: Czyliż nie *Tren* zakwilił? — gdy ptaszek umilkł, wygłosił August przycicho *Tren* wieszczą na śmierć Aniołka-Urszulki.

Zostawaliśmy przez chwilę w uroczyście smętném milczeniu.

Dnia trzeciego potem pojechaliśmy do Zwolenia, by groby rodziny Kochanowskich odwiedzić. Kaplicą familijna dobrze jest utrzymywaną. Spoczywa tam i Jan z Czarnolasu. Na grobowcu jest napis:

Joannes Kochanowski Trib. Sand.

Hic quiescit

Ne insalutata praeteritet hospes eruditus

Ossa tanti Viri,

Cujus apud mentes elegantiones memoria

Vigebit sempiterna

Hoc marmor indicio esto

Obiit anno 1584 die 22 Augusti

Actatis 54.

Jan Kochanowski był plebanem Zwolenia.\*) Tytuły takie w onym czasie miewali dość często świeccy. W Odechowie był plebanem Kasper Kozyrski: nie miał święcenia i prowadził życie dworskie.

Przyjechał po Antoniego Muczковского Franciszek Gąsiorowski, naówczas dziedzic Nowójwsi w Mazowieckiem. Bawił dzień jeden i wielką sprawił nam przyjemność. Naukowy, uzdolniony, tryskający dowcipem, humour'em prawdziwym, pan Franciszek w każdym pożądanym był towarzystwie.

Znane są jego powieści: *Kmita* i *Bonerówna* — *Gamrat* — *Ostatni Szwedzi w Polsce*. Ale pracował także na inném polu i był jednym z redaktorów *Biblioteki Warszawskiej*. — Z Muczowskim wielka łączyła go przyjaźń.

Przez pana Antoniego dowiedział się August, że Franciszek Królikowski: profesor dawniejszy gimnazjum *Maryi Magdaleny* w Poznaniu, nauczyciel jego, a nauczyciel ukochany, przebywa w Warszawie w nader smutnym — w nędznym stanie — i marzył tylko o tém, jakby go do *Garbatki* sprowadzić. Zapytywał o niego listownie — ale żadnej pewniejszej nie mógł

---

\*) O Rodzinie Jana Kochanowskiego, o jój majątności i fundacyach zebrał Ks. Józef Gacki. Warszawa 1869. — Ks. Gacki jest proboszczem w Jedlni, o mil trzy od Czarnolasu.



powziąć wiadomości. Potrzeba było samemu do Warszawy pojechać.

Józef Franciszek Królikowski był rodem z Galicyi. Chodził do szkół w Sanoku, następnie do gimnazjum w Przemyślu, słuchał nauk techniczno-filozoficznych w Zamościu, a wreszcie prawa we Lwowie. Był sędzią politycznym w dobrach Wyspiarskich w Brzeżańskim cyrkułe; nauczycielem matematyki i filozofii w gimnazjum zamojskiem; następnie rachmistrzem przy sądzie centralnym Izby obrachunkowej. Pracował w Ministerjum Spraw Wewnętrznych. Został prezydentem miasta Radomia w r. 1814 — aż do 1816. Mianowany sekretarzem Trzech Dworów, po skończonej czynności otrzymał order św. Stanisława trzeciego stopnia i nominacją na kontrolera pierwszego w biurze likwidacyjnem r. 1819. Na własne żądanie otrzymał chlubne uwolnienie we wrześniu 1829 r. — i został profesorem literatury polskiej w Poznaniu. W r. 1830 wezwany na inspektora instrukcyi w szkołach elementarnych w Królestwie Polskiem, Poznań opuścił — i przez trzy lata na tém urzędowaniu pozostał. Był doktorem filozofii, członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, Towarzystwa Naukowego w Krakowie i członkiem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Muzyki. I mąż ten był dzisiaj bez dachu — bez kęsa chleba?! — Starł się o emeryturę — ko-

łatał o nią — składał dowody wielkich zasług i pracy — a otrzymać jej nie mógł!

Napisał Prozodyą polską, czyli o śpiewności i miarach języka polskiego; Uwagi nad dziełem: O metryczności i rytmiczności języka polskiego; Wzory estetyczne poezji polskiej; Rys poetyki; Rozrywki literackie, wierszem i prozą. Wydał Bibliotekę konserwacyjną. Zostawił przekłady oper: Czerwony kapelusik, Śpiewaczki wiejskie, Gryzeldę Paera. Przełożył Myszą wieżę Aleksandra Bronikowskiego. A w r. 1821 wydawał w Poznaniu pismo peryodyczne: Mrówka Poznańska.

Nastało ciężkich tygodni parę. Rozgościła się pomiędzy ludem straszna choroba epidemiczna niekiedy na Powiślu — tak zwana czarna chrosta. Utrzymują, że jawi się w skutek większego wylewu Wisły. Woda stoi po polach po parę nieraz tygodni, zostawiając potém muł na nich, zwany małą. Wpływa to bardzo korzystnie na urodzaj, ale trawy tak zamulone są niezdrową dla bydła paszą: rodzą wewnętrzne choroby — a spożywane z nich mięso, nawet już i nabiał chrostę czarną sprowadzają: czyli morówkę. Ludzie na całym Powiślu zapadali na nią — i w Garbatce nawet. August posłał po doktora Szczycińskiego do Puław. Przybył — i porobił operacye — to jest:

wrzody powyrzynał . . . Pouczył Augusta, co i jak czynić wypada: dał mu przepis, lancet i lekarstwa. Zatem mąż mój oddał się tym obowiązkom z gorliwością wielką a szczęśliwie wcale. Przybywali do niego chorzy o milę, o dwie — że i pewnej nabył sławy. Raz pamiętam, przyjechała matka z niemowlątkiem przy piersi, które miało wrzód ów straszny, wielkości małej miski — zaogniony okropnie, siny, aż czarny. Zapłakałam nad biedastwem. . . . Bóg jednakże dopomógł, że dzieciątko wyzdrowiało. To też dr. Szczyciński za ponowną w Garbatce bytnością Augusta swoim nazwał Famulusem.

---

Na początku października otrzymaliśmy dnia jednego zapowiedzenie inkwaterunku: kompanią piechoty z kapitanem i dwoma oficerami. Nazwisko tych ostatnich, Bobrownicy, uderzyło Augusta: przeznaczył zatem oficerów do dworu, a kapitana, z nazwiskiem czysto-moskiewskiem, do sołtysa.

Bobrownicy byli Litwinami. Jako uczniowie szkół wileńskich zasłani zostali wraz z wielu innymi na Kaukaz. Dosłużyli się tam rangi oficerskiej — a teraz pułk ich na czas jakiś do Kongresówki wysłanym został. Mówili nam wiele o znanych znamienitszych osobistościach. . . . Znali Romana Sanguszkę,

który im pism różnych i książek udzielał. Wspominali go z wdzięcznością prawdziwą.

Na objad zaprosił August kapitana — ażeby go na Bobrownickich nie podrażnić. Przyszedł ufryzowany, uperfumowany, wystrojony. Kłaniał się — jak gdyby świeżo wyszedł z pod ręki tancmistrza, a potem i zaraz zapytał, trzymając jakąś książeczkę w ręku: co mi się zeszedł nocy śniło? — Mówił łamaną polszczyzną i pojąć nie mogłam, coby to pytanie znaczyło. Dopiero jeden z Bobrownickich mnie objaśnił: kapitan posiadał Sennik, który dokładnie sen każdy tłumaczył — i uważał to jako nader względną grzeczność, gdy komu z tą ofiarował się usłużnością.

Czyniąc przeto zadość grzecznemu wezwaniu, odpowiedziałam:

— Śniłam, że chodziła po łące i różne widziała kwiatki.

Odpowiedział: że będę w licznym towarzystwie młodych krasawic i grzecznych kawalerów. Mówił coś tam więcej jeszcze, ale już i nie pomnę.

Nad kanapą wisiał mój portret, pastelami robiony w Berlinie.

— To wasz portrjet? zapytał.

— Tak jest — odrzekłam.

— Wasza miniaturka ładniejsza od tego portrjetu.

Pokłoniłam się z lekkim uśmiechem. Biedaczysko silił się na komplementa.

Po obiedzie zasiedli panowie do wistha. Ja przy oknie z robotą. Wszedł służący z oznajmieniem, że żołnierz chce widzieć się z panem kapitanem. Wyszedł. Doleciał nas gniewny pogwar z sieni. Lecz wrócił z grzecznym znowu układem — i wisth pociągnął dalej. W tém po chwili wpada moja poczciwa Marya, blada i załamując dłonie, krzyczy:

— Jezus! Jezus! Jezus Marya?

— Cóż to? porwałam się przerażona.

Otóż Moskałe pałki okrutne sypali biedakowi jednemu za bramą dziedzińca, a litościwa kobieta téj szkarady znieść nie mogła, bo i po raz pierwszy w życiu coś podobnego widziała. Bobrownicy wytłómaczyli kapitanowi, o co chodziło, który ździwiony, patrzył się na nią. Odpowiedział: że piekarz wojskowy zły chleb upiekł, czy popalił nawet, więc i wypalkować go kazał. August tłómaczył biednego: że to pewnie nastąpiło z przyczyny pieca i t. p. — Kapitan przeprosił za to dla nas przykre intermezzo, wyszedł i plagów zaprzestać kazał.

Nazajutrz pożegnali nas bracia Bobrownicy, unosząc z sobą sympatyą naszą — i już nie o nich nie posłyszeliśmy nigdy.

Poczciwa Marya stała się wybawczynią chłostanego piekarza. Była ona rodem z Salzbrunnu, Niemka

— ale całym sercem i duszą przywiązana do mnie: jak Lopez do Kamoensa. Wybaczcie mi to porównanie! — A co więcej, kochając mnie, pokochała i Polskę — polską sprawę — i wszystko, co polskie. Nie za wiele powiem, gdy dodam: że byłaby w bój poszła w obronie naszej. — Uczyła się gorliwie mowy polskiej — lecz licho bardzo mówiła i nauczyć się nie mogła. Pragnęła polskie czytać książki, ale tak daleko nie doszła nigdy. Po niemiecku czytywała wiele, a знаła Szyller'a i Goethe'go. — Później jeszcze o niej pomówię, bo zasłużyła na to.

W lesie polickim, łączącym się z puszcza Kozienicką, żył pustelnik. Miał malutką chatkę, przed nią krzyż na niskiej, darnią poroślej kępcie. Przejeżdżając tędy, widzieliśmy go nieraz klęczącego. Zaciekawiał i zainteresował mnie niezmiernie. Wujenka opowiadała, że zjawił się już przed kilkoma laty. — Sam chatkę ulepił — a lud poczciwy o jego niezbędnych pamiętał potrzebach. Chłopki zносиły mu chleb, mleko w dzbanuszkach i t. p. Do chatki nikt nigdy nie wchodził, a dary przyniesione kładziono i stawiano na kamieniu opodal. Państwo Boguccy posełali mu ziemniaki i t. d.

Dnia jednego, gdyśmy przejeżdżali znowu, pu-  
stelnik niósł sobie pęczek gałęzi z lasu.

— Jesteś ciekawą go poznać — zagadał wuj do  
mnie — to wysiądźcież i pomówcie z nim.

Wysiadłyśmy z wujenką i August szedł z nami.  
Wuj powoził, zatém przy koniach pozostał.

— Niech będzie pochwalony . . . — wymówiliśmy.

— Na wieki . . . — odrzekł.

Był to starzec z długą, siwą brodą, z głową pię-  
kną, jakby do obrazu.

— Przychodzimy do was, ojcze — zaczęła wu-  
jenka — bo może czego potrzebujecie.

— A czegożbym ja potrzebował, dobrzy państwo?  
spojrzał się na nas smutno.

— Jesteście tak samotni — wtrąciłam.

— Jestem z panem Bogiem — odrzekł.

— Ale może wam czego nie dostaje?

— Dobre dusze pamiętają o mnie z woli Opa-  
trzości.

— A czy nie tęsknicie za ludźmi?

Przymknął powieki i poruszył głowę.

— Modłę się. Rozpamiętywam. Zmawiam pa-  
ciorki. Słonko świeci i ptaszki na chwałę Bożą śpie-  
wają.

— Ale przecie bywają i burze, wiatry, ulewy —  
mrozy i śniegi.

— Jak Bóg da! A mniejsze, jak na świecie: gdzie ludzie zawadzą.

Spojrzeliliśmy na siebie.

— I nikogo już z krewnych nie macie? zapytał August.

— Co tam krewni! ruszył ramionami. Wszyscy sobie krewni.

— Mieliście żonę i dzieci?

— Syn starszy zginął pod Wawrem. Żona, dwie dziewczuszki i niedorostek na cholereę pomarli. Bóg dobry zabrał już wszystkich do swojej chwały. Niechaj będzie wola jego pochwaloną! złożył dłonie i pochylił głowę.

Pożegnaliśmy starca, nie chcąc być natrętnymi dłużej. Datku pieniężnego nie przyjął.

August rad byłby zapytał: z kąd on i czém był na świecie? lecz nie śmiał. Mówił czystym językiem i z pewnym szlachetności odcieniem. Dziwnie poruszeni, wróciliśmy do wuja.

— A co? zapytał.

Powtórzyliśmy rozmowę powyższą. Jedno przypuszczało, że to mieszczanin z którego miasteczka małego. Drugie, że pewnie z drobnój pochodzi szlachty. August zaś utrzymywał, że to chłop, sądząc z odpowiedzi prostych, a nie bez myśli, co bywa cechą ludu wiejskiego.



W ostatnich dniach października odwiedził nas Karól Horodyński, b. pułkownik inżynierii wojsk polskich, pokrewny Wilkońskich. A przybył, by nas na imieniny swoje zaprosić.

Bywalec po salonach stolicy, rzucający się w świat wielki, przechował formy tegoż — a lubił o tych mówić towarzystwach i osobach. Dość już wiekowy — zachował nawyknięcia młodzieńcze niemal, ruchy i elegancją. Prawy i poczciwy, nader dobrego serca, zasługiwał, ażeby go lubiono i uwzględniano. Żona jego, Wołynianka, Przygodzka z domu, niezmiernie przyjemną była kobietą. — Pan Karól zabawił u nas dni parę i odjechał z przyrzeczeniem, że niewątpliwie dnia 3 listopada do Grobic zjedziemy. — Grobice leżą pod górą Kalwaryą.

Dotrzymaliśmy oczywiście słowa. — Stanęliśmy w przeddzień św. Karóla w domu państwa pułkownikostwa i zostaliśmy powitani z radością. Za nami przybył pan Józef Słupecki, także b. pułkownik wojsk polskich, z żoną i piękną córką Kazimirą; pan Kazimierz Horodyński z Wilczkowie, brat rodzony pani Słupeckiej, i pan Antoni Prażmowski, młody, przyjemny kawaler.

W sam dzień imienin zjechał wuj pani domu, sędziwy pułkownik Bakałowicz, dziedzic Pęcławia w sąsiedztwie — Kościuszkowski jeszcze żołnierz.

W Grobicach szczyplą był dworek i pokoje ma-

lutkie. Powynoszono z nich komody, szafy — a zawsze niby było ciasno:

W tém gość wchodzi,  
 Ot i dworek się rozszerzył,  
 I wnet miejsce gdzieś się rodzi.  
 Przybył drugi i dziesiąty —  
 I nie ciasno już nikomu:  
 Wyprzątniono wszystkie kąty,  
 Coraz szerzej w małym domu.  
 Zda się, że pan domu sobie  
 Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,  
 A on tylko w domu tobie  
 Drzwi i serce swe otworzył.

Przed objadem zajmowała nas muzyka: panna Kazimira grała, pani domu grała, pan Karól śpiewał, pan Prażmowski śpiewał. Śpiewałam także — bom i ja kiedyś w Arkadyi się rodziła! Śpiewałam nawet wiele, bardzo wiele — a niejedno i po dwa razy. Uczyłam się, będąc na pensyi w Poznaniu, śpiewu od pani Detryng, Niemki, która następnie, przeniosłszy się do Warszawy, nazwisko ma d a m e D e t r u i t przybrała — i przedzierżnęła się niby to we Francuzkę. — A potém August deklamował.

Po obiedzie tańczono do upadłego — a mały poikoik, w którym hasano mazura, niby coraz stawał się przestrzeńszy.

Trzy dni uroczystość św. Karola potrwała. Potem pożegnaliśmy dom szczeropolskiej gościnności. — Droga prowadziła na Wilczkowice i pan Kazimierz prosił, ażebyśmy zajechali do niego.

— Po kawalersku wprowadzie tylko u mnie — dodał — ale już nieraz przyjmowałem panie u siebie, a dziś siostrzyczka moja z Kazią będą honory domu czyniły.

Wyruszyliśmy zatem pospołu: państwo Słupeccy, panowie Kazimierz Horodyński i Prażmowski — a pan Karól oświadczył, że nas do Wilczkowic odprowadzi.

Po drodze wstąpiliśmy do Pęcławia, do starca-wojaka, pułkownika Bakałowicza. Ucieszył się niezmiernie z przybycia naszego. Dom jego mógłby za wzór do opisu mieszkania staro-kawalerskiego, a jeszcze starego żołnierza posłużyć — tak było wszystko skromne i niby pozbawione wygody. Sofa i ciężkie krzesła skórą obite, a twarde. Stół nakryty dywanem staroświeckim. Łóżko w drugim pokoju kobierczykiem i skórą jelenią. Na ścianach broń wisiała, portrety Kościuszki i Napoleona. Stały dwie szafy, wielkie i proste, podobno z doskonałemi zamkami. — A w rogu pierwszego pokoju duży zegar ścienny. Firanek u okien nie było — i tylko jedno nieduże zwierciadło.

A jednakże pułkownik przypominał grzeczniejsia

z dawniej szkoły francuzkiej — i wyszukane były jego komplementa, jak n. p.:

„W główce, jakby w prześlicznie umeblowanym buduarzyku, gdzie rozłożone są książki umnicze, poezye, obrazy wzniosłe, pełno pięknych kwiatów, a harfa niebiańska harmonijną dźwięczy pieśnią.“

Spamiętałam te wyrazy i zapisałam je sobie, jako pozłacane r o c c o c o.

Po dziecych wędlinach i bigosie hultajskim, litewskiej starce i węgrzynie, pokazywał nam pułkownik różne drogie, starannie przechowane pamiątki: krzyż złoty, krzyż legii honorowej, nominacye na różne stopnie wojskowe, listy jenerałów polskich, francuzkich, słów pare, nakreślone ręką Eugeniusza Beauharnois, wicekróla Włoch — a wreszcie i podpis Kościuszki! . . . Zakreściły mi się łzy w oczach — niby zgięty się kolana — i przyłożyłam usta do zażółconego papieru: Podpis własnoręczny Kościuszki!!

Pożegnaliśmy z wruszeniem szanownego starca: chodzącą pamiątkę tyle pamiętnych czasów.

Pod wieczór stanęliśmy w Wilczkowicach.

Nazajutrz poprosił pan Kazimierz sąsiadów na obiad; panów Karóla Gordona i Sołtyka z Piastowa. Panowie strzelali do celu. — Rozmowa toczyła się ożywiona — wesoła: podawano sobie zagadki i dowcipy różne.

Dnia trzeciego dopiero puścił nas od siebie pan Kazimierz.

W dni kilka po powrocie naszym do domu pojechał August do Warszawy, by Królikowskiego odszukać. Otóż i ustęp z jego listu, który Kazimierz Wojcicki w *Cmentarzu Powązkowskim* zamieścił:

„Myśl smutku i tęsknoty powiodła mnie do ogrodu Krasińskich. Mgła listopadowa przyspieszyła wieczór, chodniki były puste, gwar w przyległych ulicach z każdą chwilą się zmniejszał. — Posępna samotność uczucia moje żywiej rozrzewniała! jeszcze — gdy ciężkie westchnienie, westchnienie z piersi nieszczęśliwego zwróciło moją uwagę na człowieka, który naprzeciw mnie wolnym szedł krokiem. Stary płaszcz, długo zarosła broda, nędza po całej rozlana postaci, zbyt słabą stanowiły zagrodę dla pamięci wdzięcznego ucznia — bo jedno spojrzenie starczyło, bym poznał nauczyciela, z którego ust wzory i bogactwa rodzimjej mowy do mojej płynęły duszy, którego cześć, którego kochać stało się dla mnie nietylko świętym obowiązkiem ale i najmilszym nałogiem.

W uścisku Królikowskiego, w uścisku profesora katedry polskiej nad Wartą, znalazłem najdroższą młodości pamiątkę: ból, radość, łzy żalu i rozpacz tłumnie do serca wchodziły, a i on płakał w mojem objęciu i jego głowa osiwiła zawisła na mojej piersi. — Świąciliśmy miłość nauczyciela i miłość ucznia.“

August chciał zaraz zabrać z sobą Królikowskiego, ale ten wymawiał się, że właśnie nowe rozpoczął

starania o pozyskanie emerytury i że dopiero w pierwszych dniach grudnia będzie mógł z Warszawy wyjechać. — W przejeździe do domu, wstąpił August do Wilczkowic, opowiedział panu Kazimierzowi o Królikowskim, a ten przyrzekł, że sam po profesora pojedzie: zaopatrzy wszystkie jego potrzeby i do Garbatki go odeśle.

Urządziliśmy zatem pokoik dla pożądanego gościa po drugiej stronie sieni — i myśleliśmy tylko o tém, jakby mu dogodzić. Poczciwa Marya szczególnie pod tym względem miała staranie.

Zacny pan Kazimierz dotrzymał słowa. Królikowski przybył ekwipażem z Wilczkowic, wygolony, wyświeżony, odmłodniały. August ze łzami w oczach go witał — a mąż przebolewały gorzką szkołą żywota, rozplakał się na dobre.

Królikowski był ponad wyraz słodkim, przyjemnym w domowém pożyciu. Pokochali go wszyscy. Opowiadał nader zajmująco, pouczająco, z wdziękiem niepowtórzonym. Mówił pięknym, szczeropolskim językiem, przytém i oko jego dziwnie pojaśniało niekiedy. A jakkolwiek, że bolało go życie, że ranę na dnie duszy żywił, nie dał tego poznać nikomu i raczej wesołym był niby.

Zjawiała się w tym czasie cholera w okolicy — i do Garbatki także. Znowu zjechał zacny doktor Szczyciński i dał przepis lekarstwa. August leczył

znowu, a tym razem dopomagał mu i poczciwy profesor. Chodził po chałupach, napominał, przestrzegał, pouczał, — i wreszcie złe przeminęło dość szczęśliwie.

Otóż i drugi ustęp z listu Augusta przytoczę :

„Do świąt Bożego-narodzenia nie ruszyliśmy się z domu, natomiast pogłos, że mąż zasłużony w literaturze naszej Garbatkę swoją obecnością zaszczyca, wabił moich sandomirskich sąsiadów. Na św. Szczepan wyroniliśmy się sanna drogą do Policznój. Zastaliśmy zjazd wielki. Czeigodny gospodarz marszałek Bogucki przyjął nas w progu usty i sercem. W pokojach mile powitała niezrównanej dobroci i słodyczy wielce sędziwa i najgodniejsza pani marszałkowa. O piątą z południa zapalono na dziedzińcu pare beczek smoły, a na sali staroświeckie metalowe lustra jarzącem zajaśniały światłem. Służba otworzyła podwoje, oznajmiając: Waza na stole! — Pani domu z niewymowną dla mnie pociechą, pomijając ubiegających się o ten zaszczyt panów, Królikowskiemu rękę podała, i za nimi dopiero długi posnuł się szereg. U stołu autorowi Prozodyi polskiej pierwsze przeznaczono miejsce. Po toaście dla pań naszych, za jego zdrowie spełniono kielich. Srebrny dźwięk mowy Królikowskiego, który wdzięcznie po pieśczoneyh zwykł był płynąć ustach, przy końcu

biesiady zamienił się w głos czystego spiżu: brzmiał śmiało. Wydatne czoło pokryła szlachetna swoboda. W błękanie oka żywy błyszczał promień. Zdawał się zapominać o troskach, był wesół, a przecież dwie łyzy grube stoczyły się po licach. W tych dwóch łyżach, dwie były myśli: jedna dla jego nieobecnej rodziny, druga na uczczenie ludzkości i ziomeków.“

Pojechaliśmy z nim do Bąkówca, do Sieciechowa. Wszędzie witali go z radością i poszanowaniem — i zdawało się, że rozcieplała mu dusza, że z dniem każdym swobodniejszym się stawał.

Królikowski grał umiejętnie i dźwięcznie na skrzypcach, pociągnięcie miał nader delikatne i śpiewne. Marszałek sprowadził mu jakieś wcale dobre skrzypce, mówiono nawet, że kremonońskie. Kochany profesor mistrzowskie z nich wydobywał tony: śpiewał. — żalił się — i aż niby płakał. Grywał *Ranz des vaches* — ale czasem i ochoczego uciał kujawiaka. Dalej prześliczne krakowiaki, niby proste a tak melodyjne — niby ochotne, ale i z zadźwiękiem rzewniejszej nuty — swobodne i rażne, jak lud krakowski, lecz i tkliwe, jak dusza owego poczciwego ludu. Rozmarzał nas kołomyjką — a więcej jeszcze tęskną, smętną, żalną dumką ukraińską. Szczególniej zachwycała wszystkich *Jałosia* — nie wiem czyjjej kompozycji. Wiejskie dziewczę pasie jałoszkę w polu i nuci sobie wesoło, apostrofując piosenkę swoją do ulubionej *Jałosi*.



Nucąc, odbiegła nieco, by uezierać kwiatków do wianka. Wraca, i otóż Jałosi nie widzi — nie ma jój! Zaczyna więc wołać: Jałoś! Jałoś! — ale Jałoś nie odpowiada. Woła znowu — lecz napróżno. Zaczyna ją ogarniać niepokój, biega po polu i woła coraz głośniej — a zawsze bez skutku. Woła żałośliwie, na wpół z płaczem. Nic i nic! Woła z przestraczem — z boleścią — rozpaczliwie: Jałoś! moja Jałoś! . . . . I wreszcie znane, upragnione słyszy: Mee! — odezwała się Jałosia. Woła znowu, ale już swobodniej, jak gdyby jój kamień spadł z serca. Jałosia odzywa się wyraźniej — i wynurza głowę z poza krzewiny. Jakaż to radość! Dziewuszka splotła dłonie i podskoczyła. Żałosne wołania w rażny, ochoczy zamieniają się okrzyk — i wesołym kończą się śpiewem. — Królikowski po mistrzowsku, z nieokreślonym uczuciem oddał wszystkie odcienia tej ślicznej sielankowej muzyki. To też musiał Jałosię powtarzać ile razy byliśmy w Policznój. — Dostrzegłam, że przy żałosnej nucie dziewczęcia nieraz łzę miał na oku.

Na dwa dni przed św. Trzema Królami przybył z Policznój pan Józef Pieniążek, młody krewny marszałkowej z Galicyi, z którym August w serdecznój

zostawał przyjaźni: zachęcał, byśmy z nim zaraz pojechali do Policznój, bo b a b u Ń c i a tęskni za nami.

— Poczekaj chwilę, kochany Józio, napij się kawki, pogawędź z profesorem i kobieciną moją — odrzekł mu August — mam niektóre dyspozycye do poczynienia, a gdy zmierzchnie to sobie pojedziemy.

Kręcił się też, wychodził, biegał do ekonoma — a myśmy tymczasem gawędzili w pokoju. W tém odezwała się w sieni kolenda nosowym śpiewana głosem.

— August! zawołał pan Józef i drzwi otworzył.

Stał tam August w białej komży, z brodą lnianą i w takiejże peruce, obracając gwiazdę z kolorowego papieru zrobioną, oświetloną latarką. Pośmialiśmy się i rozweselili.

Wszedł z gwiazdą, przy której profesor coś tam jeszcze poprawił, bo był w znowie co do całej niespodzianki.

— To i możemy już teraz do Policznój pojechać i zaśpiewamy pani marszałkowej kolendę. Zabierajcież się! zawołał August. — Polciu, naucz się tej kolendy na prędcę — podał mi kartkę — bo wszyscy zaśpiewamy. I ty, Józio, także. Ale przybrać musisz się trochę.

Zawołał Maryę, która pana Józefa w coś białego ustroiła i wielką czerwoną na piersiach przypięła mu

kokardę. Nadto włożyła mu i jakiś kapelusz z długą wstęgą na głowę.

Powóz zaszedł i pojechaliśmy. Wysiedliśmy za węglem dworu i doszli pieszo. Byłam poodziewana na futrze we wiejskie pstruchy. Profesor otulił się w burkę i kaptur wciągnął na czoło.

W sieni zapalono świece i zaśpiewaliśmy przy drzwiach pokoju, gdzie pani marszałkowa z drugimi bawiła paniami. August, o ile mógł, trzęsącym intonował głosem i przez nos. Otóż i ta kolenda :

Idzie wiarus młody do ludzi w kolendzie,  
Witać nowe lato i śpiewać wam będzie.  
Słuchajcie panowie, co wam wiarus powie,  
Hej kolenda, kolenda!

Jezus dziecię małe, w stajence się rodzi,  
Wszystkich oswobodził, Polskę oswobodzi.  
Jezus przybądź mały! woła naród cały!  
Hej kolenda, kolenda!

Śliczne słońce bije na niebie wysokiem,  
Skrzy się śnieżyk biały na polu szerokiem :  
Bądź jak śnieżyk biały, słońce, naród cały,  
Hej kolenda, kolenda!

Żyje Ojciec wielki, żyje Ojciec w niebie,  
Wierzy naród polski w ostatniej potrzebie.  
Ześlij nam ratunek, na ciężki frasunek!  
Hej kolenda, kolenda!

A wtedy dopiero przyjdzie wiarus stary,  
Śpiewać nowe-lato, ale starój wiary:  
Wykrzyknijmy razem, gardłem i żelazem,  
Hej kolenda, kolenda!

O przybędzie do nas niebieska dziecina,  
Zyska wolność Polska, Litwa, Ukraina.  
Tylko z nim trzymajmy, Jemu chwałę dajmy!  
Hej kolenda, kolenda!

Wszyscy nadbiegli i otoczyli nas. W pierwszej chwili nie poznali. Lecz po ostatniej zwrotce pierwszy pan Bogucki rzucił się na szyję Augusta. Ze mnie panie pościęgały pstruchy, futro, kapuzę — a pani marszałkowa rozrzewniona wzięła mnie w objęcie. Poczem nadzwyczaj wesoly nastąpił wieczór.

August ze czcią zawsze dla zasługi, z poszanowaniem dla ludzi wieku, którzy go na usługach dla kraju spędzili, — napisał także powinszowanie na nowy-rok starcowi-wojakowi, pułkownikowi Bakałowiczowi w Pęcławiu. I otóż jaką od niego odpowiedź odebrał. Zamieszczam tu dla oryginalności tę miłą pamiątkę:

„W poczet ludzi czeigodnych Augustyn się liczy.  
Ten cnotę, męstwo, talent, z naddziadów dziedziczy.

Uczeń szkoły rycerskiej, dziś rólник prawdziwy,  
 Dobry mąż, godny sąsiad, przyjaciel życzliwy.  
 Nie zapomniał o starcu, łysym, osiwiiałym,  
 Zasłał mu swe życzenia z czuciem serca całym.  
 Wiozła poczta wyrazy, i doszły staruszka,  
 O których nawet we śnie nie wspomniała wróżka.  
 Z całą więc sprężystością swęj pamięci użył,  
 Przekonał się, że tyle pochwał nie zasłużył.  
 Lecz je przyjął tém sercem, jakim były dane,  
 Przez pana Augustyna w nowy-rok pisane.  
 Była w prawdzie na chwilkę mych gości ozdoba,  
 Znikła z domu, cień został, a w sercu osoba,  
 Co swoją obecnością wszystkich zachwyciła,  
 Zniknąwszy żal po sobie tylko zostawiła.  
 Tęj więc starzec z uczuciem przesęła życzenia :  
 Niech gwiazda szczęścia dla Nięj, nigdy się nie zmienia,  
 Niech chwile przeciwności rok bieżący zniszczy,  
 Niech Jęj słońce przyświeca i jutrenka błyszczy,  
 Niechaj każdy Jęj zamysł szczęsne skutki sprawia,  
 To z serca, z duszy życzy Staruszek z Pęcławia.

August lubił zawsze liczne i długie pisywać listy,  
 a zwłaszcza też w Garbatce ta w e n a najrozleglejszych  
 i jasnych sięgała rozmiarów. Pisywał je wpół wierszem,  
 wpół prozą. Serdeczność była ich podstawą, humour  
 niewyczerpany, a dowcip dobroduszny obfitym tryskał  
 potokiem. Nieraz uśmieł się profesor, że aż zaświeciły

mu żrenice. Może te listy jego w niejednym jeszcze przechowane leżą biurku.

Pan Stanisław, wyjechawszy z Policznój, pisywał roztesknione, roztkliwione listy do Augusta — to więc i przez miłość chrześcijańską odpowiadał na nie skoro a pocieszająco.

Otóż i mały ustęp z listu zakochanego, świadczący o nadzwyczaj delikatnym a gorącym uczuciu, i dla tego pozwoliłam sobie tę cząsteczkę zamieścić:

„Opuściłem Garbatkę z otrętwiałem z przepełnieniem tęsknych uczuć sercem. To mi mówiło: Pozostań jeszcze! — To i zapytywało znowu: Jakież po temu masz prawo? — Bo wszakżeż jeszcze w niczym na względy Panny Karoliny nie zasłużyłem i też by najmniejszego poświęcenia nie podjąłem? Zatem nakazywało, by odjechać i co rychlej znowu z panem Klemensem powrócić. Pożegnanie Jój, oderwanie się od Niój, już więc jako poświęcenie stało. — W wigilią wyjazdu z Policznój ośmieliłem się zapytać Ją: czyli pozwoli, ażebym pospieszył i sam Jój szanownym przedstawił się rodzicom? — Tylko Jój dobroć niewysłowiona tego nie wzbroniła mi kroku. Odtąd nie miałem przeto już i chwili do stracenia. Odjechałem i rozpocząłem wszelkie o pasport starania. A tymczasem komuż tęsknotę moją wypowiem? Otóż przyjacielowi, który głębiej i siłę mych uczuć zrozumiał. Zatem winienem Tobie choć chwilę ulgi! — Sam siebie nie poznaję,

sam nie wiem co się ze mną stało? Z onym zimnym, jak mnie nazywaliście, człowiekiem! Wyrzucaliście mi to zawsze, łajaliście, że się nie żenię. Przyznajcie mi tedy słuszność w tej odpowiedzi: że dotąd Panny Karoliny nie znałem. — Powiem Ci także, lecz nie pośmięj się ze mnie: że Ją tutaj często widzę przed sobą. A jak? Ciekawym jesteś zapewne. — Otóż za pomocą nieocenionego skarbu, który Jój samowolnie w Łagowie zabrałem, a który stęsknionemu Jój obraz uobecnia żywo. Czy zgadujesz? — Nie! — Kwiatek, Panie Auguście, kwiatek różowy, który Jój z pięknych wyjąłem włosów. Pani marszałkowa nazwała go: perlargonium. — Jest on dotąd tak świeżym w moim ręku, jakim był na Jój główce. Pamiętam dobrze, że z lewej tkwił strony. Widzę przy nim Jój wdzięczną twarzączkę, prześliczne oczy z czystym zwierciadłem duszy; w całym wyrazie spokój, łagodność, anielską dobroć i niewinność tak czystą, jak różowa barwa tego kwiatka!....“

Śliczna Karolcia miała odjechać z ciotką do Galicyi. Przyspieszył więc pan Stanisław, ażeby ją pożegnać jeszcze.

Odjechały. Panowie odprowadzili je o mil kilka — a gdy zakochany i tęskny, za powrotem, wszedł do pokoju w Garbatce i stanął przedemną, pierwsze jego były wyrazy:

— Jestem już teraz sierotą!

To też w pare tygodni później uzyskawszy pasport, puścił się za nią na wichry i zamiecie, po wertepach i wąwozach tatrzańskich. Ale :

    Nie masz złej drogi  
    Do swojej niebogi.

Z podróży do Augusta długie pisywał listy, a ten sążniste przesłał mu odpowiedzi: z wyrazami cześci dla rodziców — bratnich pozdrowień dla synów — a hołdów poetycznych dla córki.

Galicya stała się krainą czarów dla zakochanego. Powrócił jako szczęśliwy narzeczony, z ubóstwionej dziewicy pierścieniem na palu — ale tém tęskniejszy i smętny. Więc August musiał rozweselać go znowu i humorystyczne do Chotyni epistoły wyprawiał.

Ku końcowi stycznia wypadła Augustowi podróż do Warszawy. Obiecał, że za dni cztery powróci — i tęsknotę swoją pocieszałam, że pewno słowa dotrzyma. Ale w Warszawie spotkał się z panem Stanisławem, który rozliczne skuteczniał sprawunki, a ponad wszystko uczynny August stał się dla niego pomocą wielką. Pan Stanisław dobierał także i koni cugowych, a Muranów dostarczyć ich nie mógł. Posłyszał, że obywatel pod Sochaczewem ma piękną do zbycia czwórkę, więc wybrał się zaraz i Augusta z sobą uprosił. We wszystkim zaś taka była nagłość, że nie miał czasu listu



do mnie napisać — bo ziemia paliła się pod stopami rozręsknionego pana Stanisława.

Tymczasem wyglądałam powrotu męża. Uplywa dzień jeden — drugi — trzeci ponad zakres — a byłam bez wieści nawet! Ogarniała mnie rozpacz, bo i jakież to tam w głowinie mojej rozdziły się obawy i strachy: śmiertelna choroba — rozbój — zabójstwo! Pocziwa Marya płakała ze mną. Królikowski pocieszał, perswadował, rozumował — i łyzy ocierał także.

Chodziłam, gdyby cień istny — bez snu — bez pożywienia. — Napisać do Warszawy! Ale do kogóż! Nie wiedziałam nawet w którym stanął hotelu. — Pan marszałek chciał forysia umyślnie do Warszawy wyprowadzić, by zgubę moją odszukał. Ale to samo zachodziło pytanie: gdzie miał go szukać? Gdzie zapytywać o niego?

Wujostwo bawili wtedy u państwa Szamotów w Damasławiu.

W tém dnia piątego dotkliwego niepokoju przybiega konny posłaniec z Górzna, z listem od Augusta i prośbą od Klemensostwa, ażebyśmy przyjeżdżali zaraz. August z panem Stanisławem ułatwiwszy kupno koni, pospołu pospieszyli do Górzna. Dziękowałam Bogu, lecz miałam żal szczery . . . . . zwłaszcza też do męża.

Nazajutrz wyjechaliśmy rychło z profesorem. Ja na czezo zupełnie — ślubując tę ofiarę za spokój

odzyskany — i w Górninie dopiero wypiałam filiżankę c a c a o. A przecież z Garbatki było mil siedm! — i potrzeba było Wisłę przebywać! — Pozostałam jednakże zdrową. Chciałam Augusta wyłajać okropnie — alem tego nie dokonała zamiaru. Mówił mu tylko profesor, ilem cierpiała. Przepraszał mnie ze łzami w oczach — ukląkł — tłumaczył się jak mógł — i stanęła zgoda na wieczne czasy. Przepraszał i pan Stanisław, że mi męża obalamucił — ale czyliż na zakochanych za cokolwiekbądź pogniewać się można?! —

Brat Klemens uszczęśliwiony bytnością w Górninie swojego profesora dawnego, którego ceniał i kochał — już ani wiedział gdzie go posadzić i jak ugościć. Pani Paliszewska po godzinach z nim rozmawiała, niemogąc się dosyć nauką jego i wdziękiem umiejętności towarzyskiego nacieszyć życia.

Przyjechali państwo z Czystkowa. Guwerner domowy miał skrzypki jakieś — i Królikowski musiał Jałosię zagrać. Zdawało się, że skrzypki pana Wałęckiego w inny wcale, eteryczny, śpiewny, przemieniły instrument.

W kwietniu przybył pan Stanisław z młodą żoną do Policznój — wioząc ją wprost z domu rodzicielskiego. Przyjęcie nowo-zaślubionój pary było sute

i wystawne, i dopiero po dniach kilku wyjechali do Chotyni.

W tej porze zwiedziliśmy z profesorem Czarnolas. A dziwno, bo znowu tak tam było zacisznie, jak przy pierwszej bytności. Wietrzyk najłżejszy listka jednego nie musnął — ale w gęstwinie drzew starych słowiki zawodziły cudnie, cudniej podobno, aniżeli gdziekolwiek.

August z droгим gościem naszym robił wycieczki w dalsze okolice — w których ja nie uczestniczyłam jednakże, czego dziś zwłaszcza żałuję niezmiernie.

Gdy nadszedł maj, Królikowski stawał się coraz więcej niespokojnym — a mówił, że musi do Warszawy pojechać z powodu sprawy swojej o emeryturę, która mu tak należy się słusznie. Trudno go było powstrzymać — bo rzecz była ważna a może i nagląca. Prosił się tylko, ażeby znowu do nas powrócił, co też przyrzekł uczynić.

Opuścił nas w pierwszych dniach czerwca. Pożegnaliśmy go z żalem serdecznym — a smutno nam było bardzo: tęskno po nim wszędzie.

Nadeszła oktawa Bożego-Ciała. Chodziłam na nieszpory do Gródka — bo to nabożeństwo szczególniej do mojej przemawia duszy. Czasem towarzyszył mi August — i wstępowaliśmy do proboszcza, który matkę

miał przy sobie, poważną i dobrą osobę. Czasem brałam Maryę z sobą i dziewczęta wiejskie. A powabna była ta przechadzka po stromym brzegu wzgórza, kwitnącym zaległego żytem, u stóp którego zielona, jakby z aksamitu, usłała się dolina. Przed nami, na prawo, był lasek — na lewo malowniczy Grodek. Dochodzimy do wsi. Krzyk powstał. Pies zziajany wypadł — za nim parobcy, uzbrojeni w kije — a wszystko krzyczy :

— Wściekły! Wściekły!

Pies zmierza wprost ku nam: ku mnie, idącej ścieżką na przodzie . . . . gdy Marya wyprzedza mnie nagle i stawa przedemną rozkrzyżowana! — Parobcy dopadli — pies stoczył się w dolinę. . . . Zakryłam oczy — i rzuciłam się w objęcie mojej pocziwej Maryi. Odpowiedziała mi tylko z prostoty:

— Ah, coby to pan był powiedział?!

Nadszedł proboszcz i matka jego. — Pies gdzieś przepadł na łanie przenicznym, po drugiej stronie drogi. Chłopy z niczem wrócili.

Udaliśmy się na nieszpory. Z jakimże wdzięcznym sercem pomodliłam się Bogu. — Cudownie pięknym suplikacyom nigdy z więcéj uroczystem nie wtorowałam wzruszeniem.

Po nieszporach proboszcz odesłał nas bryczką, ażeby nam psisko zbłąkane znowu nie zabiegło drogi.

Na św. Jan miłą opuściliśmy Garbatkę. Pożegnaliśmy Gródek z kościołkiem — Policzną — Bąkowiec — Sieciechów — Czarnolas. A zamieszkaliśmy w Tynicy.

Każde pożegnanie zawsze bolesném jest dla mnie — bom urodziła się z siejbą tęsknoty w sercu — której ani rozum, ni téż lata pokonać nie mogą.

W Warszawie biednego Królikowskiego znać nowe spotkały troski, gorycze i bóle... Z litości dostał małą celkę w klasztorze ks. ks. Karmelitów na Lesznie, doznając niedostatku i głodu. Zawodziły wszelkie starania o emeryturę... Popadł w nieszczęsny nałóg — i smutno życia dokonał 17 września 1839 r. — Zapłakaliśmy po nim, jakoby po krewnym.

Na miejscu domu Jana Kochanowskiego stanęła później kaplica fundacyi księżny Magdaleny Lubomirskiej. Zwłoki jój matki księżny Teresy z Lubomirskich Jabłonowskiej spoczywają w podziemiu kaplicy. Nagrobek w kościele grodeckim taki zawiera napis :

„Teresa z książąt Lubomirskich S. P. R. księżna Jabłonowska, Dama orderu św. Katarzyny II klasy, wdowa po Maksymilianie księciu Jabłonowskim, urodzona w Warszawie dnia 18 października 1790 roku. Umarła w Wenecyi d. 16 czerwca 1847 r.

„Szanując wolę zmarłej i spełniając serca obowiązki, Władysław książę Jabłonowski sprowadził zwłoki matki na rodzinną ziemię, i łzami oblane złożył na wieczny spoczynek w kaplicy wsi sąsiedniej, Czarnolas.

Pomnik ten  
najszlachetniejszej z niewiast,  
wdzięczne i błogosławiące Jój pamięć serca tu kładą.  
Katarzyna, Ludwik i Maksymilian Vidal,  
Julian Iżycki.“

Ma także w kościele grodeckim nagrobek książę Maksymilian Jabłonowski, senator wojewoda, zmarły i pochowany w Krzewinie na Wołyniu 1846 r.

### Tynica.

W Tynicy, o dwie mile od Radomia, mieszkaliśmy przez trzy lata. Do Policznój mil cztery liczono, do Bąkówca blisko pięć — i do Górzna było o dwie mile dalej, a droga wiodła na Kozienice.

Tęskno mnie tam więc było — a jeszcze i ciężki wtedy przebyłam smutek. Podźwignęłam się jednakże niebawem. — Przecierpiałam w życiu wiele — przewiele! Zdawałoby się, że ponad siły. . . . Ale Bóg dał mi pogodę ducha, którą sobie wszystko rozjaśnić potrafię. Chwytam raczej tylko zawsze dodatnią stronę życia i ludzi, każdy promyk słoneczny i ciepło każde: promyk w pryzmat stu barw przemienię, ciepło wyda kwiaty — i otoczę się złudą, choćby tylko chwilę szczęścia dało — bo i to wystarczyć musi. — Stworzyłam więc sobie i znowu troszeczkę raj w Tynicy:

a jeszcze wtedy, gdy z młodą nadzieją i wiarą patrzyło się w przyszłość!

Na św. Annę stało się koniecznością do Górzna pojechać. Wybrali się na tę uroczystość i państwo Boguccy z kilku osobami, należącymi do ich rodziny. — Myśmy przewodniczyć mieli. Pojechaliliśmy zatem do Policzněj, a nazajutrz w kilka ruszyliśmy powozów. Przepływ przez Wisłę był uroczym — pamiętam, jakby dziś. Rozlegały się po nurtach wiślanych dźwięczne śpiewy przewoźników, którym i panowie wtórowali. — Poza rzeką, we dworze Paprotni, czekali nas gościnni państwo Domaszewscy z podwieczorkiem. Ładna ich córka Olga grała nam na fortepianie ulubione melodye, z wdziękiem niezapomnianym.

W Górznie zawitało święto prawdziwe, gdyśmy doń z sędziwą panią Bogucką zjechali. A czekali tam upragnionych z Policzněj gości i zaślubieni niedawno państwo Stanisławowie. Karolcia z rozrzewnieniem kolana uścisnęła babuni.

W dzień św. Anny zjazd był liczny bardzo. Zjechało sąsiedztwo o mil pare i Warszawa dostarczyła gości. Wieczorem tańczono. Ogród iluminowano i nawet jakieś tam puszczone rakiety i szmermele.

Nazajutrz był objad w Chotyni. — Dnia czwartego goście policycy żegnali Górzno. Dwie sędziwe matrony: pani Paliszewska i pani Bogucka, popłakały się



w objęciu wzajemném — bo wiedziały, że już nie zobaczą się więcej.

Brat Klemens żegnał odjeżdżających stopniowém, śpiewając:

Już się goście rozjeżdżają  
I nas samych zostawiają.  
Pamiętajcie, żeście nasi,  
A my przyjaciele wasi!

Tynica leży wśród równiny zielonéj, a zatem nie tak malowniczo, jak Garbatka. Dworek był ładniejszy, ale w nim mniej wesoło, jak w Garbatce. Ogród owocowy dość duży, lecz nie przy domu, tylko bliżej gumien. Przy samym zaś dworze — z kądem drzwi wychodziły szklane — był ogrodzony lekkim płotem czworobok, po którym bujno rozkrzewiły się ziemniaki. Spuszczał się ku łączce i stawowi małemu, oddzielony drożynką od oficyny. — Mówiono, że kiedyś ładny to był ogródek, ale przeszły dzierżawca wolał raczej w inny sposób zużytkować każdą piędź ziemi.

Gdy więc August w czasie pierwszej wiosny na dni dziesięć za interesem wyjechał — zabrałem się skrzętnie do założenia ogródka. Kartoflisko zorano, zradlono, zkopano. Nakreśliłem plan na papierze i wy-

tykając sama trawniki, chodniki, klomby z moim zastępem niewieścim całego dokonałam dzieła. Na samym środku wielkie koło przeznaczyłam na trawnik i obsiałam zaraz; zaś w środku założyłyśmy klomb z kwiatów, poczynając od malw, słoneczników, georgiń, a kończąc na stokroci. Wysadki (flance) miałam z okolicznych ogrodów. Po bokach, wkoło chodnika założyłam klomby z drzewek, odarniowane. Drzewka przywieziono z lasu: graby, jarzabki, świerki, brzozy, olchy, klony i t. p. Nadto bez włoski, dzikie róże, trzmielinę i pare ogrodowych krzewin. Przy odarniowaniu znowu posadziłyśmy kwiaty.

Drzewa i krzewy przyjęły się wszystkie. Kwiaty rosły bujno, prześlicznie, bo ziemia była żyzna i doskonale uprawiona. Poza klombami na prawo przytykały zagony z grochem tyczkowym, wybiegłym wysoko, tworząc niby szpalery i ulice cieniste, a przedłużały ogród aż do łąki, którą wartki przerzynał strumyk. — Otóż i obraz mojego ogródka, jakim tego lata był jeszcze.

Gdy August z drogi powrócił, znalazł go już uporządkowanym, lubo że szarym jeszcze. Z dumą jednakże oprowadziłam go po nim, bo już przecie coś zapowiadał. A dnia każdego śledziłam z radością i najmniejszą wystrzałkę zieloną.

Pracę powyższą, słabe przeciążającą siły, odcho-

rowałam jednakże. Lecz miałam ogródek śliczny i kwiatki przecudne.

Potrzebną też była w Tynicy taka rozrywka, bo wyjeżdżaliśmy niewiele i nieczęsto mieliśmy gości. Do Policznej jeździliśmy co kilka tygodni, a zarazem i do Bąkówca lub Sieciechowa, co zawsze czasu nieco zajęło. Pan marszałek odwiedzał nas dość często, pan Józef i inni kuzynowie marszałkostwa. Byli wujostwo razy pare i dobry, poczciwy brat Klemens.

Ze sąsiedztwa Tynicy poznaliśmy państwa Potkańskich, Chociszewskich i panią Debolinę, wdowę po prezesie, Drużbacką z domu, wychowankę Puław. Była to osoba wielce przyjemna, rozumna, wykształcona, ujmująca, ale żalobą po synie jedynaku złamana. Kazała na jego wyryć grobowcu:

„Czemuż z drogiej rzeczy strata i pamięć  
po nich nie zaginie.“

Do Zwolenia były dwie mile opętane. W Radomiu mieliśmy p. p. Białkowskich Dominików. On był rodem z Poznańskiego i serdecznym przyjacielem naszym. Wesół, dowcipny, towarzyski i pełen życia. — Pani Białkowska, z domu Ryłska, miła, z wyższem wychowaniem, ładnie i umiejętnie grała na fortepianie. Był to dom przyjemny bardzo. — Mieszkali tam często i pułkownikostwo Deskurowie z Mrokowa. Pułkownik był jeszcze Napoleńskim żołnierzem.

W domu państwa Białkowskich poznałam jene-

rała Prądyńskiego, bliskiego krewnego pana Dominika: najzdolniejszego, jak twierdzą, z jenerałów polskich. Był tam z żoną, Rutkowską z domu, i dwiema niedorosłymi córkami. Pani Prądyńska do pięknych należała kobiet i wiele posiadała wdzięku.

Jenerał budził współczucie. Miał krzyż sparaliżowany, siedział bez ruszenia się w fotelu, poobwijany pod zwierzchniem ubraniem prześcieradłami, nasiąkłymi wodą à la Prischnitz, a zawsze na słońcu; mówić także nie mógł.

Straszne, okropne wkrótce potem spotkało go nieszczęście. Było to w jesieni, na wsi. W pokoju, w którym siedział, paliło się na kominku. Przybiegła młodsza córeczka, kręciła się po pokoju, płomień zajął jej sukienkę . . . i spaliła się w oczach nieszczęśliwego ojca, który sam nie mógł jej ratować — ni też zawołać o pomoc! — Trudno sobie wyobrazić coś więcej okropnego!

Wiadomo, że po wzięciu Warszawy jenerał został wywieziony do Petersburga, gdzie mu żona towarzyszyła. — Car Mikołaj zażądał, by mu opisał wojnę r. 1831. Co też wykonał. Pani Prądyńska przepisała memoriał — za co brylantowy otrzymała fermuar. — Po dwóch czyli trzech latach jenerał powrócił do kraju i na wsi zamieszkał w Radomskiem.

Starsza córka Sylwia, znaną była ze zdolności

i niektórych prac literackich. Umarła, niestety, przedwcześnie!

Miasto gubernialne Radom, nad rzeką Mleczną, położone na równinie, dość duże i dość ładnie zabudowane, pomiędzy mniejszemi miastami w Polsce, jedno z miejsc pierwszych zajmuje. — Ma pamiątki dziejowe — ale te już tylko podobno pozostały się w pamięci.

Założył Radom Kazimierz Wielki. Polując wiele po okolicznych lasach, zwykle w zamku przebywał radomskim. — Roku 1469 zjechali tu do Kazimierza Jagiellończyka posłowie czesey i ofiarowali synowi jego, Władysławowi, koronę czeską po śmierci Jerzego Podiebrada. — W zamku przemieszkiwała Barbara Radziwiłłówna, jako żona Zygmunta Augusta, a następnie i trzecia jego żona, Katarzyna Austryacka.

Roku 1767 w czerwcu zawiązała się tu Konfederacya Radomska, rozkazem Katarzyny carowój wywołana przez Repnina, pod laską Karola Radziwiłła. — Złożoną była nietylko ze wszystkich konferencyi dysydenckich, ale i katolickich, niechętnych królowi. — Skutek jęj pamiętny był najfatalniejszym, bo Moskale otoczyli ratusz, gdzie zebrała się szlachta, chcąc ją do podpisu ułożonych zmusić warunków. — Podpisało go tylko kilku. I Konfederacya rozjechała się, — klnąc

<http://rcin.org.pl>

w duszy, że Repninowi złudzić się dali. — Roku 1794 obywatele powiatu radomskiego przystąpili zaraz do aktu powstania krakowskiego 11 maja. — Kościoły ma Radom piękne, mianowicie też św. Jana i ks. ks. Pijarów. Na przedmieściu Jedleńskim kościół i klasztor ks. ks. Bernardynów założony został przez Kazanowskich r. 1468.

Od przyjazdu zwoleńskiego, przy wjeździe do miasta, stoi gmach ładny Rządu Gubernialnego otoczony klombami.

(Księgarnia, pożyczalnia obfitowała w świeże książki. Mianowicie też byli tam wszyscy znakomitsi autorowie francuzcy: George Sand, Balzac, Dumas, Sue, Soulié, Gozlan, Victor Hugo, Raimond, Reybaud i t. d., i t. d.) — August abonował się zaraz, więc miałam co czytać. I wtedy pochłaniałam czarowném piórem nakreślone: *Indiane*, *Valentine*, *Lelia* i t. d. — Nie powiem jednak, ażeby mi do zbytku były rozogniły fantazyą — i raczej więcej spokojne, pogodne wolałam opowiadania, które mnie rozmarzały, ale nie targały wnętrza. Jak np. *Helena* przez miss Edgeworth itp.

Gdy August wyjechał i pozostałam się samotna, czytanie nie zawsze wystarczało mi na tęsknotę — zwłaszcza w zimowej porze, gdy śnieg zaległ ogródek — więc i wzięłam się do pióra. Napisałam w tym czasie pare powiastek: *Plebąna z Brzózek*, drukowanego w *Dzienniku Domowym poznańskim* itp.

Z Tynicy jest do Odechowa parafia. Dawny tam kościół, fundowany przez Długosza. Mocne jego mury przechowały się dotąd zupełnie cało.

Długosz, jako kanonik kolegiaty Sandomirskiej, był i posiadaczem dóbr Odechowa, zamienionych następnie na wieś Zajęczkowice, którą kapituła dzierżyła przez wieki.

Pamiętki po Długoszu ofiarował swojego czasu pleban odechowski, ks. Korycki — jako osobliwość księciu Czartoryskiemu do domu gotyckiego w Puławach, i umieszczone zostały na Ścianie Długosza. Za co otrzymał znacznej wielkości krucyfiks alabastrowy, pięknej rzeźby, który znajduje się dotąd w odechowskim kościele.

Któżby wtedy był mógł przewidzieć, że one po Długoszu pamiętki będą przechowane bezpieczniej w kościele parafialnym wiejskim, aniżeli na monumencie w Puławach?! — Po które tam następnie nieraz ręka sięgała Wandała.

Około r. 1820 nabył dobra Odechów od Potkańskich, Szymaniecki, dawny wojskowy, tytułowany pułkownikiem — podobno adjutant króla Hieronima Westfalskiego. Niektórzy utrzymywali, że je nabył głównie za pieniądze panny Bacciarelli, córki sławnego malarza za Stanisława Augusta. Miał się z nią ożenić, ale zabrawszy jej majątek, wiele pięknych obrazów i kosztowności, porzucił biedaczkę. Osadził ją w tak zwa-

nym skarbcu, budynku na dziedzińcu wymurowanym; posyłał jęj skromne pożywienie a nie widywał więcj.

Mając piec wielki w swojęj izdebce, z surowych kachli, wymalowała na nim postać ukochanego, doskonale trafioną i wpatrywała się w nią przez godziny całe. Na innych znowu wymalowała starego sługę, Macieja, życzliwego sobie; widok wsi Odechowa, o ile z okienka objąć go mogła; sposób odrabiania szarwarku, przy którym biją się chłopaki, dziewczki na rydlach oparte stoją, stara kobieta coś z garnka wyjada, a Żyd się modli płachtą odziany. — Zapewne była uczennicą ojca.

Biedna kochała niecnego niewdzięcznika o ile kobieta kochać może, a jęj całe stanowiło szczęście, gdy go przez kratę mieszkania swojego dojrzeć mogła, wsiadającego na koń, wśród hulaszczęj zgrai, która otaczała go zwykle. Ale niegodziwemu było i to uprzykrzoném jeszcze, więc kazał jęj wynieść się ze skarbcu do tak zwanęj turmy.

Ogród odechowski opasany był murem; w końcu tegoż, przytykającym do pola, stało coś podobnego do baszty — i w tęg turmie nieszczęśliwą osadzono kobietę. Doznawała tutaj głodu — nędzy najstraszniejszęj — i na barłogu, bez prześcieradła umarła!

Wiadomość tęg z wiarogodnego zupełnie mam źródła. — Turmę widziałam — a może i dziś stoi jeszcze. Używali ją sadowi do przechowywania owocu.



Na smętarzu odechwskim był napis na jednym z nadgrobków, po wymienieniu pani, spoczywającej pod nim:

Kiedy kraj damę, służy pani płaczą,  
Krewni mileżą słuszną miotani rozpaczą.

Lud w Tynicy szczególnie przywiązał się do nas, mianowicie też w skutek następującego wypadku.

Wykryto, że kilku młodych parobków zakradło się na spichlerz i dość dużo zboża nabrało. August nie oddał ich pod sąd, lecz na miejscu sprawiedliwość postanowił wymierzyć. — Na czele złodziei był Paweł Cholewa chłop młody, sążnisty. Miał starego ojca i tego, trzech innych jeszcze ze starszyny i sołtysa, August sędziami mianował. Zwołanym rzecz przedłożył: że nie chce unieszczęśliwić winowajców, oddając ich surowości prawa — i raczej niechaj ojcowie i krewni przestępców osądzą i karę wymierzą.

Wszyscy uznali to z wdzięcznością. Czyn zbadali — sprawdzili — przesłuchali świadków, z wszelką sumiennością i rozważnie bardzo — wrodzonym chłopskim rozumem.

Stary Cholewa sam na syna wyrok wydał — a brat starszy karę wymierzył. — Odtąd nie mieliśmy przychylniejszego dla siebie człowieka, jak Pawła Cholewę — a był szczęśliwym gdy nam mógł usłużyć.

Wiedział, że miewam książki z księgarni z Radomia, że zmieniam je często: że czytanie jest dla mnie rozrywką — więc i nieraz przychodził zapytać: czy go po książki do Radomia nie pošlę? — Ulice ogródka rychło z własnej ochoty, zanimeśmy wstali, wygracował nieraz i wygrabił. A gdy August brał go do koni w drogę, zwykł strzedz wszystkiego, gdyby oka w głowie.

Jest w ludzie naszym zakład wielkiej pierwotnej enoty. Wielkie poczucie sprawiedliwości, uznanie rozsądne i wdzięczność za każdy życzliwy okaz. Nie zawsze ufają, nie dowierzają często, nieci się na dnie ich duszy prostaczęj pewna . . . . . wsteczném doświadczeniem zacepiona podejrzliwość — tój jednak pozbędą się łatwo, gdy o szczerych przekonają się chęciach, gdy nie tylko do sere ich, do ich duszy — ale i do rozumu potrafimy przemówić.

Sołtysem był Szymon Korycki, chłop weale ro rozumny, który i chętnie posłyszał, co tam dalej na Bożym dzieje się świecie. Gdy więc zdarzyła się sposobność, to August lubił oświecić go w niejednym. Biedny, czas długi chorował na febrę, która wycieńczyła go bardzo — a uleczyliśmy go herbatą z bobowniku: *Trifolium febrilis*, bo febra nie wróciła więcęj.

Urodził mu się synek, i zaprosił nas w kumy: mnie ze starym karbowym, z arcy-pocziwym i bardzo rozumnym chłopem, a Augusta z matką swoją. Pojechaliśmy z dzieciąciem do kościoła. A potém wysie-

dliśmy przed mieszkaniem jego — i nowo-chrześciana oddaliśmy matce. Siedziała na łóżku, a opodal był stół nakryty niebieską serwetą. Na nim stała flaszka wódki zaprawiona miodem i gwoździkami; leżał chleb razowy, kołacz, było masło na talerzyku, sér i gruszek kilka.

Oczywiście, żeśmy za zdrowie matki i dziecięcia po pare kropli onój wódki z miodem i gwoździkami wypili. Zjadłam trochę kołacza i gruszczkę. A Augustowi to nawet chleb razowy z masłem i serem wcale nieźle smakował.

Gospodarstwo byli serdecznie uradowani. — Pogadaliśmy o tém i o owém — a potem zadowoleni w duszy — więcej aniżeli z najświetniejszego towarzystwa, wróciliśmy do domu — i herbatę wśród klombów wypili moich.

Miałam w Garbatce dziewczkę — córkę gospodarza z Garbatki: Kasię, hożą i ładną dziewczkę, smukłą, czarnobrewą, przy siwych oczach. Przywiązała się do mnie o tyle, że z nami pociągnęła do Tynicy — czemu dziwili się wszyscy.

Po roku parobek Franek — także z Garbatki — upodobawszy sobie dziewczynę, do jej zakołatał serca i wzajemność pozyskał. Pożenili się i zabrał mi Kasię, wraz ze szczerém błogosławieństwem.

Nastąpiła nieszczęsna branka. Kasia przybiegła do Tynicy — blada — znekana — we łzach — bo jej Franka porwali w nocy: spętali mu ręce — i do Radomia zaprowadzili. Biedaczka szukała dla niego i dla siebie ratunku!

Pocieszałam ją jak mogłam — ale jakaż przy takiej brance może być nadzieja — pociecha?! — Nazajutrz pojechaliśmy z nią do Radomia.

Boże mój! I cień słabiej nie zajaśniał nadziei, ażeby Franka uwolnić można.

Bawił wtedy w Radomiu już od parę tygodni adjutant Paszkiewicza, pułkownik Rudzewicz — z poleceniem odbycia przeglądu magazynów rządowych. Starał się być w kilku domach polskich i spotkaliśmy go u państwa Deskurów i Białkowskich. Niepodobna im było uchylić się od przyjęcia go — wreszcie opinia za nim mówiła: jako za człowiekiem honoru i prawym.

Miał wychowanie dobre, wykształcenie i wielką ogładę towarzyską. Mówił ślicznie po francuzku a dobrze po polsku. Ojciec jego był feldmarszałkiem i niepośledniego używał znaczenia. — W nim zatem jeszcze trochę było nadziei. August poszedł do niego — lecz i on nic dopomódz nie mógł.

Biedna Kasia płakała, że aż krajało się serce.

Nieszczęśliwych popisowych zamknięto na dziedzińcu przy magazynach — otoczonym murem, zawar-

tym kratą żelazną. Kasia poszła pod wieczór, by męża zobaczyć, choćby przez kratę tylko — my za nią.

Przy kracie stało kilkadziesiąt kobiet zapłakanych — lamentujących — skurczonych długą drogą, kilkomiłową — ogorzałych — wynędzniałych — zmiętrzonych . . . . pomiędzy nimi wcisnęła się i Kasia. Zaś na dziedzińcu w głębi skupili się nieszczęśni brańcy. Ten rzucił się twarzą na ziemię. Tamten na kolanach ją ukrył. Ten śpiewał — podskakiwał — jak gdyby własną chciał oszukać duszę. Inni w osłupieniu patrzyli przed siebie . . . . . Wojsko krążyło wkoło — i nie dozwoliło im zbliżyć się do kraty — by z kobietami pomówić.

Był to widok boleśniejszy nad określenie wszelkie.

W tém nadchodzi pułkownik Rudzewicz. Ukłonił się grzecznie, poznawszy nas. Biegnę ku niemu — i składając dłonie, błagam, ażeby dozwolił przystępu tym nieszczęśliwym kobietom do ich mężów, synów, braci, narzeczonych!

Budzewicz pokłonił się znowu. Zawołał na podoficera — coś tam z nim pogadał — poczem zwrócił się do mnie i wyrzekł:

— Vous serez satisfaite, madame.

Podoficer gdzieś pobiegł, wrócił: kratę otworzył i na brańców zawołał. Skoczyli na równe nogi. Kobiety rzuciły się w dziedziniec — i w objęciu ukocha-

nych swoich — których jutro na przydługie lata, albo na zawsze pożegnać miały.

Wieczorem przyszła do mnie Kasia, rumiana — spokojna — uśmiechnięta niby.

— A co, Kasiu? zapytałam, gdy kolana objęła moje.

— Paniusiu wielmożna — odrzekła — niech już dzieje się, co chce: ja pójdę z Frankiem na kraj świata. — Znać taka wola Boża!

— Cheesz z nim pójść w kraj daleki, moskiewski? zawołałam.

— Toćże już z nim pójdę! Gdzie on, tam i moje wszystko. A gdzie jego nie ma, tam i świata nie ma dla mnie! Bóg dobry jest wszędy. — I wielmożna paniusia za swoim pojechałaby panem!

Jakżeż mnie zagadła! — Umilkłam — i po chwili dodałam tylko:

— A cóż rodzice twoi?

— Mają młodszą siostrę i dwóch chłopaków. — Franek nie miałby nikogo. A ja . . . i tak umarłabym za nim niedłuzko. Jutro rychlutko wychodzimy — Miała łzy w oczach.

— To i jakżeż ty pójdziesz, biedna?

— Matka przenajświętsza, com jęj się ofiarowała, doda pomocy. A kiedy spojrzę na Franka, to i pewno nie ustane w drodze. Rozmówiliśmy się wczoraj, kiedy to państwo wielmożne zrobiło, że nam otworzyli kratę

a potem i ciężar spadł ze serca, gdyby kamień. . . . .  
Będę prała dla drugich i szyła, to i pare zarobię groszy. Bóg dobry nie opuści i Matka Przenajświętsza! Przysięgaliśmy przed ołtarzem św., to i dotrzymamy przysięgi.

Cóż tu więcej było mówić? — Jam nie wiedziała. Zawołałam Augusta z drugiego pokoju i opowiedziałam mu postanowienie Kasi. — Jużesmy jęj i żadnych nie czynili uwag. Znać taką była wola Boża!

— Czy przyjdiesz tu jeszcze? zapytałam.

— Już nie, wielmożna paniusiu. Ani dośpię i prosto na plac pójdę. Tam będę czekała, bo się boję, ażeby mnie nie zostawili.

— A czy pozwolą tobie iść z mężem? — zapytał August.

— Oj, rozmówiliśmy się z kapitanem — odrzekła — i powiedział, że pójsć mogę.

Kasia pożegnała nas zatęm. Kazała swoich pozdrowić — i zaszlochała konwulsyjnie, jak gdyby jęj serce pęknąć miało. Popłakałam nad nią. Pożegnała się i odeszła. Ciężar przytłoczył mi piersi: jak gdyby biedna skazała się na śmierć.

Nie już nigdy o nięj nie zasłyszalam.

Nazajutrz, jak gdyby dzień sądu strasznego w Radomiu nastał. Brańcy wyszli . . . a kobiety biegły, leciały — by widzieć ich jeszcze.

— Co on tam pocznie? Co on pocznie? wołała jedna, załamując ręce, i biegła, co jój sił starczyło.

— Boże zabierz! Śmierć daj Boże! — krzyczała druga.

Kobiety na bruku padały. Wlokli się starcy o kijach: ojcowie, dziadkowie. Matki z dziećmi na ręku na głos cały płakały — ryczały.

Jedna z kobiet rozbiła sobie głowę o mur kamienicy. Druga w studnię wskoczyła.

Stary ojciec poszedł do gubernatora: błagając o uwolnienie syna — i padł przed nim nieżywy.

Straszno! . . . , A był to tylko w szczupłych rozmiarach obraz tego, co po całej dzieje się Polsce!!

---

(Istnieje w Kongresówce jakoby stan czwarty, a tym jest drobna szlachta, w którą obfituje głównie Płockie i Lubelskie, nadto Radomskie i Sandomirskie. Także Wołyń — Litwa — Polesie. Korzeniowski opisał ją wybornie w swojej Kollokacyi, Kraszewski w Milion Posagu, Dwa Światy i t. d.

Wsie całe, kolonje liczne obsadzone jedynie tą drobną są szlachtą — a butną na szlachectwo swoje. Sami ziemię uprawiają i wszelką rolę wykonują pracę. Dawniej, popędzając wołki w pługu, zwykli przypasywać karabelę. I znanem jest przysłowie: Szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie.



Warstwie téj brak wykształcenia zupełnie — ale wyszli przecie z łona jój także i mężowie znamienici, bohatyrowie chlubę przynoszący krajowi. Odznaczają ich przechowane czysto-polskie obyczaje i zwyczaje, dawne cnoty rodzime i miłość ojczyzny. — Niekiedy jednakże, w skutek braku oświaty, obok buty szlacheckiej i śmieszności wielkie.

Na chłopą spoglądają, jakoby na istotę nieskończenie niższą od siebie. Mieszczan nazywają łykami i nie chcieliby bratać się z nimi. Dla posiadzieli większych włości, dla szlachty karmazynowej tradycyjną mają przychylność i poszanowanie.

Kłeską jednakże dla wsi i niepokojem jest taki drobny szlachcic, jako jój właściciel cząstkowy. Przez odłączenie się od braci swoich wynaturza i staje się nieprzyjazną odrębnością w jednolitości wioskowej. — Z dworem żyje w nieprzyjaźni zwykle i w procesach. Z chłopami toż samo, a jeszcze i do bójek przychodzi. Gdy żrubak dworski miedzę jego przeskoczy, już go chwyta i o szkodę procesuje. Gdy gęś chłopaska wejdzie mu na ugór, zagania ją i opłacać każe. Ztąd ciągle harmider, kłótnie i krzyki.

W Tynicy mieliśmy takiego sąsiada: człowieka gburą zupełnego, ale zawsze z butą. Miał drugą żonę, syna dorosłego z pierwszej, a chłopca dziesięcioletniego z drugiej. Macocha biednego pasierba nienawidziła. Wojtuś liczył już lat dwadzieścia, umiał jako-tako czy-

tać i pisać, ale zresztą nic więcej. W domu koźłem był ofiarnym: pełnił służbę parobka — a najczęściej i dziewczki zarazem. Jadał gorzej od rodziców i braci-szka przyrodnego. Rano bywał pierwszym na nogach, a po mitrędze i ciężkiej całodzienniej pracy ostatnim do spoczynku. To też w niedzielę, gdy wyrwał się z domu, aż nadto chętnie w karczmie z dziewczuchą którą oberka wywinął. Ale zmiłuj się Boże, gdy to pani macocha spostrzegła! Wtedy — oh wtedy . . . . . nahażka tatunia skrzętnie była w robocie. — Szlachcie przychodził czasem do męża mojego. Raziła w nim pycha szlachecka obok ograniczenia zupełnego i sprośności. Sadził się nawet na opowiadanie i dowcipy które były straszne. Dla scharakteryzowania ich lepszego, opowiem zabawne zdarzenie.

W święto jakieś czyli w niedzielę, rodzina ta zamierzyła odwiedzić sąsiadów, również drobną szlachtę. Pani — bo to należy do rzeczy — włożyła suknię jedwabną, zieloną, podobno ślubną; czepek z różową wstążką, na to kapelusz z niebieską; rękawiczki bawełniane białe, świeżo wyprane, i barwnym obrzuciła się szalem. Jegomość zawiązał białą chustkę na szyi; ustroił się w żółtą w kwiaty kamizelkę, w szaraczkowy surdut i kapelusz popielaty, stary, spłowiały, przestarzałej formy.

Wojtuś, biedaczysko, wystrychnął się w jakiś płaszcz letni ojca i włożył krawatkę niebieską, perka-

likową, a na głowę słomkowy kapelusz. Zastąpił woźnicę, zajechał brodzką bryką, państwo wsiedli i pojechali.

Był właśnie czerwiec i sianozęć pomyślna. Na łące państwa Y., do których jechali, prześliczne sianko, woniejące kwiatem, przeschnięte już na pokosach leżało. A rodzic Wojtusia i macocha znali tę łąkę i to sianko, złota warte.

Państwo Y. gości powitali ochotnie. Podano zaraz kawę i chleb świeży z masłem. (Wojtuś zdał o tém wszystkiem raport staremu karbowemu, do którego szczególne miał zaufanie).

Po kawie siedzieli wszyscy przed domem. Potem poszli obejrzeć krówki, gdy z pola wróciły. Trzódkę chlewną. Panowie doszli do stajni a panie zabawiły się gąskami, kacuzskami, wracającymi z sadzawki i liczną czeredą kurcząt.

Wieczór zapadł. Państwo Y. zaprosili na wieczerę: na prosię pieczone i sałatę ze słoniną. Wojtuś, aż oblizywał się jeszcze.

Po kolacyi goście z Tynicy pożegnali się. Uściskali, ucałowali kochanych sąsiadów i kumów — i odjechali. Wieczór był nieksiężycowy, ale gwiazdzisty zawsze. Przy łące, obok Bożój-męki, poza tarniną, ojciec Wojtusiowi przystanąć kazał. Małżeństwo wysiadło. Jójmość ściągnęła rękawiczki, zakasała suknię, jegomość podjął poły od surduta: pobiegli na łąkę i całymi naręczami, o ile objąć mogli, piękne zagarniali siano. Pakowali

w brykę, nawracali znowu i znosili, o ile mieściło się tylko. Potem wsiedli, Wojtuś konie zaciął — a w sam czas, bo powstały krzyki, i dosłyszeli wyraźnie: „siano kradną!”

Wojtuś popędzał kasztanki o ile uskoczyć mogły. Szcześnie stanęli w domu — i sianko na strych wynieśli.

Nazajutrz rychło przyleciał pan Y. konno. Nastąpiły wyrzuty, klótnie, krzyki. . . . A potem wniosła pani domu karafkę z wódeczką zaprawną miodem, gwoździkami, imbierem — i nastąpiła zgoda. — Do kradzieży siana, oczywiście, że się nie przyznali.

Opowiadano mi w Płockiem następującą o tamtejszej szlachcie humoreskę, którą tu także, jako osobliwość zamieszczę.

Żył tam kiedyś pan Ignacy — nazwisko przemilczę — dziedzic pięknych, rozległych włości, obywatel nader zacny, prawy, rozumny, lubiony powszechnie, a mianowicie też przez braci szlachtę, sąsiednie zamieszkującą osady.

Bliskim sąsiadem pana Ignacego był pan Wincenty, znany humorysta, dowcipniś, lubiący figle płatać i żarciki.

Po śmierci Aleksandra I udał się na koloniję szlachecką i wezwał szlachciców, jakoby na sejmik.

— Wiecie, panowie bracia — zaczął — że cesarz Aleksander, król Polski umarł

— Tak, słyszeliśmy.

— Wiemy!

— Zatem potrzeba się naradzić i spiesźnie elekeją nowego króla ogłosić, ażeby nas kto nie uprzedził.

— Słusznie!

— Święta prawda!

— A chodzi przecie o to, ażeby Polak na polskim osiadł tronie: Piast.

— Polak!

— Piast!

— Niech żyje Polska!

— Niech żyje Piast!

— Zatem, panowie bracia, przystąpmy do elekeji. Mamy tu niedaleko najgodniejszego współobywatela...

— Pana Ignacego!

— Wielmożny pan Ignacy!

— Jaśnie wielmożny!

— Właśnie jego miałem na myśli, panowie bracia.

— Niech żyje król Ignacy!

— Wiwat król Ignacy!

— Obieramy go jednozgodnie!

— Ta jedność i zgoda wielką chlubę wam czyni, panowie bracia.

— Niech żyje król Polski, pan Ignacy!

— Wiwat król Ignacy!

— Wiwat Piast!

— Jedność wasza, panowie bracia, najpiękniejszym dla całego kraju jest przykładem.

— Wiwat!

— Niech żyje Piast!

Powstały okrzyki, hałas, że i nikt własnego nie rozumiał słowa.

— Daléj do pana Ignacego!

— Okrzyknijmy go królem!

— Elekeya skończona!

— Jedźmy!

— Jedźmy z kopyta!

— Hola, panowie bracia! zdołał ich wreszcie przekrzyczyć pan Wincenty. — Dzisiaj jest już za późno! Jutro, w dzień jasny! Choćby tak o drugiej z południa. I w przybraniu odświętném.

— A jużci!

— Naturalnie!

— Trzeba przecie wystąpić, jak się należy.

— Zatem, panowie bracia, ja tam już będę u naszego elekta. Przybądźcie hurmem, okrzyknijcie go i rzecz będzie skończona.

— Niech żyje pan Wincenty!

— Wiwat!

— Wiwat pierwszy kanclerz państwa! wyrwał się któryś.

- Nasz marszałek niech żyje !
- Wiwat nasz dobrodziej !
- Niech żyje marszałek sejmowy !
- Niech żyje kanclerz !

Poczęli go ściskać, całować, jeden w usta, drugi w kolana; ten w pas go chwytą, tamten za nogi. O mało, że wyswobodzić się potrafił: że go z objąć puścili swoich. A był szczęśliwym i serdecznie się uśmieł, gdy wsiadł na bryczkę i ze wsi wyjechał.

Nazajutrz zjechało na objad do pana Ignacego kilku sąsiadów, a pomiędzy tymi i pan Wincenty. Nic jednakże o wczorajszej elekcyi nie mówił nikomu, i tylko na twarzy jego raz po raz figlarny jawił się uśmiech.

Właśnie gdy do objadu zasiedli, nagle na dziedzińcu powstała wrzawa, tupot koni — hałas — i poczęły rozlegać się okrzyki :

- Wiwat !
- Wiwat !
- Niech żyje pan Ignacy !
- Niech żyje król Polski !

Wszyscy się porwali i wybiegli: éma ludzi szarackowych na różnych szkapinach cały zaległa dziedziniec.

— Cóż to za najazd ? zawołał dziedzic wioski. — Cóż się to znaczy ?

Pana Wincentego śmiech dusił.

- To gwałt jakiś!
- Zajazd! — powtarzano w koło.
- Wiwat! rozległo się znowu.
- Niech żyje król!
- Wiwat król Ignacy!

Szlachta rzuciła się z człapaków. Deputacya z kilkunastu złożona przystąpiła do pana Ignacego, z odkrytymi głowami.

— Najjaśniejszy panie! padli na kolana — chciój nam miłościwie panować!

— Wiwat król Ignacy!

— Niech żyje Piast!

Gwar — hałas — krzyk w różnej trwał mieszaninie.

— Albo rozpuszczono waryatów — wymówił pan Ignacy — albow ja zmysły postradał! — ścisnął głowę oburącz.

— Obraliśmy wczoraj jaśnie wielmożnego pana królem naszym! tłumaczył jaśniej jeden z kłęczących.

— Niech żyje król Ignacy!

— Wiwat król Polski!

— Ależ to jest straszna historia! zawołał pan Ignacy pomieszany — nie rozumiem tego wszystkiego!

— Mogą nas het wywieść, gdzie nie byliśmy jeszcze! poszepnął jeden z gości.

Pan Wincenty śmiał się do rozpuku.

— Otóż i zapewne figielek Wicusia! — zagadał trzeci.



Pan Ignacy się obejrzał. Deputacya klęczała ciągle, niepojmując oporu elekta.

— Panie Wincenty, przez miłość Boga! ujął go pan Ignacy za rękę — nawarzyłeś piwa!

— Odrób, coś nabroił — szeptał mu sąsiad.

— Możemy przejechać się na Sybir! kładł mu drugi na ucho.

— No, no, poczekajcie! — pan Wincenty śmiać się przestał, uznawszy zapewne nierozważny figiel.

Szlachta tymczasem ciągly gwar robiła. Jeden wysunął się z mową, drugi mu przeszkadzał. Trzeci wykrzykiwał wiwaty. Czwarty się modlił. Jedni stali z pochyloném czołem, drudzy szastali się butnie.

Wreszcie pan Wincenty zdołał do nich przemówić, przyjmując smutno-poważną minę.

— Panowie bracia, niestety! Żal ściska serce, bo otóż właśnie przybiegł kurjer z Petersburga: że brat nieboszczyka cesarza a króla polskiego, w. ksiązę Mokołaj, już obranym został.

— Jezus, święta Maryo Panno!

— Chryste Nazareński!

— Święty Stanisławie, patronie Polski!

— Przenajświętsza Maryo, królowo polskiej korony! — powstały w koło suplikacye żałosne.

— Panowie bracia, powstańcie! pochylił się ku nim pan Wincenty.

Wzdychając i lzy ocierając, podnosili się zwolna.

— Serdeczne wam dzięki, panowie bracia, a sąsiedzi kochani! odezwał się do nich także pan Ignacy. — Serdeczne wam dzięki za życzliwość waszą dla mnie! Jesteśmy krew ze krwi, kość z kości Polacy, to też teraz pomodlimy się wszyscy pospołu: ażeby król przyszedł, cesarz Mikołaj I, miłościwie a sprawiedliwie panować nam raczył i kraj nam drogi pokochał.

Przyklękli wszyscy i gorącą zmówili modlitwę. Poczém odśpiewali: Bogarodzico, dziewico!

Powstawszy z klęczków, ściskali i całowali pana Ignacego. Płakali — ściskali i całowali drugich sąsiadów. Całowali siebie nawzajem — i szlochali z rozczulenia.

Pan Ignacy kazał wina przynieść gąsiorów parę. Wnieśli kilka wiwatów. Ściskali i całowali się znowu. Poczém dosiedli człapaków i spokojnie pojechali do domów.

Cała ta historia, szczęściem, żadnych następstw nie miała. Szpiegów znać tam nie było — i rzecz wsiątkła pomiędzy swoimi.

Opowiadał pan A. D. z Płockiego, że raz był zaproszonym na ślub do drobnej szlachty, na przyległą do dóbr jego osadę. Orszak weselny zebrał się licznie. Wszystko w podochoconym było humorze. Zaszły bryki, bryeczki, wozy i wózki, któremi do kościoła pojechać mieli. Wyprowadzają pannę młodą. Oczywiście, była

w bieli, w mirtowym wianku, ale warkocz, zamiast strzała, przepięła . . . . łyżką srebrną! — Na to dawał słowo honoru.

W Tynicy po raz pierwszy świadkiem byłam obchodu Sobótki. W wigilią św. Jana zebrała się na drodze, wśród pola, gromadka młodzieży wiejskiej: parobcy, dziewczęta i dzieci, jako widzowie. Zrobiono ogień na środku drogi, dość płasko rozłożony. Wszyscy wzięli się za ręce, i zaczynając od zwrotki:

Zapalajmy sobótki,  
Bo już wieczór jest krótki!

Śpiewali różne wesołe piosenki i tańczyli w koło ognia. Potem przystanęli, pospuszczali ręce, a dziewczęta pojedynczo skakały przez ogień, przy odgłosie śpiewu, krzyków, śmiechu i rzępolenia na skrzypkach. Która z dziewcząt najzręczniejsz i najwyżej przeskoczyła ogień, większy odnosiła tryumf.

Obchód sobótki, to jakby próba ognia. A czyliż szmigus — dyngus — nie jest próbą wody! — Zabytki to niewątpliwie pogańskie, a kto wie zkad i jak do Polski przybyły.

Gody weselne odbywają się mniej-więcej w ten sposób, jak u nas w Poznańskim.

W Radomiu żył pułkownik b. wojsk polskich Słotwiński, żołnierz jeszcze Napoleoński, Sybirczyk.

W r. 1831 mianowany został organizatorem wojskowym w Koninie. A stał się głośnym podówczas, tak w prasie polskiej, jako i niemieckiej, przez wyzwanie na pojedynek jenerała komenderującego von Rödern w Poznaniu. Co spowodowało to wyzwanie? Otóż słyszałam, lecz już nie pomnę.

August poznał pułkownika w niedostatku wielkim i przywiózł go do Tynicy. Liczył już wtedy lat sześćdziesiąt-kilka — a ciężkie przeżył niedole. Umiał być przyjemnym w byciu domowem, ale nie zastąpił jednakże Królikowskiego. — Umiał opowiadać, czytał wiele — i grywaliśmy często, o honor wygranęj, w Rumel-Pikietę..

---

Napisałam w tym czasie powieść: Bronisław, z r. 1831, podług ustnego opowiadania. A zaręczano mnie, że fakta są prawdziwe zupełnie.

Dnia jednego mieliśmy kilka osób u siebie. Było to w zimie na długim wieczorze. Po różnorodnej rozmowie, oświadczył August zebranym, że im świeżą powiastkę moją przeczyta — a może i uwagi nad nią poczynią swoje.

— Czytaj! Prosimy! zawołano w koło.

I przeczytał im Bronisława. Przedmiot szczere wywołał współczucie.

W kilka tygodni później, wśród lejącego deszczu i ciemnoty, jakby w kałamarzu, zajeżdża przededwór wózek, którego i dojrzeć nie było podobna. Poznaliśmy tylko głos przyjaciela; jednego z gości, którzy słuchali czytania powiastki. Był całkiem przemokły, na wskrós: po prostu woda lała się z niego.

Gdy przebrany w suche rzeczy wszedł do pokoju, dostrzegłam od razu szczególniej zaambarasowany i ponury wyraz jego twarzy.

— Zkądżeż ciebie bogowie w taką niepogodę i ciemność prowadzą? zapytał go August, nalewając przeziębłemu kieliszek wina.

— Z fatalną przygoniłem wiadomością — odrzekł z cicha, oglądając się po pokoju.

— Cóż takiego?

Jam i pytać nie mogła.

— Niegodziwiec N. N. zadenuncyował do gubernatora, żeś nam czytał powieść rewolucyjną żony swojej: na wszystkich, cośmy czytania słuchali, pociągną do śledztwa.

— Podlec! wyrzucił August gwałtownie wzburzony.... i jeszcze kilka dodał epitetów.

Ten pan N. N. był młodym jeszcze, należał do szlachetnej rodziny, sam w lepszych towarzystwach przebywał — ale.... całą dość znaczną ojcowiznę

w niedługim przegonił czasie — i na niecne wszedł tory. — Nic o nim bliższego nie powiem, przez wzgląd na rodzinę — ani też, co go do tej spowodowało denuncyacyi. — Umarł w lat kilka potém, strawiwszy młodość złem życiem.

Przyjaciół nasz puścił się znowu w noc ciemną na powrót do Radomia. — Nazajutrz wywozłam mojego Bronisława z domu. . . . — bo wszakżeż spalić go nie miałam odwagi.

Rewizya żandarmowska znalazła na biurku mojem tylko Plebana z Brzózek. I panowie żandarmi obeszlą się grzecznie weale.

W Radomiu odbyto śledztwo ze słuchaczami powiastki: odpowiedzieli, że słuchać musieli czytania jakiejś powieści, która ich nudziła, bo nawet drzemali — więc i jej wątku nie wiedzą: mąż zakochany czytał jakąś klehdę żony! — i skończyło się na tém.

Za powrotem naszym do Warszawy, żyliśmy wiele z rodziną \*\*\*, zamieszkałą tamże z Ukrainy. Była raz u nich mowa, w poufném kółku o powyższej powieści mojej: Bronisław — i państwo \*\*\* prosili mnie, by ją przeczytać mogli. Przystałam na to chętnie i posłałam im rękopis. Po tygodniu prosił o nią bawiący w Warszawie Litwin, wielce wdomowiony u nas. August pobiegł, by ją od państwa \*\*\* odebrać, ale wrócił z niczem: dali ją do przeczytania panu R. R. —

— „R. R. ! zawołał obecny pan Ł. — przez miłość Boga, jest-to jeden z najniebezpieczniejszych ludzi w Warszawie: członek nader czynny policyi tajnej!...

Przeraziliśmy się nadzwyczaj, jak to łatwo zrozumieć. August kazał pana \*\*\* do nas poprosić — i przybiegł zaraz. Opowiedziano mu jakie było stanowisko owego R. R.: ze wszelkimi szczegółami. Poblądł okropnie i dłonie załamał.

— Więc taki człowiek w moim bywa domu! zawołał — więc takiego przyjmujemy ł. . . .!

— Zkądżeż z nim znajomość? zapytał August.

— Znaliśmy się w szkołach. Potem spotkałem go tutaj, gdym przed laty kilkunastu odwiedził Warszawę i przyjaźń szkolna odnowiła się znowu. Gdyśmy zeszedł jesieni tu zamieszkali, zjawił się zaraz: przyjąłem go, oczywiście, jako dawnego kolegę, przyjazno a nawet z radością. Odtąd codziennym u nas bywa gościem. A nikt nie przestrzegał! Nikt i słówkiem jednem nie uprzedził nas o niczem!

— Bo czynności tajemne tego niktzemnika są i tajemnicą wielką — wyjaśnił p. Ł. — i dla tego właśnie tém niebezpieczniejszy: mało się nastęcza, w towarzystwach nie bywa, i w ogóle mało jest znanym, ale nurtuje wszystko ze zręcznym podstępem. Sam tego wszakże na własnej doświadczyłem osobie.

— Potrzeba rękopis żony mojej odebrać co rychlej

— odezwał się August z gniewem nieutajonym. Bo i jakżeżcie go z domu wydać mogli?! —

— Pobiegnę zaraz do niego — porwał się pan \*\*\* — wydrę mu go i przyniosę!

Pożegnał nas i wybiegł. Pan Ł. głową pokręcił.

Po kwadransie pan \*\*\* powrócił, zły i pomieszany nad wyraz.

— R. R. powieść dał do przeczytania jakiemuś przyjacielowi — wymówił — i zarzekł się, że ją odniesie jutro.

Pan Ł. znowu głową pokręcił.

Ułynęło dni pare. R. R. nie pokazywał się wcale. Mieszkanie jego było ciągle zamknięte i pan \*\*\* nigdzie odszukać go nie mógł. Wreszcie zjawił się dnia czwartego i pani \*\*\* rękopis zwrócił. Byliśmy wszyscy bardzo zadowoleni — i schowałam mojego Bronisława, jakoby pod ziemię.

W dni kilka później przyszedł do nas szczerzy nasz przyjaciel, pan —sz. A był pomieszany jakoś. I wreszcie, zajrzawszy, czy nikogo w pokojach obok nie było, opowiedział nam głosem stłumionym:

— Młody . . . O. — urzędnik z bióra księcia, był dziś u mnie i następującą opowiedział mi historią: „Odebrałem rozkaz w biórze, mając właśnie służbę, bym się udał do namiestnika. Zastałem przy nim dwóch adjutantów i starego pułkownika. — Kazano



mi przeczytać głośno rękopis jakiś: była to powieść, Bronisław....“

— Bronisław! zawołałam przerażona i czułam, żem zbladła.

— Nie trwóż-że się! August ujął mnie za rękę. — Ale cóż dalej?

— „Czytałem“ — opowiadał mój znajomy — „czytałem ją z współczuciem: treść była osnuta na listopadowym powstaniu. Tymczasem namiestnik rzucał się raz po raz i lżył. — Skończyłem... skończyłem ze łzami w sercu. Książkę krzyknął: „Aresztować ją natychmiast!“ — i dowiedziałem się czyja to była powieść. Pierwszym był stary pułkownik, który mitygować księcia począł. Przyczynili się i adjutanci. Wyperswadowano mu: że powieść nie zawiera nic obelżywego; że są spisane fakta niektóre, ale wreszcie, wszakżeż to romans tylko! że rzecz zostaje w rękopisie, nieprzeznaczonym pewnie dla publiczności i t. d. i t. d. — Nakoniec, że aresztowanie mnie za powiastkę, którą komuś do przeczytania dałam w manuskrypcie, dziwne sprawiłoby wrażenie — i wyjawilo pana R. R., jako szpiega i denuncyanta.“

I tak rzecz się ubiła: powiastkę oddano niecnemu R. R., który pewno różnych doznawał emocyj, zanim ją odebrał znowu. Poczem rękopis pani \*\*\* odniósł — i już więcej w tym nie pokazał się domu.

Powieść pomienioną zamieszczam przy końcu tego tomu.

Dwie mile od Tynicy leży miasteczko Skaryszów — licha dziś mieścina, lecz sławna jarmarkami, zwłaszcza na konie.

Początek miasta bardzo jest dawny, ale żadnych ważniejszych nie przechowało pamiątek. Załączę tutaj treściwą o niém historyczną wiadomość, zaczerpniętą z szacownej pracy ks. Gackiego.

Bożogrobey liczyli Skaryszów pomiędzy dobrami, jakie zaraz po osiedleniu swoim w Polsce, na uposażenie otrzymali. — Rudosłow, podług ich twierdzenia, comes z Końskich, do rodziny Odrowążów należący teść Jaksy, najpierwszego fundatora Miechowitów, we wyprawie z Prusakami ocalony, — powróciwszy szczęśliwie do domu, miał kościół wybudować skaryszowski. — podobno na końcu 11 wieku. Obraz jego, w dawnym zawieszony kościele niepiśmienni nazywali Skaryszem: od którego wywiedziono nazwisko Skaryszów. — Inni mówią, że Kunegunda, żona Bolesława Wstydlwego, uznana przez Kościół za świętą, miała być przez zbójców pojmaną — i na tém miejscu uwolnioną, gdzie następnie kościół wystawić kazała. Często do Skaryszewa zjeżdżała i tamże nawet przemieszkiwała. Miejscowi pokazują wzgórze, na którym ongi miał stać za-

mek. — Najdawniejszą wiadomość o Skaryszowie po dał Dyplomata patriarchy Monacha. Według niego: Skaryszów w drugiej połowie XIIgo wieku był osadą, mającą kościół, targowicę i karcznię. A po przejściu miasta od Rudosława do Bożogrobców, Kazimierz Sprawiedliwy, odbywające się tamże zebrania handlowe, wziął pod opiekę i z tych część swojego dochodu dla zakonu ustąpił. — Podczas zjazdu, w marcu 1228 r., matka Bolesława Wstydliviego, Grzymisława, podpisała kilka aktów nadzorczych, na których jako świadkowie obecni znajdują się: Konrad, książę Mazowiecki, z synami swoimi i wielu biskupów.

W napadzie pierwszym Tatarów roku 1241 wiele ucierpiał Skaryszów. A w czasie drugiego, roku 1260, całkowitej uległ zagładzie. Dla podniesienia go znowu nadał mu Bolesław Wstydlivy przywilej — który i następni powtórzyli królowie. — Z Krakowa do Litwy szła droga królewska na Skaryszów. — R. 1777 Stanisław August ponowił wszystkie przywileje dawniejsze. — Gdy dobra Skaryszów, jako edukacyjne, przeszły na wieczystą dzierżawę, miasto pomiędzy ośmnaście miast województwa Sandomirskiego zaliczone i w klasie trzeciej pomieszczone zostało. Rząd austriacki zaprowadził tu wolny wybór urzędników miejscowych, dawniej zwykle przez dwór narzucanych.

Na mocy bulli Urbana IV. papieża, r. 1261 — przełożonym parafii aż do r. 1831 bywał zawsze Krzy-

zak, przez kapitułę orzechowską z członków zakonu wybrany.

Bożogrobcy twierdzą, że kościół wraz z miastem oddał im Odrowąż Rudosław r. 1167. A poświęcił go pod imieniem ś. Jakóba Gietko, biskup krakowski. — Wątpliwem jest, ażeby po napadzie Tatarów kościół był przetrwał aż do Szwedów, którzy, z modrzewiowego zbudowany drzewa kościół r. 1656 spalili całkiem — w sam dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej. — Roku 1663 wystawiony został ze składek drewniany znowu. Ale, że był zbyt szczupłym dla licznej parafii, r. 1701 ks. Szerzycki Erazm, dr. umiejętności i filozofii, późniejszy prowincyał mazowiecki, murowany postawił.

(Niedaleko Radomia zwraca uwagę wieś piękna z murowanym dworem, w żyznej glebie i zagospodarowana dobrze, której dziedzicem był pan \*, — nie lubiony przez sąsiadów, tak szlachtę, jako i chłopów. — Unikali go wszyscy, różne niechlubne głośząc o nim sprawy — i z nikim też nie przestawał. Dnia jednego poróżnił się na granicy gruntów swoich z sąsiednią posiadzielką, panią N., — a śmiała kobieta, ujawszy się pod boki, zawołała:

— Dmiesz i panoszysz się, mości panie, a wiemy przecie wszyscy, że w roku 1831 naprowadziłeś jenerała Rydygiera na oddział Grothusa.

— Milcz jójmość! krzyknął \* — jakby ukropem sparzony — zapozwę przed sąd, jak Boga Kocham!  
i odsiedzisz jójmość w więzieniu.

— Postawię świadków, udowodnię, to i cóż mi zrobią? uderzyła jójmość pięść o pięść.

Pan \* zawrócił i ku domowi pospieszył, jak gdyby go widmo było przestraszyło: widmo własnego sumienia! — Pani N. głośnym wybuchnęła śmiechem, w czém jój obecni wtórowali chłopkowie.

Wkrótce potem otrzymała pani N. pozew sądowy: pan \* wytoczył jój proces o obelgę. Cały Radom — cała okolica tą zajmowała się sprawą, a wszyscy niezmiernie byli ciekawi, jaki jój będzie wypadek. Pani N\* stanęła na terminie z świadkami, którzy zeznali: jako na własne oczy widzieli, że pan \* w nocy, jadąc konno naprzód, prowadził wojsko rosyjskie na obóz partyzanta Grothusa. Pan \* wściekał się, — pani N. tryumfowała. Gdy oto sąd wydał wyrok: Pan \*, tropiąc rewolucjonistów, okazał się tylko wiernym poddanym najjaśniejszego cesarza i króla: zatem wypowiedzenie téj prawdy przez panią N., nie jest żadną obelgą i sąd pana \* ze skargą jego oddala.

Drugim obywatelem ziemskim, od którego także uciekali wszyscy w Radomskiem, był szlachcic kontusz noszący piękny, pas lity i białą konfederatkę — ale ... ale przy tym kontuszu miał order ś. Andrzeja za rok 1831!!

Po trzech latach pobytu w Tynicy — opuściliśmy ją, by zamieszkać w Warszawie. — Słotwiński bawił u nas przez półtora roku, potem osiadł także w Warszawie, pozyskawszy wsparcie rządowe, lecz niezadługo potem umarł.

Ciężko! żalosno było mi wiejskie pożegnać życie: świeże powietrze — ogródek — nawyknięcia polubione — i miłą sercu okolicę.

W Policznój żegnaliśmy się: „Do zobaczenia!“ — A nie zobaczyłam już więcej pani Boguckiej, ani też Policznój!

Wyraz: Do zobaczenia! To złuda jest gorzka — bolesna: kłam w obec własnej duszy i serca — bo i któż może być pewnym, że jutro zobaczy znowu?! — A jeżeli to i nastąpi po latach, to już zobaczymy się inaczej, a nie tak, jak bywało niegdyś!

Z początku tęskniłam w Tynicy — ale przyłgnęłam do niej później. Jestem *un animal d'habitude*: przywiążę się łatwo do miejsca, do ludzi, — i umiem sobie stworzyć nawyknięcia, które polubię. Gdy więc opuścić je muszę — przyrównam się do rośliny, która w grunt przyjazny zapuściwszy korzenie, wyrwana zeń, więdnije i usycha.

Pan marszałek odwiedzał nas i w Warszawie — a na rok nowy przysłał nam kobiałkę wybornych szparagów.

Pani marszałkowa Bogucka umarła w roku 1846 — a cześć jój pamięci!

---

Paweł Cholewa także raz nas odwiedził. Płakał pocziwiec!

---

Rok 1846 naznaczył ziemię polską krwawém piętnem Kaina: rzezią galicyjską — i nieszczęściami straszными we Lwowie — Krakowie — Poznaniu — Warszawie.

Kazimierz Horodyński miał brata emigranta — osiadłego i ożenionego w Galicyi, którego kochał całą duszą brata, nazywając go: duszą swojej duszy. — Brat ten stał się także jedną z krwawych, bratobójczych ofiar, zbrodniczo poduszczonej tłuszczy. Pana Kazimierza to nieszczęście złamało: zapadł na tyfus i umarł w Warszawie.

Otóż nekrolog, który August do Gazety Warszawskiej podał:

„S. p. Kazimierz Horodyński, którego zwłoki grono obecnych w Warszawie krewnych i przyjaciół odprowadziło dzisiaj na smętarz Powązkowski, należał do rzędu tych ludzi, dla których prawość jest nigdy niezachwianém, niezłomném całego życia prawidłem. Oddany róluietwu, zyskał rzetelne uszanowanie i przywiązanie włościian, szczerą przyjaźń sąsiadów i ten powszechny wyższy szacunek, którym tylko istotnie enotliwych darżymy. Znaną była jego uprzejma, szczególnym wdziękiem szczeroci odznaczona gościnność. — Zamiłowanie prawdy, niezmiennie uczucie sprawiedliwoci zdobyły wszystkie dni jego życia. — Nieszczęśliwym świadczył dobrze, bez rozgłosu swych czynów, bo przekonanie szlachetnego postępowania za jedyną poczytywał nagrodę, — i z nieszczęśliwych nikt też progów jego domu nie opuścił bez żywego uczucia wdzięczności.

„Zgasł zawcześnie dla ezule kochającej go siostry, dla krewnych, dla przyjaciół, dla włościian, sług i domowników. Zbyt zawcześnie dla dwóch drobnych sierót, które mu brat starszy, nieszczęśliwy Antoni przed swym zgonem okropnym w miesiącu lutym r. b. pismem rzewnej tkliwoci polecił. Ostatnie słowa Kazimierza były modlitwą do Boga za sierotami po bracie — modlitwą za nieszczęśliwymi w duchu prawdziwego chrześcianina . . . obywatelskim wyrazem wielkiej miłoci braterskiej.



„Są cnoty cichym płynące strumieniem — które tylko bliższa drużyna ocenia, a Stwórca wszech-świata nagradza. Takim cichym strumieniem ubiegło życie Kazimierza Horodyńskiego. Jego nagroda w niebie. Na ziemi cześć Jego pamięci.

A. W.

W Warszawie 5 czerwca 1846.“

Znanym jest napad nieszczęsny w Zapustną niedzielę r. 1846 na Siedlce: Żarskiego, Kociszewskiego i Pantaleona Potockiego: napad w noc ciemną, dokonany na czele garstki chłopów. — Wpadli na salę balową — i straszliwego narobili popłochu. W pierwszej chwili mdlało wszystko z przerażenia — ale gdy ruszyło się wojsko — gdy kilku poległo — pomoc przyrzeczona znikąd nie nadciągnęła, — zawiedziona garstka pierzchała z Siedlec, jak mogła. — Żarski i Kociszewski ukryli się we wsi Żelikowie u chłopów. Potocki u młynarza Pieska za piecem. Za nimi trop w trop przygoniło wojsko — a Piesek i jeszcze dwaj chłopci, których tenże namówił, wydali nieszczęśliwych.

Skonali na szubienicach nieszczęśliwi ofiarnicy: Żarski i Kociszewski w Warszawie, Potocki w Siedlcach, jako przywódzca wyprawy. — Zdrajców zaś przy-

wieziono do Belwederu, przedstawiono ich namiestnikowi — który im ordery jakieś własną poprzypinał ręką.

Piesek jednakże, od chwili straszliwej egzekucji Potockiego, już i chwili jednej nie zaznał spokoju: nie spał — nie jadł — chodził jak błędny — i wszelką zaniedbał pracę. Przed żoną wyznał, że za węglem domu każdego, za każdym płotem, za drzewem każdym spogląda na niego Potocki z wylupionemi oczyma, w białej koszuli, z najeżonym włosom — straszny — okropny — i coś mu zawsze na ucho szeptem. . . . — Upłynęło tygodni parę, stan ten nie złagodniał w niczem. Kobieta poszła do proboszcza i opowiedziała mu wszystko — a potem namówiła męża, by się wyświadał, by przed kapłanem wyznał, co mu piecze sumienie i krwawi: że spowiedź i skrucha przyniosą mu ulgę. Dał się też przekonać i poszedł nazajutrz do kościoła, do spowiedzi. Za powrotem począł krzątać się po domu. Szukał czegoś, czémś zatrudniał się niby — a żona spowiedź św. błogosławiła. Nadeszła pora objadowa, wołają Pieska: nie było go nigdzie. — Szukają . . . i znaleźli go powieszzonego na drzewie — już bez życia: powiesił się na rzemyku, który po spowiedzi, z własnych zrobił cholew. — Proboszcz został aresztowany i odwieziony do cytadeli. — Co z nim stało się dalej? Nie wiem.

Drugi z winowajców pojechał do boru, by ściąć sosnę. Drzewo całym ciężarem padło mu na nogi i zdruzgotało je całkiem. — Trzeci dostał pomieszania zmysłów.)

Są zbrodnie, po których i zaraz następuje kara. —  
Palec Boży!

---

### Obyczaj moskiewski.

Czytało się wiele o zwyczajach i obyczajach moskiewskich, a jednak o tém, o czém wspomnę tutaj, dotąd nie czytałam nigdzie.

Obok naszego mieszkania przy ulicy Nowo-Senatorskiej, była tak zwana jeneralska kwatery: obszerny o 10—12 pokojach apartament, z przynależnymi spiżarniami, komorkami, piwnicami i t. p.; z wozownią i stajnią. Kwaterujący zmieniali się każdego roku, niekiedy i częściej. W r. 1848 zajął tę kwatery jenerał jakiś — nazwiska nie wiem — z liczną nader służbą. Było jój może osób dwadzieścia: mężczyzn młodych i starszych — kobiet różnego wieku i dzieci. A dziwna: były to rodziny — rodzice z dziećmi, ale bezślubni wszyscy! Żyli po lat kilkanaście z sobą, lecz nie powiązał ich kościół — bo na to właściciele ich niezezwolili. A dla czego? Bo nie mogliby d a r o w a ć lub s p r z e d a ć kobiety zamężnej bez męża, ani też żonatego mężczyzny bez żony — co przecież było

dogodnym i nastęczało się często. Nawet i dzieci z takich zrodzone rodziców stają się od niemowlęstwa własnością chlebobawców ich matki. Biedni ci ludzie, niestety, czynili zaprawdę wrażenie, jakby trzody owiec. . . . . — Pomiedzy służbą niewieścią — czyli niewolnicami jeneralstwa, była młoda, nader ładna dziewczyna, Anuszka: blondynka świeża, z niebieskimi oczami — dziwnie serdecznego wyrazu; wysmukła i zręczna, co nie często cechą bywa Moskiewek. Ile razy mnie na korytarzu spotkała lub wschodach, brała mnie za ręce obiedwie i całowała je, mówiąc coś tam: „Pomiłuj . . . . .“ — alem tego nie zrozumiała. Nauczyła się trochę po polsku — i często do kuchni przychodziła naszój. Pokochała moją pocziwą Maryę i mówiła, że jój przy nikim tak dobrze nie było, jak przy Maryi, odkąd ją oderwali od matki: miała wtedy lat piętnaście. Państwo wywieźli ją z sobą o wiorst parę tysięcy — i już podobno nigdy kochanej nie zobaczy matuszki. Ile razy o tém wspomniała, zawsze zapłakała rzewnie — i tuliła się na ramieniu Maryi, biedaczka. Wśród służby mężkiej miała kochanka Iwaszka — wyznała, że go kocha bardzo, ale państwo nie chcieli, oczywiście, na ślub ich pozwolić, jak to czynili zwykle. Iwaszko i inni przychodzili także do służącego naszego. Starali się o przyjaźń jego i nieraz doskonałą częstowali herbata. Głowy cukru stały u nich w kuchni, i każdy rąbał ile chciał. Toż samo i herbata prze-

dnia — a samowary bezprzestannie od rana do późnej nocy syczały. Tego wszystkiego — jako i rumu, wódek różnych i likieru — wielka u nich była obfitość. Kupcy panu generałowi wszystkiego dostarczać musieli i o wszystkim można było wyrzec: „Léj, rozléj!“ — Mięsiwa rzeźnicy znosili massy — drobiu znoszono koszami. Dwóch kucharzy — niewolników — gotowało dzień cały — a mniej piękne odrzucali mięso. Dróbek przynieśli nieraz półmiski kotce naszój do kuchni. We wszystkim panował zbytek i marnotrawstwo.

Po wypadkach rewolucyjnych r. 1848 — służba jeneralska ciągle niby sejmikowała. Prosili, by im nasz służący Benedykt czytywał *Gazety*, *Kuryera* — i cheiwie bardzo wszystkiego słuchali. Przytém, składając ręce, powtarzali zeicha: „Oj, żeby tu przyszli Francuzi! żeby przyszli Francuzi!“ — „To i czegoż tego pragniecie?“ zapytał Benedykt — „Byłaby przecie wojna.“ — „Wot“ — odrzekł z nich jeden ponuro — „jakby przyszli Francuzi, toby i nasze znieśli poddaństwo.... bylibyśmy wolnymi, jak wy!“ —

Dnia jednego słyszę płacz głośny, krzykliwy, kurczowy, w kuchni — i wybiegam zobaczyć co się stało: na ziemi, jęcząc i wijąc się w kurczach, leżała Anuszką — a Marya przy niej klęczała, unosząc jej głowę, i płakała nad nią.

— Cóż się stało? zapytałam.

Otóż pan generał darował biedaczkę koledze, który ją jutro miał o wiorst dwa - tysiące - pięć - set uwieść!!

— Oderwali od matuszki! wołało biedne dziewczę, załamując ręce — a ja żyć musiałam!... Odrywają teraz od Iwaszka.... i nie umieram! Boże! Boże! Śmierć ześlij! Śmierć daj mi, o Boże!

Cóż nieszczęśliwej można było powiedzieć — i czém ją było pocieszyć? —

Wszedł Iwaszko trupio-blady — siny — z otwartą szeroko powieką — z zaciętymi wargami — stanął wyprostowany przy drzwiach — sztywny — i nieruchomym wzrokiem patrzył się na biedną dziewczynę: nie zbliżył się do niej, jak gdyby skamieniał. — Wybiegłam łzami litości zalana.

Nazajutrz wywieziono Anuszkę. — Iwaszko chodził jak błędny. Myśleli, że się powiesi albo utopi..... Znać sobie potem wyperswadował — ale pomizerniał strasznie.

Po jenerale zajął kwaterę pułkownik jakiś. Żona jego miała do usług, oczywiście, nieszczęśliwą także poddaną: bardzo ładną, lubo że podobno już lat trzydzieści liczyła. Była szczupła, delikatnej budowy; szatynka biała, rysów regularnych a drobnych, co między Rosyankami jest dość rzadkiem. Nadto i całe obejście Nadeji było nadzwyczaj względne, łagodne — jakby czemś wyższém nacechowane. Umiała ładne

roboty kobiece, znała dobrze krawiecczynę i stroje. — Była matką ślicznego trzech-letniego chłopczyka, imieniem Szaszko (Aleksander), którego szalenie kochała. Ojciec tegoż był oficer jakiś, który ją chciał poślubić, lecz państwo niepozwolili. . . . Potém zabrali ją z sobą do Warszawy, gdzieś tam z Uralu — i musiała pożegnać kochanka na zawsze — na zawsze! — Pułkownikostwo nie mieli dzieci, a chłopczyka jój kochali bardzo. Ubierali go téż, nie tylko starannie, ale nawet i zbyt kownie. Biedna patrzyła nieraz na ustrojoną dziecinę — i zalewała się łzami. . . . — „On nie ma ojca“ — mawiała — „znać nie będzie go miał nigdy. . . . On i matki nie będzie miał, bo państwo nim już teraz dzielą się ze mną!“

---



# BRONISŁAW.

**Powieść z roku 1831.**

(Spisana podług opowiadania ustnego).

PROBLEMY

WYKŁADY

CIENIOM

# KLAUDYI POTOCKIÉJ.

O nie zginęła jeszcze Ojczyzna  
Tam, gdzie niewiasty tak czują.  
Bo z ich to łona płynie trucizna,  
Którą wrogowie się trużą.

Wincenty Pol.



## I.

Tak nadzieja, ta piękna mamicielka ludzi,  
Błysła Polakem światłem św etnëm od zachodu  
Kogóż ta czarownica — kiedy nie uludzi?  
W ręku swoim trzymała udzielnosc narodu?

Wiersz na rok 1813.

Towarzystwo złożone z tych osób, które z bezzasadnego zarozumienia pierwszemi się być rozumieją i mienia, licznie zaproszone, zebrało się na wieczorze u hrabiny \* w dniu jej imienin. Niezwykła uprzejmość gospodyni domu, dźwięczna muzyka, kwiatami strojne i rześisto oświetlone bogate salony, wesołą zapowiadały zabawę: przecież głęboko tajony niepokój i trwoga na skraszonych dworskim uśmiechem twarzach poważnych panów i na zwykle pogodnem lieu młodzieży — mimo całej sztuki udawania, tak zwanego wyższego tonu — dzisiaj jawiły się zbyt wyraźnie. Było to w Warszawie — w początku drugiej połowy miesiąca listopada 1830 r.

Za krzesłem Heleny Nieczewskiej stanął oficer z pułku \* Bronisław Wolnowicz. — Rozmowa młodziej

pary, stłumionym prowadzona głosem, zwróciła uwagę kilku osób, — lecz sobą zajęci, nie dostrzegli, iż ich śledzono: orderowi panowie i ubrylantowane panie sądzili być rzeczą gorsząca, że jeden podporucznik bez nazwiska (?) tak poufale z córką wysoko postawionego obywatela rozmawiał.

— Ty milczysz, Heleno? — poszepnął z żalem Bronisław.

— I cóż ci mam odpowiedzieć! — odrzekła wzruszonym głosem — chyba powtórzę to, co już kilkakrotnie z ust moich słyszałeś: nie mogąc do ciebie należeć, nigdy ręki mojej innemu nie oddam. — O Bronisławie! Czyliż nie znasz nieugiętej dumy mojego ojca? — Czyliż nie wiesz, o Boże! że ta nadzieja szczęścia, którąśmy przez czas krótki w sercach naszych żywili. . . .

— Znam cały ogrom arystokratycznych, to jest bezdusznych uprzedzeń i zasad twojego ojca, ależ Heleno, nadeszła chwila zniweczenia hańbiących ludzkość przesądów . . . Mówiłem ci o nadziei . . . o luba! o wielkiej, świętej nadziei! a zarazem z jej spełnieniem . . .

— Cicho! — szepnęła Helena: w tej chwili przesunął się obok nich szambelan\*.

— O, ja się już niczego nie lękam! — wymówił młodzieniec, w którego duszy i oku święty błysnął ogień — chwila swobody jest bliska! — dodał dla Heleny tylko dosłyszalnym głosem.

— Boże — dopomóż! Oby się narodu nadzieje ziściły!

Pułkownik S. przystąpił w tej chwili do Heleny, prosząc ją do walca i przerwał dalszą rozmowę kochanków. Bronisław ufności wzrokiem ścigał postać ulubioną, która skromnym ubiorem białej i gładkiej sukienki, korzystnie się odznaczała od bogato-strojnych rówienniczek swoich: wszakżeż urok jej pięknej młodości nie potrzebował dodatkowej krasy. Do tłumnych uczuć wielkich nadziei jakżeż często łączył się obraz Heleny w sercu Bronisława! — Pośród muzyki ohoczego tańca w duszy jego brzmiał odgłos wojennej trąby: ze zmysłowych salonów myśli jego wybiegały w pole krwawej walki za wolność Ojczyzny! . . . a na tém polu zwycięstw i śmierci, Helena, jako anioł opiekuńczy, snuła się przed jego oczyma.

— Vous danserez bien cette mazure, madame? — zapytał baron Aleksander \*\*, przystępując do Heleny, która po ukończeniu walca, dawniejsze zajęła miejsce.

— Jużem zamówiona — odrzekła, podając rękę Bronisławowi, gdy muzyka hucznie narodowym zabrzmiała tańcem.

— Que le diable m'emporte! — mruknął Aleksander — już druga dama angażowana — Qui est ce petit podporucznik? — zapytał obok stojącego mężczyzny, wskazując na Bronisława.

— Bronisław Wolnowicz.

— Wolnowicz?! ça n'a même pas de nom!

— I któż tu wprowadził tego podporucznika, co nie ma tylko swój czarny wąsik?

-- Jenerał Kicki.

— Ah! un petit protégé! — baron Aleksander pogardliwie skrzywił usta i pobiegł do przyległego pokoju. Niezadługo potem powrócił w towarzystwie Nieczewskiego na salę. Oblicze ojca Heleny osłaniał gniewny wyraz: przystąpił do córki i wyrzekł:

— Nous allons partir, Hélène. Pan Wolnowicz daruje, że jestem troskliwy o zdrowie méj córki.

— Przyjemność tańca przychodzi poświęcić z łatwością, gdy chodzi o zdrowie osoby, którą wysoko cenimy.

— Dziękuję panu — sucho odrzekł pan Nieczewski i uprowadził córkę.

Bronisław nie stał się natrętnym w odprowadzeniu ich do pojazdu: zastąpił go baron Aleksander. — W chwil kilka później i Bronisław towarzystwo opuścił.

Po powrocie do domu począł Nieczewski z całą goryczą córce czynić wyrzuty, że z Aleksandrem tańczyć nie chciała, a większe jeszcze: że tańczyła z Wolnowiczem i że tak długo i poufale z nim rozmawiała.

Helena, łagodząc gniew ojca, z całym uszanowa-



niem, jakie od dziecka ojeu się należy, usiłowała wykazać mu niesprawiedliwość jego wyrzutów.

— Wiedz-że — wyrzekł nakoniee — że ja ciebie Aleksandrowi przeznaczyłem, i gdy raz jeszcze spostrzegę najlżejszy ślad twojej życzliwości czy uprzejmości dla pana podporucznika, natychmiast się postaram u wielkiego księcia: ażeby obecność pana podporucznika Wolnowicza w Warszawie, mojego domu nie kompromitowała.

Helena stłumiła gwałtowny żal serca i w milczeniu oddaliła się z salonu. Lecz gdy w swoim ujrzała się pokoju — łzy gorzkie i bolesne obfitym spłynęły strumieniem.

— O moja matko, przeniesiona zbyt weześnie do krainy błogosławionych, ty wspieraj córkę twoją! — zawołała z wybuchem żalu, przyciskając do ust miniaturę ukochanej zmarłej.

Już od dwóch lat spoczywały zwłoki pani Nieczewskiej w rodzinnym grobie w Bylinie, a w Heleny sercu dotąd jeszcze, nieukojonny żal po tak bolesnej stracie z całą trwałą siłą i niemal z dniem każdym więcej swoje czuła sieroctwo: wyraźniej poznawała, że opiekuńczy anioł jej rodziny już na zawsze uleciał. W miarę dojrzewania jej rozumu, w miarę, jak cierpkie doświadczenia wpłynęły na jej znajomość ludzi i stosunków świata; w miarę, jak poczęła wszystko, co ją otaczało, nie w tak ułudnym już widzieć świe-

tle, — ze zgrozą spojrzała na przyszłość: widziała tylko nieszczęście, zgryzoty i straszne następstwa, poznała, niestety! że ten, do którego ją tak silna miłość dziecięca wiązała, którego by była chciała wszystkimi enotami obywatela i człowieka widzieć ozdobionym: że jej ojciec nie był dobrym Polakiem!! . . . A matka jej nauczyła ją kochać Ojczyznę: jej pierwsze władze umysłowe pojęły z ust matki, po miłości Boga, i świętą miłość dla kraju! — Mała jeszcze dziewczynka, kiedy posepniejsze dni jesieni i długie zimy wieczory nastaly; kiedy wiatr szumiał w gałęziach świerków, zamek Byliński otaczających, lub z szelestem miotał żółkłemi liśćmi po chodnikach ogrodu, — chodząc z ukochaną matką po wielkiej sali, ozdobionej obrazami sławnych przodków, słuchała gorączkowo opowiadającej jej dzieje narodu polskiego. Dzieje odległe, ostatnie — pełne chwały — świetne na przemian, a smutne i nieszczęsne; wielkie czyny znakomitych mężów, wzniosłe poświęcenia bohaterów Polski; — więc też cały obszar chwały i całe pasmo nieszczęść narodu z lat pierwszej młodości namiętnie w sercu Heleny zaległy, a nieraz pierś słabego dziewczęcia silnym wzdęła się uczuciem, rumieniec drobne oblał rysy, ciemne oczy łzami błysnęły, gdy jej matka zapytała: czyli zawsze będzie nieodrodną córą mężnych, enotliwych, wielkich przodków swoich?

Ojciec pani Nieczewskiej służył sprawie narodowej pod najpięwszym z Polaków, pod człowiekiem wzorowej obywatelskiej jako też i domowej enoty; pod mężem bez skazy, któremu nawet i nieprzyjaciele cześć zasłużoną oddają, którego imię sława w dwóch światach okryła, i czyliż jeszcze dodać: że pod Tadeuszem Kościuszką? — Jeden z jej braci poległ z nadzieją swobód Ojczyzny w obcej, dalekiej ziemi, walcząc pod sztandarami zdobywczego cesarza Francuzów; drugi, dopiero osmnasto-letni młodzieniec, zginął licznymi blizny okryty na polach Raszyna. — Pamięć ich świętą była dla pani Nieczewskiej, a imiona Stanisława i Jana i powtarzane opowiadanie o bohatyryskim ich zgonie, zawsze równe wzruszenie w młodém sercu Heleny sprawiało. Po śmierci tej ukochanej matki, gdy dorastająca dziewczyna usiłowała z całą troskliwością i pieczą miejsce zmarłej przy małych zastąpić siostrzyczkach, starała się zarazem i w młodziuchnych sercach zaszczerpić to uczucie dla rodzinnej ziemi, które odziedziczyła po matce. Jakaż więc boleść przeszywała dzisiaj jej serce, gdy powzięła to srogie przekonanie, że ojciec jej, idąc niecnym torem niektórych odstępców, może więcej aniżeli obojętnym był na szczęście swojego kraju — może nawet — niestety! — wrogom Ojczyzny występnie sprzyjał!

Jakoby promyk ciemną rozwidniający przestrzeń, jaśniała w życiu Heleny miłość Bronisława, ale to

szczyć otaczała burza, gwałtownym grożąca wybuchem. — Ojciec Bronisława, stary wojak znakami honoru i ranami okryty, był dzierżawcą małej wioski, należącej do Bylina; lubiony i poważany przez panią Nieczewską, częstym był gościem u swoich dziedziców, a syn jego towarzyszem dziecinnych zabaw Heleny. Ale gdy sędziwy Wolnowicz umarł, Bronisław, rozpoczynający już wówczas swój zawód wojskowy, przestał bywać w Bylinie; i po kilku latach dopiero, gdy pan Nieczewski córkę na wielki świat Warszawy wprowadził, znalazła tam Helena przyjaciela młodych lat. Wkrótce przyjaźń w dziecięcym zawiązaniu zamieniła się w miłość: w miłość, około której olbrzymie piętrzyły się przeciwności.

---

## 2.

*Tandis qu'un grand coeur pénétre les secrets  
d'une âme vile, une âme vile ne conçoit rien  
à un grand coeur.*

*Le vicomte d'Arincourt.*

Nazajutrz Helena, wracając z kościoła, spotkała na wschodach szambelana \* : miluchnym być mający uśmiech przebiegłego dworaka, więcej jeszcze odrażającą uczynił twarz jego. Zimno owiało Helenę na ten widok, i bez zatrzymania się, lekko tylko skłoniwszy głowę, minęła obsypującego ją grzecznościami.

Cóż znaczyły tak wczesne odwiedziny szambelana u jej ojca? — pytała sama siebie z trwogą. Stała jej w pamięci wczorajsza z Bronisławem rozmowa: czyliż-by jej szambelan był dosłyszał, a dzisiaj rolę donosiciela odgrywał? — Chcąc spłoszyć niemiłe myśli, weszła do pokoju małych siostrzyczek, uczących się przy guwernantce, pannie Bresset. Mania<sup>o</sup> i Kazia, jak

zwykle, z pieszczotami pospieszyły ku niej. Helena słuchała lubego szczebiotania dziewczątek, wesołej rozmowy Francuzki, gdy ją do ojca wezwano.

— *Bon jour Hélène*, siadaj moje dziecię — wyrzekł, odpowiadając córce na szczerę dnia dobrego życzenie.

Helena usiadła, ojciec mileżał przez chwil kilka i wlepiając oczy w ogień kominkowy, jakoby od niechcienia, igrał złotą tabakierką.

— Chodziłaś dzisiaj do kościoła ?

— Tylko-co powróciłam, mój ojeze.

— To bardzo chwalebnie, moje dziecię: *toute femme véritablement pieuse* zasługuje na szacunek każdego..... A propos, Helenko, o czém-że ci wczoraj mówił Bronisław ?

— Rozmawialiśmy o rzeczach potocznych, niezasługujących na powtarzanie — odrzekła z wszelką przytomnością umysłu, pobladła nieco, a mniemała, że jej tehu zabraknie, tak gwałtownie było strwożone serce.

— Przecież ci mówił o jakichś nadziejach ?

— Oddawna mu powiedziałam, ażeby mnie tylko jako przyjaciółkę lat dziecięcych uważał, że ty mój ojeze nigdy.....

— Ej, ja nie mówię o jego osobistych nadziejach ! — zawołał pan Nieczewski z drwiącym wyrazem twarzy. — Lecz moje dziecię — dodał zaraz złagodnym głosem i pogłaskał ciemny włos dziewczyny —

dziewczyny — moja córko kochana, ty nie powinnaś mieć żadnych tajemnic przed twoim ojcem. Wiem, jaki szal ogarnął głowy naszej niedowarżonej, w szkodliwe, a nawet występne zamysły wybujałej młodzieży: nieszczęsną tę zarazę przywionął nam wiatr wszeteczny od zachodu. . . . Heleno! jeden drugiego pociąga do zguby, wszystko już prawie odkryto! . . . Przyjaciół możnaby ocalić . . . mamy wpływy . . . starego Wolnowicza lubiłem i syna jego lubię, a skoro porzucił swoje względem ciebie nadzieje, przyrzekam mu nawet protekcją moją. . . . Widzisz więc, Helenko, że chcąc wiedzieć, o ile zabrnął i o ile się tobie powierzył, mam tylko dobro jego na celu.

Pan Nieczewski umilkł, czekając na odpowiedź córki, a Helena, którą lodowate przebiegło zimno, konwulsyjnie ścisnęła dłonie: usiłowała stłumić zgrozę, przenikającą całą jej istotę: zdawało jej się, że bezdenną przepaść widzi przed swemi oczyma, przepaść pochłaniającą ojca: że z poza grobu słyszy jęk matki i . . . przekleństwo współbraci!

— I cóż? ty milczysz, moja Helenko? Pomnij, że każda chwila zwłoki zbliża niebezpieczeństwo dla Bronisława.

— Mój ojeze, ja szukam, przywołuję w pamięci mojej wyrazy jego . . . ale, — mój ojeze . . . — czyliż balowa sala byłaby stósowném miejscem do rozmowy o takim przedmiocie?!

— Alboż to te półgłówki wiedzą, co czynią? — powstał Nieczewski, wychodząc ze swojej spokojnej na pozór roli. — Kto tak szalonym, tak nieczemnym hołduje zamiarom, ten zawsze i wszędzie tylko jako waryat działa.

— O mój ojcze! zawołała z boleścią, niezdolna dłużej powstrzymać wybuchu żalu — o mój drogi ojcze, wszakżeż i ty jesteś Polakiem!

— Obląkane dziecko! — wrzasnął ojciec, porywając się z krzesła — czyliż i twoją głowę nieszczęsne zaprzątnęły urojenia?!... Tak, jestem Polakiem, widzę szczęście i pomyślność kraju pod dzisiejszym rządem, a każdy pomysł, mający na celu pogwałcenie praw obecnie istniejących, uważam za zbrodnią!...

— I czyliż — wymówiła podnosząc się Helena, błada jak lilia kwiecie, lecz silna duchem, który wiotką ożywiał postać — i czyliż, mój ojcze, za nie liczysz niedolę rodaków tyłu, przepelnione nieszczęsnymi więzienia, Syberyę, osady i kopalnie? Gdzież jest niezależność narodu, swobody...?

— Szalona! zawołał Nieczewski z gniewem.

— Pan generał G... — wymówił wchodzący do salonu lokaj.

— Proszę! — odrzekł pan domu, idąc na powitanie gościa, gdy córka jego spiesznie bocznymi wydała się drzwiami.

Zgroza, trwoga, zgryzota i najwyższe oburzenie



miotały duszą Heleny; blada i drżąca przebiegała, jakoby w obląkaniu, z załamaniem rękoma, przestrzeń swojego pokoju: szambelan, Bronisław, generał G... ojciec i rozmowa jego, — wszystko podobne do gorączkowych obrazów wiło się w jej znekowanym umyśle. Zbrodniczy obłęd ojca przywodził ją do rozpacz — wyrazy jego: że wielka tajemnica odkrytą została, tajemnica, od której szczęście całego narodu zawisło! — że zguba czeka tych, którzy przywrócenia swobód zapragnęli, — okropne te wyrazy odejmowały jej rozum. — Ostrzedz Bronisława! lecz gdzież go szukać? Uzuła z bolesną goryczą całą swoją niewieścią niemożność działania, ujętą w ścisłe karby światowych przepisów: bo mogłaż sama po Warszawie szukać Bronisława? — A przywołanie porucznika Wolnowicza przez którego ze służących, czyliżby nie dziwnie wyglądało? czyliżby nie zwróciło na nich obojga uwagi? czyliżby nie zdradziło tego, którego ocalić pragnęła?

— Może go spotkam! — zawołała — i w kilka chwil później wyszła z swoją pokojową, panną Retecką, na ulicę — ale bezskuteczną była ta przechadzka: Bronisława nigdzie widać nie było. Dzień w smutku i obawie biednej, stroskaniej upłynął: nawet niezdolną była na wdzięczne pieszczoty Mani i Kazi odpowiedzieć. Wieczorem załoniła się słabością, ażeby w domu pozostać, gdy ją ojciec na wieczór do księżny \* zawezwał. — Przez noc całą sen nie skleił jej

powiek i tylko urywane modły zdołała do Boga przesyłać: ażeby nie wypuszczał z opieki swojej tych, którzy szczęście ludu polskiego mieli na celu, ażeby i jej samą ulgę w tak okrutnym zesłał cierpieniu. — Lecz i następny dzień przeminał, a Helena bezczynną pozostać musiała. — „Jutro, o jutro!“ — wyrzekła nakoniec po wieczorniej modlitwie, z wewnętrznym postanowieniem: „jutro go ostrzegę! występkiem byłoby dłuższe milczenie.“

I wyższa nawet wola sprzyjała temu zamiarowi, bo gdy nazajutrz, według codziennego zwyczaju, do kościoła ks. ks. Kapucynów biegła, spotkała na ulicy Senatorskiej Bronisława. Po kilku nie nieznaczących wyrazach szepnęła mu zeicha: „Śledzą was — tajemnica wasza odkryta — miejcie się na ostrożności!“

— Wiemy o tem — odparł równie cicho młodzieniec — nie lękamy się niczego, Heleno! bądź spokojną i bez trwogi.

Pożegnał ją — a dziewczyna ze swobodniejszym umysłem do świątyni pańskiej wstąpiła.

### 3.

Do broni! godzina zemsty wybiła!

*Toutes les conventions entre un usurpateur et la nation qu'il subjugué, sont nulles de plein droit, parceque la force d'un coté et la necessité de l'autre, en sont le principe.*

St. Evremont.

*L'insurrection est le plus saint des devoirs.*

La Fayette.

*Le cri de la conscience humaine s'élève pour consacrer cette vérité éternelle: La force ne constitue pas le droit.*

*Vicomte de Conny, chambre des députés.  
Août 1830.*

Na trzeci dzień po tém spotkaniu, siedziała Heleua w małej ławce obok kaplicy Sobieskich w kościele ks. ks. Kapucynów. Ranna pomroka dnia listopadowego rozpościerała jeszcze swoje posępne cienie po świątyni; mała tylko liczba pobożnych nadbiegła mszy św. wysłuchać: przy wielkim ołtarzu kapłan speł-

niał ofiarę. Półgłosem wymawiane słowa rozlegały się z lekkim szmerem po próżnej niemal przestrzeni: chłopiec zadzwonił, a wśród ciszy dosłyszeć było można pochylenie się ukorzonych przed wyobrażeniem ciała i krwi Zbawiciela. — Święty obrzęd się skończył; kapłan szepecząc modlitwę, wolnym oddalił się krokiem, a Helena z pochyloném na krawędzi czołem, jeszcze w upokorzonej trwała postawie: jój tak błogo było na sercu, kiedy w tym świętym przybytku, pobożnym rozmyślaniom przeznaczonym, wśród téj uroczystej ciszy chwil kilka pozostać mogła. Zbliżenie się czyjeś zwróciło jój uwagę, podniosła oczy: przy jój ławce stał Bronisław. Retecka o kilka króków dalej klęczała.

— Potrzeba jest, abym dzisiaj mówił z tobą, Heleno — wyrzekł zcicha młodzieniec — daruj więc kochana, że ciebie w świętym przybytku szukałem.

Brzmienie głosu jego zdradzało silne wzruszenie. Helena z zadziwieniem ku niemu spojrzała: błękitne oczy dziwnym błyszczały ogniem, szlachetne rysy młodego niezwykle ożywiały wyraz.

-- Cóż się stało, Bronisławie? cóż mam usłyszeć od ciebie?

— Przyszedłem tylko prosić cię, ażebyś dziś wieczór nie wydalala się z domu. . . .

— Dzisiaj? dzisiaj?!— zawołała, wlepiając wzrok swój w twarz Bronisława, jak gdyby usiłowała przeдрzeć tajemnicę, którą przed nią ukrywał. — Dzisiaj?

o rozumiem, wielki, cudowny Boże! rozumiem!... Bronisławie!... ach, mój ojciec! dodała z boleścią, przypominając sobie powód swoich najwyższych cierpień, i nagle spelzła z lica krasa, co dopiero tak szczytném wywołana uczuciem: córka Nieczewskiego w niemym żalu załamane ręce przycisnęła do ciężko oddychającój piersi.

— Twój ojciec? — Nie trwóż się Heleno! odgłos powstania narodu wskrzesi w duszy każdego Polaka uspioną iskrę miłości Ojczyzny!

— Tak, tak! zawołała nagle z ożywionym wyrazem twarzy — niepodobna! niepodobna, aby mój ojciec . . . . . Ach Bronisławie! ja się modlić będę o pomysłność świętej sprawy . . . . modlić się będę za ciebie! — dodała ciszėj. — O, nadzieja i trwoga, szczęście i smutek, uczucia tak silne, tak napawające rozkoszą całe moje jestestwo, uczucia, których wyrazem oznaczyć nie zdolnam. przepelniają duszę moję. — Ale czemuż — o czemuż łączy się z niemi i jakieś złowróźbne . . . .

— Nie, nie złowróźbne nie powinno dzisiaj w polskim sercu powstać! — przerwał jēj młody. — Najpiękniejsza nadzieja i przekonanie o świętości sprawy: otóż uczucia, które serca nasze ożywiają! . . .

Zadzwoniono na mszę. — Do kościoła poczęło więcėj przybywać osób.

— Żegnam cię, Heleno! wyrzekł głęboko wzruszony Bronisław.

— Boskiej polecam cię opiece! — wymówiła cichym głosem: łzy jęj popłynęły na blednące lica, serce przytłoczył ciężar a umysł napróżno obrazy przyszłego zwoływał szczęścia.

Miotana najsprzeczniejszemi uczuciami, powróciła Helena do domu: pragnęła samotności, czuła jęj potrzebę, a była zniewoloną w ciągu dnia, kilka uprzykrzonych przyjmując odwiedzin, lecz miała zarazem i sposobność uważać, że panie i panowie w swobodnej zostawali spokojności, układając sobie planiki do różnych zabaw i rozrywek na dni następne. Helena z politowaniem patrzyła na nich: bo jakżeż prędko miała spełznąć dla nich ta chęć uciech i festynów! Jakżeż prędko miał zniknąć blask, który ich otaczał: owa świetność czczych tytułów i dostojęństw!

Im bliżej wieczora, tęp mocniej uderzało jęj serce: nie mogła i chwili w jedném pozostać miejscu; rozstargnione odpowiedzi dawała na pytania siostrzyczek i panny Bresset: przy najmniejszym zgiełku na ulicy mniemała, że już godzina stanowicza wybiła.

— Helène! wymówił Nieczewski, wchodząc do salonu, gdzie córki jego bawiły — faites votre toilette, jedziemy na teatr.

Helena czuła, że blednieje i odwróciła twarz nie-

co, ażeby tój zmiany nie dostrzeżono; — zabrakło jēj głosu — i dopiero po chwili wyrzekła:

— Pozostańmy dziś w domu, mój ojcze! zabawimy się z Manią i Kazią: jestem cokolwiek cierpiąca. . . .

— Skoro ci zdrowie nie pozwala być moją towarzyszką — odparł z urazą Nieczewski — wówczas sam pojedę. . . .

— Nie, nie! — zawołała nagle z pewnym przestachem — jeżeli ci, drogi ojcze, na tém zależy, abyś był dzisiaj w teatrze, wówczas jak najchętniej będę z tobą.

Powtórzone namawianie pozostania w domu ze strony Heleny, byłoby podejrzenie jēj ojca zbudziło: samego puszczać nie chciała, i gdy w godzinę później już do karety wsiadać mieli, przycisnęła siostrzyczki tak silnie do serca, jak gdyby ich już oglądać nie miała: bo któż wiedział, co następne chwile zwiastować mogą!!

W krzesłach czekał już na nich baron Aleksander, i domyśliła się Helena powodu, dla którego ojciec tak obstawał za bytnością w teatrze.

Aleksander, młodzik z pustą głową i próżnym sercem, bez duszy, bez myśli, bez uczucia, ale majątny i, co więcej jeszcze u Nieczewskiego znaczyło: w wysokich lubiany był sferach. Powrócił niedawno z zagranicy i dzisiaj zamyślał, dla zmniejszenia nudów wiej-

skiego życia, jaką miłą (i bogatą!) towarzyszkę w swe uprowadzić ustronie. Paryż dużo kosztował, toż samo i Wiedeń, bo pan Aleksander stósował się wiernie do tego wiersza:

Niechaj zna Niemiec, jak Polska obfita!

a zatém potrzeba było i ożenić się dobrze i nieco zajrzeć do wiosek dziedzicznych: Helena Nieczewska była odpowiednią partyą dla pana barona Aleksandra; — a te tam jój urojenia jakieś i marzenia czyniły ją nieco oryginalną i podobną do powabnych Francuzek, którym rewolucya lipcowa zawróciła główki. Zresztą, te sny romansowej głowy, ulecieć powinny, a żona pana barona \*\* — sama znakomitego rodu — ukaże się niezawodnie po krótkim czasie w całym swoim arystokratycznym blasku

Po przywitaniu, począł Aleksander dość głośno właściwym sobie jargon'em opowiadać, jak doskonałe wczoraj w Królikarni się zabawił, gdzie tylko same osoby u haut parage! się znajdowały.

— Madame la comtesse \* była charmante — elle a toutes les manières d'une Française, — dodał, igrając białą rękawiczką — był téż tam i pan \*\*, co tak jest lubionym w salonach, mais je lui trouve un certain air allemand, coś takiego. ... Vous savez. ...

Sztuka się zaczęła i przecież gadanina Aleksandra ustala. Ale tak jak owo nędzne szczebiotanie sa-



lonowego modnisia i na jedną chwilę nie zwróciło uwagi Heleny, tak samo i przedstawienie: Co głowa, to rozum, nie potrafiło jęj zająć bynajmniej: w umyśle panował bezład, a trwoga nieokreślona obiegła serce. Ojciec jęj i Aleksander czynili swoje spostrzeżenia nad grą artystów, zwracali mowę do nięj, lecz Helena niezdołną była ich zrozumieć, i słowa wyrzeczone były dla nięj tylko szumem ezczych wyrazów które w przelocie o uszy się obiły. — Nagle — nagle niespodziewanie, jak uderzenie piorunu z pośród pogodnych błękitów, wpadło kilku młodzieńców do teatru i wyrazy: Do broni! do broni! godzina zemsty wybiła! — gwałtownie niejedno przeraziły serce.

Helena zbladła i szybko się podniosła, chwytając rękę ojca.

Powstała wrzawa — zgiełk się wzmagał — każdy pragnął jak najspiesznięj być w domu: wszyscy się wielkiego domyślili wypadku!

Nieczewski obraca się do Aleksandra, żądając, by z nim wspólnie uprowadził Helenę — ale młodego panicza już nie było! — (Kronika skandaliczna twierdziła, że się schronił na poddasze teatru: pomiędzy stare, złożone tamże sprzęty, i że dopiero dnia trzeciego, głodem wypędzony z tego ukrycia — zbrojny w ogromną białą kokardę, chwiejącym krokiem biegł przez Miodową Ulicę. Nazajutrz jednakże Warszawa nie mieściła go już w swoich murach.

W zastępstwie tego odważnego rycerza, przyspieszył do strwożonych Bronisław.

-- Za mną, panie! — zawołał, ujął rękę Heleny i bocznymi drzwiami wprowadził ich z gmachu teatralnego.

— A czyli tylko znajdziemy moją karetę? wyrzekł Nieczewski.

— Karetę?! — powtórzył Bronisław, niemogąc drwiącego stłumić przycisku — o karetę pan się troszczysz w takiej chwili!

Nieczewski w milczeniu szedł dalej, gdy zewsząd słyszał odgłosy: „Do broni! do broni! godzina zemsty wybiła!“ — zapytał więc trwożliwie:

— I cóż to jest, panie Bronisławie? czyliż tego motłochu weześnie nie uskromnią?

— To nie motłoch! — odparł młodzieniec z przytłumioném oburzeniem: to naród powstał!

Bez wyrzeczenia i jednego więcej słowa, stanęli szczęśliwie w mieszkaniu Nieczewskiego. Tutaj ich dopiero Bronisław pożegnał: uścisk ręki Heleny zbyt miłą mu był nagrodą. Raz jeszcze spojrział na lubą postać, a potem pobiegł, gdzie go święta powinność i serce gorejące miłością kraju wzywało.

— I czegoż ci szaleńcy żądają! — zawołał Nieczewski, rzucając się na sofę — jakaż myśl występna zrodziła się w obłąkanych głowach? — O, są to wszy-

stko nieszczęsne skutki dni lipcowych! Od Francyi to do nas ta okropna wionęła zaraza.

— Ojeze mój! — błagała Helena, mogąca zaledwo oddychać.

— Czyliż kraj nasz nie zyskał pod błogosławnym rządem monarchów Rosyi? — mówił dalej Nieczewski. — Wszędzie spotyka oko podwyższona kultura krajowa, odbudowane miasta, wznoszące się fabryki....

— Ojeze! mój ojeze! uwięźmy ptaszynę w klatkę z połączanego drótu, dostarczmy jej jadła i wody czystej jak kryształ, a nie będzież ona przez złote szczebelki wdychała do dawniej swobody? A jeszcze, gdy ją dręczyć poczniemy, by naszą wypełniała wolę, by śpiewała, gdy nam się tego zachce, by na owęj a nie na tamtej spoczywała grządce, — czyliż i słaba ptaszyna jedyną bronią, jakiej jej przyrodzenie udzieliło, dziobkiem i skrzydełkami przeciwko swoim dręczycielom bronić się nie będzie?

— O jakżeż-mi bolesno, że i własne moje dziecko w tym nieszczęsnym zostaje obłądzie! Szalona! zastanów się! cóż podola ta garstka zuchwalców przeciwko temu kolosowi?

— Czyliż i mały Dawid olbrzymiego nie zwyciężył Goliata? — zawołała z natchnieniem Helena.

— Otoż to wyrojenia romansowej głowy! — wrzasnął Nieczewski. — Wielkie f r a z e s a bezmózgowych zapaleńców!....

Kilka wystrzałów posłyszano w dali. Helena pobiegła do okna: w tój chwili przejeżdżał na koniu w ewale biegnącym mężczyzna; w ręku jego biała powiewała chustka, wyrazy: Do broni! do broni! — głucho po całej rozlegały się ulicy. — Helena mniemała głos poznać: był to z polską duszą syn człowieka, który w tój chwili pod mściwemi razami obrońców swobody i niepodległości narodu konał! — Synu jenerała Hauke.

— I cóż ten motłoch uskutecznić pragnie? jakież jego zamiary? cóż przez swoją zbrodnię zyskać zamysła? wyrzekął ciągle Nieczewski.

— Ojcie! drogi ojcie! — błagała Helena — o przejmij się duchem, który odżył w narodzie! wspomnij na chwałę przodków, na dawne swobody! Pomnij na poświęcenie naszych braci w najświętszój sprawie! Ojcie mój! — zawołała wznosząc ręce ku niemu i padła na kolana. — O mój ojcie! wskrześ w sobie nie wygasłe, o nie! lecz stłumione tylko na chwilę uczucie miłości Ojczyzny!

— Heleno! czyś ty rozum postradała?

— O ja go postradam... czuję to! — jękla z rozpaczą załamując ręce — ja go postradam! Matko moja! drogi ukochany cieniu! o moja, moja matko! — Przyciskała załamane ręce do wzburzonej piersi, cała jej postać drżała gwałtownie. Nieczewski spoglądał

na nią w milczeniu: zdawało się, że nie miał dosyć odwagi zbliżyć się do niej.

— Ojciec! — zawołała, porywając się nagle, była bladą jak widmo pośmiertne. — Ojciec! — dodała zmienionym głosem przybiegając do niego — jeżeli nie możeż w łonie swoim wskrzesić innego przekonania, to przynajmniej... przynajmniej ukrywaj swoją niechęć... nie objawiaj zdań przeciwnych!... Ojciec! ty mię pojmujesz... O Boże! — zawrzała przeraźliwie i jak nieżywa padła u stóp jego.

Przywołane panna Bresset i służące spiesźnie nadbiegły: ich starania przywróciły Helenie zmysły. Nieczewski ze ścisnionemi rękoma, mocno wzruszony, przebiegał pokój. Kazia i Mania nad kochaną siostrą płakały.

Nazajutrz pod wieczór, gdy wszystkim dzień cały w ciężkiej niepewności przeminął, ukazanie się Bronisława rzetelną pociechą przejęło serce Heleny. Nawet i Nieczewski z przyjaźnym wyrazem rękę mu podał.

— I jakież przynosisz nowiny, panie Wolnowiczu?

— Wrócona nam wolność złota! zawołał z promieniejącą twarzą młodzieniec, i począł o zaszłych wypadkach bliższe opowiadać szczegóły. — Ubolewał nad stratą generała N\*, którego podobnie - brzmiące nazwisko z innym powszechnie znienawidzonym, przez nieszczęsną omyłkę, o śmierć przyprawiło; tak samo

i generała S\*, który, jako dobrze myślący w pierwszej zaraz chwili pragnął połączyć się z narodem, ale z namowy pułkownika \*\*\*, wystawiającego mu rzecz w innem świetle, wskazującego mu miejsce: gdzie go mniemana powinność wzywała, — podążył tam, niestety! ażeby paść ofiarą czynu, nie z własnego przekonania wykonanego.

— A generał P\*? — zapytała Helena — mniemałam zawsze, że polskie posiada serce.

— Wahał się, wahał się pomimo wszelkiej namowy: czas naglił, a w takich wypadkach, jakim jest powstanie narodu, ściśle należy się trzymać tej zasady: kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam!

Nieczewski mało mieszał się do tej rozmowy, ale słuchał z uwagą, i gdy po krótko Bronisław ich żegnał, został przez niego wezwany, ażeby ich, o ile mu czas pozwoli, odwiedzać raczył. — Wydarzenia ubiegłych godzin przeraziły Nieczewskiego, wstrząsły dumę jego, obudziły trwogę o własne bezpieczeństwo i dostatki: pomiędzy poległymi liczył przyjaciół; ci co uszli przed zemstą rodaków, obcymi mu nie byli, — potrzeba więc było ukryć niechęć, z jaką na zmianę politycznych patrzył stosunków: stłumić zastarzałe przesady i przyjmować w dom swój młodzieńca, któryby go w razie potrzeby mógł swojemi wpływami a nawet osobą zastąpić.

I z dniem każdym, z każdą niemal chwilą więcej, przekonywał się, jak ważną dla niego w obecnej chwili była przyjaźń młodego Wolnowicza: Bronisław stawał wszędzie w obronie ojca Heleny, przytłumiał zarzuty, które temuż czyniono, że nie był dobrym Polakiem, że nie był życzliwym sprawie własnej ziemi, że się przyjaźnił z tymi, którym głos ludu złorzeczył. Za radą także Bronisława pozostał Nieczewski w Warszawie i złożył pewną ofiarę na ołtarzu Ojczyzny, ale w imieniu Heleny: uczynił to z ostrożności, ażeby się w oczach strony, której zawsze i ciągle sprzyjał, nie s k o m p r o m i t o w a ł; ażeby za pożądanym powrotem Rosyan, za powrotem dawniejszego porządku rzeczy, znowu w tych samych, co przed 29 listopada, przyjaźnych zostawać stosunkach!

Bronisław tymczasem się łudził, że ojciec kochanki istotnie innym przejął się duchem; łudziła się tą myślą nawet i sama Helena, i z swobodniejszym sercem drobnymi palcami narodowe upinała kokardy, w czem i panna Bresset, mała Kazia i Mania, najchętniejszej dokładały ręki.

4.

Siostry moje! córy Piasta!  
Zkąd to serce w piersiach wzrasta?  
Zkąd ta dusza wam?  
My się tój ziemi dobijem,  
Lub w mogiłach znów odżyjem:  
    W dziejach ziemi tój!  
Lecz kto groby wam ocuci?  
Kto wam młodość waszą wróci?  
    Te nocy i łzy?

Śpiewy Janusza.

Stoczona bitwa na polach Grochowa, niwy trupem zasłane, bezprzykładna waleczność i męztwo Polaków, w wysokim świetle podniosły ich w opinii Europy. Poczęto rozważać sprawę naszą, powody powstania, a silny udział sąsiednich ludów dla tych obudzonym został, którzy najszlachetniejszym tchnący uczuciem, potrafili zrzucić z siebie niewolnicze jarzmo: którzy godność człowieka w całym jój znaczeniu pojęli. Z innej strony widziano teraz rzeczy, i nawet ci, którzy powstanie nierozsądnym porwaniem się zapalonej mło-



dzieży być mienili i głośno takowe ganili; ci, którzy twierdzili: że ta garstka dawnego wojska polskiego i niedoświadczeni w boju młodzi żołnierze, zaledwo Rosyanom na śniadanie wystarczą, umilkli wreszcie inném przejmując się przekonaniem. Zewsząd przybywała młodzież, pragnąca podnieść oręż za wolność i niepodległość narodu polskiego: Niemcy, Szwajcary, Francuzi zaciągali się w szeregi bitnych wojowników — a cóż dopiero własne dzieci, wołającej o pomoc Ojczyzny! Kmiotkowie nasi tłumami rzucali dobrowolnie spokojne lepianki i biegli krew swoją przelewać w obronie kraju i wiary: Poznań dostarczył ich liczny zastęp!

Kiedy młodzież i dojrzały męstwo życiem swoim kraj z więzów uwolnić pragnęli, wówczas kobiety polskie rzucały wygodne i pieszczone życie, niosąc pomoc rannym wojownikom. Były takie pomiędzy niemi — a na ich czele wymienię jako pierwszą Polkę, Klaudyę Potocką, które sobie nawet jednej godziny wypoczynku nie dozwoliły, zajęte ciągną pieczę około cierpiących. Cześć wam godne córki Ojczyzny! na wasze wspomnienie nie jedno serce wdzięcznem zadrży uczuciem: wasze niewieście skronie najchłubniejszy otacza wieniec. — Do liczby tych, które codziennie po kilka godzin w lazaretach trawiły, należała Helena, bo ciągłego tamże pobytu wzbronił jej ojciec, niby to dla oszczędzenia wątłego zdrowia córki, ale podobno

raczej dla tego: ażeby imienia Nieczewskich za nadto nie skompromitowała. Z początku był on całkiem przeciwny temu poświęceniu się, ale niczem niewzruszona wola i prośby córki, zwyciężyły opór ojca.

Minęły dni wielkie i krwawe: 31 marca bitwa pod Wielkiem-Dębem; 10 kwietnia bitwa pod Iganiami — a o Bronisławie żadnej wiadomości nie było. Dopiero po morderczej walce pod Ostrołęką, przywieziono ciężko rannego do Warszawy. Czyż ręką pewniejszą mogła mu przynieść ulgę, jeżeli nie ręką kochanki?! W chwilach tak smutnych, stanowczych, gdzie o ludzkie chodzi życie, nichaj nikną błahe światowe przesady i owe żelazne szranki postępowaniu kobiet naznaczone! Helena drżącym przyspieszyła krokiem do posłania, na którym młodego złożono bohatera: nie poznał jej! — W srogim żalu, lecz z wszelką przytomnością, bo wszakże o życie ulubionego chodziło — stósowała się do rozkazów obecnego lekarza: rana od wystrzału w wyższą część piersi nie tyle była niebezpieczną, cięcie przez głowę większą budziło obawę. Ojczysta ziemia jeszcze potrzebowała obrońcy: silnego ramienia, którym miłością kraju gorejące władało serce! Helena łzami zalana zasyłała modły do nieba: po kilku tygodniach Bronisław łożu boleści raz pierwszy opuścił.

Tymczasem przeprowadzenie się Rosyan przez Wisłę, zło-wróżbe o sprawie naszej zrodziło przeczucie. Dziwił

się lud, że tój przeprawy dozwolono bez krwi rozlewu — i zaiste, lud się nie mylił! —

Około dużego stołu siedziały panna Bresset, Mania, Kazia, Retecka i dwie inne służące — wszystkie skubaniem szarpia zajęte. Helena w drugim pokoju układała bieliznę przeznaczoną do lazaretu, gdy wszedł Bronisław, blady, wycieńczony, z ręką na temblaku, ale zdobny krzyżem istotnej zasługi i ślifami majorowskiemi. — Oko kochającej kobiety tak łatwo dostrzeże każdy odcień, choćby i najlżejszy, smutku, który czoło ulubionego osłoni: Helena, tyle czuła, tyle troskliwa, od pierwszego zaraz wejrzenia poznała wewnętrzny niepokój Bronisława, i pytała o powód. Odpowiedzi jego były niezadowolające: chciał przed nią ukryć zmartwienie, ale z kilku wyrazów, które mu się pomimo woli z ust wyrwały, domyśliła się, że przeprawa Rosyan przez Wisłę i cały stan rzeczy trwożne o przyszłość Polski nasuwały mu myśli.

— Bronisławie! — wyrzekła po chwili podejmując skrzyneczkę, w której piękne perły, brylanty i inne kosztowne kamienie na czarnym aksamicie błyszcząły — na twoje ręce składam te błyskotki zbytku: oddaj je na potrzeby kraju...

— Heleno! aniele! — zawołał Bronisław — twoja troskliwość około rannych i chorych, twoje noce bezsenne... O, bo ja wiem, że ty pomimo wiedzy ojca, poświęcasz je czuwaniu nad rannymi. Twoja miłość

Ojczyzny i ta chęć usilna w niesieniu jój pomocy, czyliż wynagrodzone zostaną? Ja wiem każdy twój czyn, wiem żeś pragnęła znaczniejszą część przyszłego twego mienia. . . .

— Wszystko! o wszystko-bym oddała! z pracy rąk własnych, jakżeż szczęśliwie-bym żyła w oswo-  
dzonej Ojczyźnie: przeniosłabym odzienie z prostego  
wyrobu nad najkosztowniejsze szaty, byle mnie, jako  
wolną Polkę stroiło! — Ależ znowu na twojem czole  
ta chmura żalu zawisła, znowu w twojem oku ten sam  
dostrzegam niepokój? O ja odczuwam twój smutek  
Bronisławie . . . ty powątpiewasz. . . .

— Nie, nie! — odparł jój żywo — nasza sprawa  
jest świętą: upaść nie możemy! Pierwój Warszawa  
w gruzy i popiół zamienić się powinna, anizeli oddaną  
zostanie. Hasłem naszym będzie: Śmierć albo  
zwycięstwo!

-- Patrz siostrzyczko, patrz panie Bronisławie,  
ile już dzisiaj uskubałam — wymówiła nadbiegając  
Kazia, i ważyła na drobnych dłoniach spory pęczek  
szarpki.

— Wszakżeż ci błogo na serduszku — odrzekła  
Helena, całując maleńką w czoło — żeś swoją wy-  
pełniła powinność: bo każdój z nas jest obowiązkiem,  
według sił swoich, nieść ratunek i ulgę tym, którzy  
w obronie spólnój Ojczyzny chlubne odnieśli rany.

— Tak Helenko, a ja wiem, co to jest Ojczyzna.

— I jakżeż mi to opowiesz, maleńka? — zapytał Bronisław.

— Helenka mnie tak nauczyła, a dobrze pamiętam, że trzeba kochać Ojczyznę: Ojczyzna, jest to, jakby druga matka nasza, w niej dziadkowie nasi szczęśliwie żyli, i tutaj pochowani leżą; ona nam udziela przytulku; ta ziemia nas żywi; jesteśmy wszyscy jój dziećmi, — a więc, kiedy nieprzyjaciół na nią nastawa, wszyscy: pan czy chłop, bogaty, czy ubogi, wszyscy powinni jój bronić i jeden drugiego wspierać. — Czy tak Helenko?

Helena przytuliła dziewczynkę do serca. Bronisław mocno rozrzewniony jój rękę do ust przycisnął i wyrzekł:

— O, naród ten nigdy nie zaginie, gdzie żyją kobiety, które takie zaszczepiają uczucia!

5.

Francuzi! myśmy dla was krew przeleli,  
A wyż nam tylko łzami odplaciecie ?

---

Poddano Warszawę — a wolność  
Jęk srogiej wydała boleści !

---

Już odszedł —  
I cicho — jak na sercu śmierć swój obraz kryśli,  
I pusto — smutno — tęskno jest w Maryi myśli.  
Zniżają się kolana, prosba ręce składa,  
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada.  
I cicho — jak modlitwa w łono Boga płynie —  
I pusto — smutno — tęskno — jak gdy szczęście  
minie.

Malczewski.

Nieprzyjaciel postąpił pod Warszawę — a Francya:  
owa gwiazda nadziei, milczącym pozostała widzem !  
Rozdzielona armia — zdrada, klująca się w samém

łonie stolicy — odwlekanie sądu na niecnym wyrodkach, — to wszystko zespolone, budziło trwogę, podejrzliwość i zwąpienie w sercach ludu. Postanowił przeto sam sobie sprawiedliwość wymierzyć, a zemsta ludu jest straszną, straszną, jak kara Boża, bo: G ł o s l u d u , g ł o s B o g a ! — Nadszedł dzień 15 sierpnia . . . . Och ! nie dla mojego niewieściego pióra takie skreślać obrazy. . . . Powieść moja nie jest dziejowym opisem, wspomnę więc tylko o historycznych wypadkach, o ile te na losy Bronisława i Heleny wpłynęły.

Złowrogie tłumy przebiegały ulice — niektórzy zatrzymali się przed mieszkaniem Nieczewskiego. Helena postyszała wymówione nazwisko ojca ! . . . Zimna jak głaz, ze ściśnionemi w srogiej trwodze rękoma, upadła na kolana przy otwartém oknie, nadstawiając baczne ucho złowieszczym wyrazom. Nieczewski stał na środku pokoju — blady — przestraszony — nie wiedząc, co mu czynić pozostało. Nagle, jakby głos anioła, obił się głos znany, głos ulubiony o uszy Heleny — znalazł oddźwięk w stroskaném sercu i straszliwą w niem uśmierzył obawę: był to głos Bronisława !

— Za mną rodacy ! za mną ! on nie zasługuje na taką karę.

„Niech żyje Wolnowicz !“ — wykrzyknął lud radośnie, na widok dobrze znanego Bronisława.

— Rodacy! odstępście od tego domu — powtórzył Wolnowicz.

Kilkadziesiąt dłoni uniosło Bronisława w górę na znak uwielbienia, a okrzyki: „Niech żyje! — dzielny żołnierz! prawy obywatel!“ — jednym zdawały się być głosem,

Wkrótce ta część ulicy była pustą.

— Ojciec mój! — wyrzekła wzruszonym głosem Helena, przystępując do niego — mój ojciec, Bronisław nas ocalił!

Ale Nieczewski milczał — i Helena odgadnąć nie mogła, jakie w nim górują uczucia.

W dni kilka uspokoiły się nieco umysły: przysięga na siwe włosy wodza, który był niegdyś ozdobą wojska polskiego, przysięga: że raczej w perzynę tolicę za mieni, aniżeli ją nieprzyjacielowi podda, nową wskrzesiła nadzieję. — I nie mieliż ufać staremu wojownikowi, którego skronie nie jeden wieniec z wawrzynu ozdobił? — Ufność jest zaletą ludu polskiego: serce rzetelne i prawe wierzy! — I wierzajmy raczej, że siwych nie zbezczescił włosów: że tylko wraza otoczyła go siła — i pozory okropne! — Z jakimże zapalem rzucono się do wzmocnienia okopów Warszawy: ramiona starców, pieszczone ręce kobiet, drobne dłonie niedorosłych dzieci, — wszystko ciężką dzieliło pracę, która miała zabezpieczyć stolicę.



Szóstego września, ledwo że pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły mury Warszawy, zadrżała ziemia pod hukiem armat: bój domowy i morderczy rozpoczął się na półkolnej linii. Główna siła nieprzyjaciół zbliżyła się pod Wolę. Wojska naszego szczupłe tylko były zastępy, bo o wiele większą część przeczona zdrada pod rozmaitemi pozorami z oblężonej stolicy — z miejsca, gdzie los całego kraju miał być rozstrzygniętym — na kilka i kilkanaście dni przed dniem stanowczym, w różne a odległe rozesała strony.

Sejm się zebrał — i cóż, i cóż uradzono?! — Świątynie pańskie zalegli starcy, kobiety i dzieci; gorące modły — modły z głębi serca — błagalne wołania rozpaczy unosiły się do tronu Najwyższego. Ale jeszcze, jeszcze niewykorzenione zło z pośrodku nas, jakoby chwast bujny wyrosło — i Bóg rozkazał, abyśmy poznali: w czém leży nieszczęście narodu polskiego! . . .

Ułożono poddanie Warszawy — a mamiono lud do ostatniej chwili! — O, gdzież jest dosyć sroga kara za taką zbrodnię! — Umilkły działa: 8 września Rosyanie wkroczyli do Warszawy. — A jeszcze, jeszcze w oddalonych od stolicy stronach ludzono się nadzieją: że dla tego wpuszczonymi zostali, aby mniemanym zwycięzcom w podminowanym mieście ostateczną zadać zagładę. Byłaż to wieść wysnuta z serca ludu, pragnącego gorąco pomyślności ziemi ukochanej, chwy-

tającego chciwie za każdy wątek nadziei, nie mogącego oswoić się z tą myślą, że tak czarna zdrada istnieje? — Albo też pogłoską, umyślnie z mądrą przeczornością rozsianą, aby dłużej jeszcze wzburzone mamie umysły?

Okropnemi, podwójnie okropnemi dla Heleny, były dni nieszczęsne: 7 i 8 września, losy świętej ziemi na wątpliwęj ważyły się szali i Bronisław walczył na okopach Woli. — Z poddaniem Warszawy — o czém ją najpierwszy ojciec zawiadomił — ostatnia dla niej zamarła nadzieja. — Słuchała téj okropnej wiadomości bez zewnętrznego okazania najśroźszego bólu; — zdawało się, że wszelkie w niej przygasło życie i uczucie; lzy ulgi nie przyniosły — zdrój ich wysechł: bo dla takich cierpień łez nie masz! — Znacież wy podobne chwile, w których one swojej odmawiają posługi? — a jeżeli wytrysną, to wtedy nie są rosą dla serca, ale jakoby iskry lawy, które ostatnią wypalają nadzieję.

Cisza nastąpiła w stolicy — cisza, jakoby po pogrzebie szczęścia. — O, nad tę ciszę byłaby Helena raczej krwawe boje, zniszczenie i zagładę wszystkiego przeniosła: wybuchy szalonej rozpacz i oblężania! — Błada, wąta — do cienia raczej podobna — uciekała od towarzystwa sióstr swoich i ojca, który teraz i tak niewiele w domu bawił. Słuchała chciwie każdego szelestu — chwytiała najlżejszy poszmer: o wiadomość jej

hodziło, a ta wiadomość mogła być objawicielką zgonu ego, którego obraz na zawsze w sercu dziewczęciem się wyrył. Dni te były wiekami najokrutniejszej męczarni — męczarni, na której określenie wyrazu nie staje!

Niespokojnym krokiem przebiega Helena pokój — dłonie jej kurczowo ściśnione — wewnętrzna gorączka trawi słabe siły — nieszczęsna, chwili jednej spocząć nie może. . . . W tém na ulicy muzyka wojskowa odezwała się nutą: „Jeszcze Polska nie zginęła!” Helena gwałtownie zadrżała, ledwo się do okna zawlokła — trudno oznaczyć uczucia i myśli, jakie w niej powstały — wychyla głowę: byli to Rosyanie! . . . . O, każda cząstka tych dźwięków równała się szarpaniu kawałkami jej serca — jej duszy — jej całego jestestwa. Zatuliła uszy — spojrzenie błagania i rozpaczki utkwiała w sklepieniu niebios — a z rozranionej piersi wyrwało się wołanie: Boże! kiedy już wszystko odjąłeś, to zostaw, zostaw mi jeszcze wiarę!

Doleciało ją zbliżenie się czyjeś z przyległego pokoju: może wieść o nim! — biegnie — i spotyka ojca i Aleksandra! . . . Aleksaader wraz z wojskiem nieprzyjacielskiem powrócił do Warszawy! — Helena cofa się przerażona.

— Czyż nie powitasz dawnego znajomego? — zapytał ojciec.

— Chyba wyrazem goryczy i prze . . . — niedokończywszy, szybko wydalila się z salonu.

— Biedne dziecię! — wyrzekł, zamawiając Nieczewski — zmartwiła ją katastrofa, którą było można z pewnością przewidzieć.

Przez kilka godzin Helena była jakoby w otępieniu: modlić się nie mogła — błąkały się myśli, srogi ból serca pierś wzdętą żalem rozpierał. Wieczór zapadł. Księżyc i gwiazd miryady uczyniły pogodnym i niby wesołym widok na nieme mury miasta — gdy pośród tych murów najokropniejsza ze wszystkich zalegała żałoba. Helena, mimo wiedzy niemal tego, co czyni, zbliżyła się do okna — i znowu po sklepieniach nieba szukała myśli i nadziei: szukała Boga! . . . — Zwolna drzwi jej pokoju się rozwarły. — Czujna na każdy poszmer, odwraca się — światło księżyca oblało wchodzącą postać — byłoż to widmo Bronisława? . . . Blady — nędzny: chustka krwią zbroczona, jego otaczała głowę.

— O Bronisławie! — jęknęła, wyciągając drżące ku niemu dłonie.

— Moja Heleno! — zawołał młodzieniec, przycisnął jej ręce do ust spiekłych i łza żalu stoczyła się po jego licu.

Plakali oboje — jakżeż takie łzy nazwiemy? — O, do ich boleści i goryczy wpłynęła w tej chwili kropelka niebiańskiej rozkoszy!

— Takżeż my to widzieć [się mieli, Bronisławie!

— Nie zatruwajmy sobie chwil ostatnich, Heleno! Ja dzisiaj jeszcze opuszczam Warszawę . . . udaję się za wojskiem. . . .

— I jakież nadzieje? o powiedz, jakież nam pozostały nadzieje?

Bronisław milczał chwilę. Potem stłumionym wyrzekł głosem:

— Przyszłość! . . . Na teraz podobno wszystko stracone!

— Okropnie! okropnie! . . .

— Heleno! nie wiem jaki los mnie czeka, smutny, bardzo smutny zaiste! . . . Może przeznaczeniem żołnierza polskiego znowu będzie wygnanie i tułactwo pod obcym niebem: grób z dala od rodzinnej ziemi! . . . Ale wszędzie i zawsze ubóstwiony twój obraz z sobą uniosę. Ty mi będziesz aniołem pocieszenia: twoje imie ostatnią konającego modlitwą!

Helena wsparta na jego ramieniu rzewnie płakała.

— Jakże niepojętymi są wyroki Boga! zawołał Bronisław: przeciwko nim sarkać nie wolno! — a jednak, po cóż Bóg zesłał tak srogie cierpienia na istotę, która anielskiej dobroci i cnoty jest obrazem na ziemi? Po cóż lud cały karze za przewinienie kilku zbrodniarzy! Po cóż nie wesprze litością swoją nieszczęsnej Ojczyzny naszej, za ocalenie której tyle krwi przelano!

— O nie wchodźmy w wyroki nieba, Bronisławie! popełniamy występki, rozważając sprawy Boże: miejmy

raczej nadzieję, że kiedyś lepiej będzie, i to przekonanie: że Bóg tylko dzieci swoich doświadcza.

— Nadzieję?! nadzieję?! — powtórzył boleśnie młodzian. — O, dzieje ostatnich czasów narodu polskiego są jednym tylko jękiem i . . . . przekleństwem! . . . . Heleno! ja ciebie pożegnać muszę.

— O wielki mój Boże!

— Zobaczymy się!

— T a m! — odrzekła, wskazując niebo — tam! w lepszej krainie . . . . tak! tak! ja tylko krótko pomiędzy żyjącymi pogoszczę: cierpieć niezadługo przestanę. . . . .

— Heleno! czyliżby nieszczęście granic i końca nie miało?

— O nie ludźmy się! i ty masz to przekonanie, że się tutaj już więcej nie zobaczymy.

— Tyś wyrzekła: że Bóg tylko dzieci swoich doświadcza! kazałaś mi mieć nadzieję. . . . . Ja unoszę ją z sobą: anioł wskrzesił ją we mnie!

— O Bronisławie! — zawołała Helena zalewając się łzami — ja tego rozłączenia się nie przeżyję! Bóg litościwy powoła mnie do siebie. . . . . Żegnam cię! przedłużony tutaj pobyt może niebezpieczeństwo na twoją sprowadzić głowę. . . . .

— Bądź szczęśliwą, Heleno!

— Do widzenia się t a m!

Bronisław przycisnął drżące usta do zimnego czoła kochanki i spiesznie wybiegł. Helena na kolana upadła.

Spokojna na pozór, bo istoty wielką obdarzone duszą, cierpią i milczą; żadnej niewyjawiająca skargi — bez łez — zdawało się, że córka Nieczewskiego pogodziła się z losem swoim. — Ale kto także po ciemnym życiu przechodził bezdrożu, czyje serce śmiertelnie zatrute zraniły kolce: kto więcej badawczym okiem śledził nieszczęśliwą, dostrzegł w jej spojrzeniu, że tam, gdzie wszystko dla serca umarło, i życie na długo pozostać nie może. Ojciec i Aleksander widzieli tylko, że krasę jej lica grobowa zastąpiła bladość, że się nigdy nie uśmiechnęła, że zbyt mało mówiła. Panna Bresset ubolewała, że Helenę po całych nocach słyszy przechodzącą się po swojej sypialni. Kazia i Mania płakały, że dobra siostrzyczka nie kocha ich tyle, co dawniej: że ich nie pieści, że zawsze taka jest smutna. — Wezwani przez Nieczewskiego lekarze poradzili zmianę miejsca, i gdy pierwsze dni wiosny nastaly, Helena luby powitała Bylin. Tam przy grobie matki, lzy gorące nieraz stęsknionej ulgę — smutną ulgę — przyniosły.

## 6.

Czemżeż jest śmierć? — spokojem dla serca.  
Byron.

Witam cię śmierci, ty mi wolność dajesz!  
Lamartine.

Wieczór był zimny: księżyc mgławce rozciągał światło, zasłaniając srebrną twarz swoją sinemi chmurami, które wiatrem zmiotane, szybko po powietrznej żeglowały przestrzeni. — Sadzoną drzewami drogą — ogółconemi dzisiaj z ozdób swoich — zbliżał się do wsi Bylina przyspieszonym krokiem młody wędrowiec. Może podążał, ażeby w pobliskiej karczynie, przy ożywczym ogniu kominkowym skrzeple ogrzać członki. Lecz po cóż znowu zatrzymał się na pagórku, z kąd tak dokładnie rozłożony u stóp jego krajobraz, wzrokiem schwytać było można? Czyliżby pomimo wieczorniej pory i zimna, upatrywał piękności położenia? — Tam,



na lewo, z pałacowych okien jasna od licznych światel biła łuna: dolatywały przychodnia i dźwięki wesołej muzyki. Na prawo, nieco w wyższém położeniu od wioski, stał kościół; szare jego mury i starożytną wieżycę owidnił w tój chwili promień księżycowy. Niepewne światło oblało i grobowiec, w kształcie kapliczki zbudowany, i smutne świerki, które mu za ozdobę służyły. Wiatr zawiał z tój strony — poświst jego, jakoby jęk żalu obił się o uszy młodziana: zadrżał — zacisnął dłońią oczy — i ciężkie westchnienie złączyło się z odgłosem w i w a t u, który dolatywał z pałacu.

W karczemnej izbie, chociaż przy niedzieli, nie odzywał się dzisiaj wesołek (skrzypek), zachęcającym do o c h o t y oberkiem. Mosiek arendarz mało miał gości: dwóch mężczyzn siedziało przy stole i usmalonemi kartami grali w maryaża; obok nich stała młoda kobieta z dziecięciem na ręku, często im cienką objaśniając świecę. Potém wzywała młodszego z nich, by już grę porzucił i do domu powracał. — Na ławie, przy drugim końcu stołu drzemało dwóch podpiłych chłopków; przy kominie gwarzyło kilka wiejskich kobiet, którym Moškowa ciepłego dostarczała piwa, gdy tymczasem mąż jój przejezdnemu rzeźnikowi spore kieliszki wódki, jeden po drugim nalewał. Kilkunasto-letni żydziak kołysał wrzeszczącego przy piecu bachora.

— Chodź już, chodź Jašku! — wołała znowu młoda kobieta.

— O, co też to pani Janowa za niecierpliwa, ani się mężowi zabawić nie pozwoli : któż widział być taką zazdrosną! — odezwał się starszy z grających mężczyzn.

— Alboż ja to zazdrosna? widzi pan organista, że mój Jasiek powinien jutro bardzo rychło na swoim miejscu być w lesie, bo panowie mają zapolować.

— Ba! ba! będąc oni hulali aż do świtu, a potem spali do zmierzchu: jutro żaden fuzyi do ręki nie weźmie, powiadam to asani.

— Ale wszelako Jasiek winien tam być, jak mu kazano, bo pan organista wie przecież, że nasz pan nie może mu nigdy tego zapomnieć, jako służbę jego porzucił i bez jego woli i wiedzy, do wojska w t e d y przystał. . . .

— Cicho bądźcie! — szepnął organista i obejrzał się trwożliwie na Żydów; lecz gdy spostrzegł, że każde z nich zajęte było, dodał półgłosem: po co o tych czasach gadać?!

— A kiedy to ona zapomnieć o tém nie może! — pochwyił Jan.

— Oj, bo byłam wtedy z państwem w Warszawie i patrzyłam na wszystko — odrzekła smutnie, potrząsając głową — a teraz, mój Boże! . . .

— Tak, tak, mój Boże! w pałacu biesiadują a nie swoi. . . .

— Panie Janie! — przerwał blednący organista i wyrzekł zeicha, pochylając się ku niemu: Czyliż wasan chce, abyśmy się wszyscy do kozy dostali?

— Dalej, dalej: ze dwudziestu maryaża! — zawołał Jan, dostrzegając zbliżającego się Mośka.

— Biję króla, mości dobrodzieju, i dograłem! — krzyknął uradowany organista. — W tém otworzono drzwi i młody wędrowiec wszedł do szynkownej izby.

Twarz i cała postać przychodnia, pomimo lichego rzemieślników ubrania, odznaczały się tym niezatartym wyrazem, który tylko wyższe ukształcenie umysłu nadaje. Gospodarze wszystkich domów zajezdnych, nie wyjmując z tego i karczem, mieli podówczas szczególniej surowo poleconém, badać i śledzić podróźnych, dla tego więc gorliwy do podobnej posługi Mosiek, za ledwie przybyłego zmierzył oczami, skwapliwie zapytał:

— Zkąd wasan? Przepraszam, może nie wasan, może większa godność pańska? ale my teraz mamy rozkaz cesarski od pana dziedzica, każdego, choćby największy podróźny, spytać o papiery.

— Oto mój pasport! odrzekł przybyły i doręczył Żydowi takowy.

Żyd ujrzawszy drukowany papier z dwugłównym orłem, ukłonił się i rzekł: „Git, git!“ — a następnie szybko dodał: czego pan pozwoli, wódki cy piwa?

— Daj mi piwa grzanego — odparł podróżny. Potém spojrział po izbie, śledził rysy każdego z obcych — i nagle błysnęły oczy jego, gdy spotkał wejrzenie młodej kobiety: błysnęły, jakoby na widok znajomej twarzy! Powstał i zbliżył się do niej.

— Czy pan Nieczewski jest w domu? — zapytał.

— Jest, ale ma gości: gubernatora z \*, dwóch generałów i kilku oficerów — odrzekła spieszenie kobieta, drżąc cała; następnie, obejrzawszy się na Żydów, poszepnęła mu: ja pana poznałam zaraz.

— Ja ciebie, Marysiu..... Cóż robi panna Helena?

— O mój Ojczy niebieski! — zawołała ze łzami — to pan nie wie?.... panna Helena już w grobie.....

— Nie żyje!! — jęknął z gwałtowną boleścią Bronisław — (on to był przybyłym wędrowcem) — nie żyje! o wielki Boże! — zasłonił z rozpaczą twarz zbladłą rękoma. Marysia płakała."

Śledzący każde poruszenie, każdy wyraz przychodnia, Mosiek nie stracił i jednego słowa z rozmowy powyższej; nawet i Moškowa pilnego nadstawiała ucha. Organista zaś, niedokończywszy gry, pomimo że był pewnym, dać dublę, porzucił karty i spieszenie, pełen trwogi i obawy, pobiegł do domu.

Bronisław po krótkiej chwili, chwiejącym krokiem wydalil się z karczmy.

— Herszele! Herszele! Gaj kiken, wo er gajt!  
 — wołał Mosiek i wypchnął chłopaka za drzwi. Niezadługo zadyszony żydziak powrócił.

— Er is ga'en of die smentarzes.

— Ryfke! Ryfke! — wrzeszczał żyd radośnie, przywdziewając z pospiechem świąteczny łapserdak — fil Geld, fil Glik, s'is e emisorz! hat e Zoichen von Palasch. — Ich gaj zum srore, bei's graf... — i wybiegł jak szalony z izby.

Bronisław przybył na smętarz. Grób czarnym oznaczony krzyżem, pierwszym był celem jego odwiedzin.

„Ojcie mój! — wymówił stłumionym głosem, klękając na mogile. — Ojcie! twój syn przybywa po błogosławieństwo twoje!... — Na grobach poległych braci kazano mi uspióne budzić nadzieje: ożywie ducha, którego znowu srogie jarzmo przygnębiło. — Ojcie mój! — pobłogosław pielgrzymce mojej!“ — Wtém, posłyszawszy od strony pałacu, w obecję — lubo brzmieniem swoim pobratymczęj nam mowie, kilka wyrzeczonych wyrazów. — Powstał nagle i żal rzewny, — cierpkie goryczy nastąpiło wrażenie. Rozmawiający, nie zatrzymując się, poszli ku wsi. Bronisław o kilka postąpił kroków i wsparł się na grobowcu Nieczewskich: długo mileczał, srogą przytłoczony boleścią.

„Heleno!“ zawołał wreszcie okropnemu ulżywając uczuciu — „Heleno! tułacz, wygnaniec powrócił!...“

obcy dzisiaj przy twoim grobie: niemający Ojczyzny, bezdomy! . . . . Świeciła mi nadzieja, że wypełniając świętą powinność, raz jeszcze i ciebie zobaczę. — Uleciałaś do nieba, ja tutaj pozostać muszę: pozostać dla wywiązania się z przyjętego wielkiego obowiązku! — Matko mojej Heleny, i ty, o luby aniele, pobłogosławcie mi!“

Z okien pałacowych huczny znowu rozległ się wiwat!! — Bronisław z gwałtownem oburzeniem pogroził pięścią i krzyknął: „Ha! przekleństwo! . . . lecz nie, nie!“ — dodał nagle, łagodząc głos, i opuścił ramię. „On jest ojcem twoim, Heleno!“

Gdy Bronisław po jakimś czasie powolnym krokiem smętarz opuszczał, ukazał się z poza jednego grobu Mosiek arendarz i biegnąc spiesznie przez sąsiednie ogrody, wcześniej stanął w karczmie. W izbie kilku nowoprzybyłych było ludzi: wójt gminy, człowiek nader brzydkiego spojrzenia — i sześciu kozaków. — Wszyscy obecni w trwożnym zostawali milczeniu.

Mosiek zcicha pogadał z wójtem i już znowu biegł ku drzwiom, gdy w tém Bronisław powrócił.

— Oddaj mi pan papiery swoje, jesteś aresztowany! — wyrzekł wójt, przystępując do niego,

— Na jakiej zasadzie? . . .

— Dowiesz się pan o tém — odparł z szydzą-

cym wyrazem wykonawca prawa. — Kozacy! wypełniajcie waszą powinność!

— Precz odemnie! — krzyknął Bronisław, gdy już ująć go chcieli — ja sam pójdę . . . lecz dokądże?

— Do pana dziedzica. Janie, Marysiu i wy Mośku, chodźcie wszyscy!

Gdy do pałacu przybyli, wprowadzono ich do pokoju, dobrze znanego Bronisławowi, gdzie niegdyś w latach młodziuchnych z małą bawił się Helenką. — Ścisnęło się serce więźnia na wspomnienie chwil ubiegłych a niepowrotnych! — Te same co dawniej, widział tutaj i dziś przedmioty; sprzęty na tém samém jeszcze stały miejscu — a szczęście ubieżało . . ., ubieżało na zawsze! . . . Zostało się brzemień cierpień niezliczonych — o, bo drobnostka, pyłek jest trwalszym od szczęścia ludzkiego!

Bronisław rzucił się na krzesło, przytłoczony ciężarem uczuć bolesnych. Myśli jego to błędziły w przeszłości, to z cierpką oswajały się chwilą obecną; to sięgały przyszłości, którą kir gruby zasłaniał: Polak, więzień, poświęcający się nieszczęśliwej Ojczyźnie — czegoż się miał spodziewać? — Ale z zimną odwagą, nieulekły przed losem, jaki mu następna zwiastuje godzina, młodzieniec czekał przybycia głównego wroga swojego: ojca ubóstwianej Heleny!

— Ciekawym, co to za ptaszek w nasze wpadł sieci — dał się słyszeć głos Nieczewskiego.

Dreszcz śmiertelny przebiegł żyły Bronisława: drzwi się otworzyły i wraz z panem domu weszło kilku generałów rosyjskich, Aleksander i jeszcze dwóch innych mężczyzn. . . .

— Któż jest ten aresztowany? — zapytał Nieczewski, zwracając się do wójta.

— Jestem Bronisław Wolnowicz — uprzedził młodzian odpowiedź służalca.

Pan domu przerażony, cofnął się o kilka kroków. Goście jego spoglądali w milczeniu po sobie.

— I cóż, panie? zaiste, piękna czeka cię nagroda — dodał Bronisław głosem pogardy — nowy order, nowe zaszczyty, nowa łaska!

— Mogłłem się spodziewać, że właśnie pana aresztować kazałem! — blednąc wymówił Nieczewski.

— Ależ się panie spodziewałeś i byłeś tego pewnym, że tym nieszczęśliwym jest twój rodak, twój ziomek, w którego żyłach polska krew płynie, którego życie wydasz wrogom Ojczyzny! — czyliż się i tego nie spodziewałeś?! . . . Ha! obrzydła poczwaro, co na grobie matki krwią bratnią zbroczoną, wesole pędzisz godziny. Obrzydły potworze! morderco Heleny! nasyć się jeszcze i tym widokiem! . . .

W téjże chwili więzień w pierścieniu ukrytą połknął truciznę, i natychmiast wielka siła jadu zmieniła rysy: konwulsyjne drżenie całą postać przebie-



gło, a zanim piana śmierci na zsiniałych osiadła ustach, nieszczęśliwy konającym wyrzekł głosem:

— Ja ci przebaczam, boś był ojcem Heleny!

W lat kilka potem rozeszła się wiadomość, że pan Nieczewski, dziedzie Bylina, wywiezionym został na Syberyę.

KONIEC PIERWSZEJ CZĘŚCI SERJI II.



## Spis rzeczy.

---

	Strona
Przyjazd do Królestwa .....	1.
Kalisz. — Warszawa .....	4.
Bąkówek. — Sieciechów. — Kozienice .....	24.
Puławy .....	37.
Górzno. — Ks. biskup Gutkowski .....	47.
Policzna .....	80.
Jeszcze Sieciechów .....	111.
Garbatka. — Czarnolas. — Grodek .....	119.
Tynica. — Radom. — Odechów. — Skaryszów ...	161.
Obyczaj moskiewski .....	206.
Bronisław .....	211.

---









BIBLIOTEKA IBL

F. 14.071

1-2